HISTERIA

Wpadniesz w nią i TY

LIPIEC 2015/4

www.magazynhisteria.pl

GOŚĆ SPECJALNY:

PIOTR FERENS

Groza Dumasa

Eliza Krzyńska-Nawrocka

Kochanka Szamoty

Stefan Grabiński

DZIECKO REWOLUCJI | DZIEŃ OPIEKUNA FEMINISTKI | FRANCINE | MORT-VIVANT PIEŚŃ WILKÓW | TRUSKAWKI | WIARA | WYOBRAŹNIA ZAPACH CIENIA I SMAK DUSZY

SPIS TREŚCI:

Słowo od redakcji		3
Wyznania Histeryka		4
DZIECKO REWOLUCJI	Magdalena Kucenty	5
DZIEŃ OPIEKUNA	Tomasz Graczykowski	18
FEMINISTKI	Piotr Borlik	34
FRANCINE	Marta Lasik	45
MORT-VIVANT	Dariusz Węgrzyniak	59
PIEŚŃ WILKÓW	Antoni Nowakowski	75
TRUSKAWKI	Barbara Mikulska	92
WIARA	Marta Kucharska	104
WYOBRAŹNIA	Przemysław Kyrcz	111
ZAPACH CIENIA I SMAK DUSZY	Piotr Ferens	121
KOCHANKA SZAMOTY	Stefan Grabiński	137
Groza Dumasa	Eliza Krzyńska-Nawrocka	149

Redaktorzy naczelni: Błażej Jaworski, Maciej Zawadzki
Projekt okładki i skład: Roman Panasiuk
Ilustracje: Dawid Boldys, Roman Panasiuk
Korekta: Dagmara Adwentowska

email: **magazynhisteria@gmail.com**

Witajcie!

Lato w pełni, a my serwujemy Wam świeżą, równie gorącą porcję grozy. Wakacyjna Histeria pełna jest debiutów. Aż ośmiu autorów pojawia się na naszych łamach po raz pierwszy. Histeryczne debiuty różnie się kończą. W tym miejscu warto wspomnieć Piotra Borowca. Jakiś czas po tym, jak opublikowaliśmy kilka bardzo dobrych tekstów jego autorstwa, wydał on antologię na papierze.

Ze starej gwardii gościmy Antoniego Nowakowskiego (autora m.in. „Czarnej wódki") oraz Przemysława Kyrcza. Opowiadanie „Smakosz" zapewniło mu tytuł „Histeryka Miesiąca". Skoro o Histeryku mowa... Tym razem został nim Paweł Cieliczko. Jego „Noblowski cyrograf" zdobył najwięcej głosów w majowej ankiecie. Więcej o samym autorze w „Wyznaniach Histeryka".

Nie byłoby Histerii bez gościa specjalnego. Tym razem jest nim Piotr Ferens. Autor powieści „Na krańcach luster" przygotował dla Was wcześniej niepublikowane opowiadanie „Zapach cienia i smak duszy".

W ramach odświeżenia klasyki przypominamy „Kochankę Szamoty" Stefana Grabińskiego. Ci, którzy nie czytali wcześniej tego opowiadania, mogą odrobić lekcję z historii grozy. Nie bez powodu wybraliśmy właśnie ten tekst. Niebawem mają rozpocząć się zdjęcia do jego filmowej adaptacji. Magazyn Histeria dołączył do grona patronów tego projektu.

Nad wakacyjnym numerem unosi się duch rewolucji francuskiej. Wśród opowiadań znajdziecie trzy finałowe teksty z konkursu „Wolność, Równość, Histeria!", a na deser polecamy lekturę artykułu dr Elizy Krzyńskiej-Nawrockiej „Groza Dumasa", przybliżającego mroczną stronę twórczości autora „Trzech Muszkieterów".

Życzymy miłej lektury, a my wracamy do pracy nad kolejnym numerem. Do zobaczenia we wrześniu!

B. Jaworski i M. Zawadzki

WYZNANIA HISTERYKA

Paweł Cieliczko

Absolwent historii UAM, doktor literaturoznawstwa w Instytucie Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk, pomysłodawca i redaktor almanachów: „Warszawski przewodnik literacki" oraz „Poznański przewodnik literacki", prowadzi strony internetowe oraz profile na facebooku poświęcone tym projektom. Założyciel i prezes Fundacji na rzecz Badań Literackich, organizator wielu konferencji humanistycznych, redaktor tomów zbiorowych związanych z literaturoznawstwem.

Najpierw wygrałeś PO(E)dojrzany konkurs (razem z Agnieszką Kwiatkowską), później zająłeś drugie miejsce w konkursie Medium, a teraz decyzją czytelników zostałeś Histerykiem Miesiąca. Nie za dużo tego dobrego w ostatnim czasie?

W tym samym czasie nie odniosłem sukcesów w konkursie „Love Cthulhu" ani w konkursie „Wolność, Równość, Histeria". Są więc sukcesy, ale są i porażki, słowem – równowaga. Porażkami staram się nie przejmować, a sukcesami bardzo się cieszę i motywują mnie do pisania kolejnych opowiadań. Najwięcej satysfakcji sprawił mi „Noblowski cyrograf", który nagrodziło jury, a czytelnicy wybrali opowiadaniem miesiąca.

Jak wyglądała praca nad „Noblowskim cyrografem"?

Reymont to najmniej znany nasz noblista, a jest to postać niezwykle barwna. Pomyślałem, że warto wykorzystać konkurs na opowiadanie, któremu on patronuje, do opowiedzenia mrocznej historii osnutej wokół jego biografii. Wziąłem na warsztat kilka zdarzeń z życia pisarza, dodałem nieco ludzkich, niekoniecznie szlachetnych emocji, przyprawiłem to magią i okultyzmem, którymi się parał, a także odrobiną erotyzmu. Zaskoczyło mnie, że otwierająca opowiadanie scena inicjacji wywołała tak wiele przychylnych komentarzy, bo o seksie pisze się szczególnie trudno. Była groza i niesamowitość, był erotyzm, była rywalizacja pomiędzy wybitnymi pisarzami, była najważniejsza nagroda literacka, nieślubna córka oraz tajny pakt z wysłanniczką piekieł. Po wymieszaniu powstał „Noblowski cyrograf".

Gdzie można przeczytać więcej Twoich opowiadań?

Do pisania opowiadań zmotywował mnie PO(E)dejrzany konkurs „Magazynu Histeria". Potraktowałem go jako pretekst do przedstawienia alternatywnej wersji zniknięcia hrabiego Edwarda Raczyńskiego. Hrabia odstrzelił sobie głowę z armatki wiwatowej i pozostał po nim bezgłowy korpus, trudny do identyfikacji. Wobec takiej grozy rzeczywistości wersja alternatywna – „Horror domu Raczyńskich" – to było raczej soft. Sukces tego opowiadania skłonił mnie do napisania kilku kolejnych. Wszystkie wiążą się z niezwykłymi historiami rozgrywającymi się w Poznaniu lub jego najbliższej okolicy. Poznań uwielbiam i uważam za niesamowite miasto, które aż pulsuje od nadzwyczajnych opowieści i tylko czeka, by ktoś je opisał. Zakładam właśnie stronę www.niesamowitypoznan.pl, na której chciałbym prezentować niesamowite historie z Poznaniem w tle.

Pisanie to hobby czy coś więcej?

Pisanie sprawia mi ogromną frajdę i trudno mi sobie wyobrazić życie bez pisania, dotąd jednak nie zajmowałem się fikcją literacką, pisałem zawodowo teksty absolutnie „non-fiction". Przypadek noblisty Reymonta pokazuje bowiem, że z literatury trudno się utrzymać, wszak podstawą jego majątku nie były prawa autorskie do „Chłopów", „Ziemi obiecanej" czy „Komediantki", ale odszkodowanie wypłacone przez carskie koleje. Jestem z Poznania, a „poznaniacy piszą po pracy" i podobnie jest ze mną, nie umiałbym chyba potraktować pisania literatury jako zawodu.

Z czym kojarzy Ci się słowo histeria?

Od kilku miesięcy wyłącznie z „Magazynem Histeria". Bardzo spodobał mi się pomysł przyjęcia nazwy kojarzonej z kobiecą ekstrawertycznością i wyeksponowania jej zapomnianego znaczenia związanego z opętaniem, nawiedzeniem. Podobnym tropem staram się iść w swoich opowiadaniach. Starych mistrzów gatunku traktuję jako punkt wyjścia. Nie wydaje mi się bowiem interesujące pisanie kopii klasycznych opowiadań grozy, ale zapożyczenie z nich klimatu, sztafażu i opowiedzenia w tej konwencji zupełnie nowych opowieści.

rys. Dawid Boldys

DZIECKO REWOLUCJI

Magdalena Kucenty

Daremnie prosiła o dodatkowy koc. A gdy mimo przeszywającego na wskroś zimna i przygniatającego pierś niepokoju zdołała wreszcie zasnąć, zaraz ją obudzili, by zaciągnąć przed oblicze kolejnej z marionetek Robespierre'a. Armand spoglądał na nią z pogardą właściwą ludziom święcie przekonanym o słuszności swoich czynów. Właściwą rewolucjonistom.

Ze stoickim spokojem, wręcz obojętnie, wysłuchała zarzutów oskarżyciela. Większość z nich znała już na pamięć.

Czy potajemnie przekazywała pieniądze bratu? Oczywiście, że nie. Czy knuła spisek przeciwko Francji? Nigdy. To może uczestniczyła w legendarnej orgii październikowej? Ależ skądże.

Na koniec spytali, czy życzy sobie mieć adwokata. Szubrawcy dali jej niepotrzebną

nadzieję, a ona naprawdę chciała żyć, chociaż cały czas czuła to coś, co powoli zżerało ją od środka.

Następnego dnia, ledwie słońce wysunęło się znad horyzontu, została zaprowadzona do komnaty, w której ongiś król odczytywał edykty. Jej obecność wywołała natychmiastowe poruszenie w zgromadzonym na sali tłumie, każdy z rozradowanych widzów chciał zobaczyć siwe włosy, o których mówiły plotki, i bladą twarz o ściągniętych rysach, tak odmienną od oblicza zapamiętanego przez większość.

Dla nich była austriacką wilczycą, z lubością obwieszającą się drogimi klejnotami. Na karykaturach przedstawiali ją jako strusia o twarzy harpii, nie jako zmęczoną kobietę w znoszonej, wiele razy łatanej sukni żałobnej. Ze względu na jej stan, mimo protestów stłoczonych za barierami przekupek, Trybunał zezwolił, by po złożeniu przysięgi usiadła. A potem znowu przyszło jej odpowiadać na długą listę oskarżeń.

Czy…? Nie pamiętam. To może…? Nie sądzę. Ale przecież…? Nie mam nic do powiedzenia na ten temat.

Dopiero na widok wprowadzanego do komnaty chłopca poczuła, że ucisk w piersi nasila się. Jej syn wyraźnie podupadł na zdrowiu, miał podkrążone oczy i blade lico. A gdy usłyszała, jakie według zeznającego w jego imieniu Héberta są powody tego osłabienia, z trudem powstrzymała się przed zgłoszeniem sprzeciwu.

– Matka i ciotka nauczyły go nieprzyzwoitego plugawienia – powiedział twardo żurnalista. – Oskarżoną i jej syna łączyła nie tylko czysta miłość rodzicielska, ale również ohydny związek…

Wzrok jej twardniał, gdy wysłuchiwała niedorzecznych insynuacji dziennikarza, a serce miękło, kiedy kolejne potwierdzenia padały z ust jej syna.

Milczała, toteż oskarżyciel spytał, dlaczego nie zaprzecza zarzutom postawionym jej przez Héberta.

– Sama natura odmawia odpowiedzi na takie kalumnie wysunięte przeciwko matce – rzekła, a po krótkiej pauzie dodała z rozmysłem: – Zwracam się o zrozumienie do wszystkich matek, które mogą być obecne na sali.

Zadziałało. Raptem zmienne w nastrojach przekupki, które jeszcze niedawno żądały, by dla nich stała, zaczęły przekrzykiwać się w wyrazach współczucia i oburzenia.

– Jak tak można?! Co za paskudne oszczerstwa!

– Przerwać proces! Przerwać!

– Biedna kobieta… Każda matka ją zrozumie.

– Patrzcie, chłopiec się boi!

Bez złości, bez żalu spojrzała w błyszczące wilgocią oczy. Nie obwiniała syna o żadne z okropności, które wypowiedział. Była świadoma, kto mu je włożył w usta.

Po czterdziestym świadku przyszła wreszcie kolej na ostatnie przesłuchanie. Jej przesłuchanie. Czuła się wyczerpana, ale nie pozwoliła ramionom opaść ani głosowi osłabnąć. Nie znając tajnego zalecenia Héberta, które tenże skierował do Konwentu, mówiła wyraźnie i pewnie, a z czasem coraz śmielej, gdyż w tłumie zaczęły pobrzmiewać szepty aprobaty.

Nic to jednak nie znaczyło. Wszakże los jej głowy był z góry przesądzony.

***

Nie pamiętała, jak z powrotem trafiła do celi. Ktoś ją chyba podtrzymywał, gdy szła, ktoś inny coś do niej mówił.

Rozejrzała się po skromnym pomieszczeniu. Jak zawsze w kącie czuwało dwóch żandarmów – milczący, o ponurych obliczach, obserwowali ją bez ustanku, jakby jakimś cudem mogła jeszcze uciec. A ona leżała tylko na posłaniu, wciąż w tej samej sukni, którą nosiła podczas rozprawy. Wpatrzona w okratowane okno, dotykała z niedowierzaniem policzka, jakby chciała sprawdzić, czy jest jeszcze żywa, czy może już umarła.

Nagle poczuła znajomy, ostry ból w podbrzuszu, a ciepła wilgoć spłynęła jej po udzie. Znowu miała krwotok. Widać żyjący w niej potwór odgryzał kolejne kęsy ciepłego ciała, nie bacząc, iż lepka czerwień spływa mu po brodzie i dalej, na łono żywicielki.

Nic dziwnego, że apetyt jej nie dopisywał, kiedy Rosalie przyniosła posiłek. Za namową służącej wypiła trochę bulionu, ale nic więcej nie zdołała przełknąć. Potem poprosiła dziewczynę o osłonienie jej przed oczami żandarmów, by mogła się przebrać. Wciśnięta w niewielkie zagłębienie między ścianą a łóżkiem, zaczęła ściągać z siebie szatę, gdy jeden z mężczyzn podszedł bliżej i zaczął jej się przyglądać.

– Monsieur – podjęła, zakrywając chustą ramiona – przez wzgląd na przyzwoitość, pozwól mi zmienić strój na osobności.

Ale żandarm tylko prychnął wzgardliwie.

– Nie będę łamał wydanych mi rozkazów dla jakiejś Capet.

Popatrzyła na szczerby między jego zepsutymi zębami, na triumfalny uśmiech wykrzywiający brzydkie usta i już wiedziała, że mężczyzna miał za zadanie ostatecznie ją upokorzyć.

Westchnęła, w duchu żegnając się z resztkami godności, i na oczach mundurowca

wyciągnęła spod siebie zakrwawiony materiał, który zaraz wepchnęła w szczelinę muru. Następnie, najskromniej jak potrafiła, zamieniła czarną suknię na białą.

Niedługo później Charles Sanson, kat w czwartym pokoleniu, przyszedł, by ostrzyc jej cienkie włosy. Nożyce, które trzymał w wielkich jak bochny chleba łapskach, sprawiały wrażenie wystarczająco ostrych i długich do ścięcia głowy. Spostrzegłszy je, Rosalie zastąpiła drogę mężczyźnie, jakby obawiała się, że ten zamierza wykonać wyrok tu i teraz.

– Spokojnie, dziecko. Przecież nie zrezygnują z widowiska.

– Ależ, pani… – jęknęła rozpaczliwie służka, odwracając ku niej oblicze. W oczach o kształcie migdałów czaił się słabo skrywany lęk, obsiane punkcikami piegów jak nocne niebo gwiazdami lico ściągał grymas trwogi.

– Zasmakowałam już rewolucyjnej sprawiedliwości, w której werdykty są z góry ustalone, a procesy robione na pokaz – uspokoiła dziewczynę. – Nic gorszego nie może mnie już spotkać, drogie dziecko.

Po wyjściu kata skryła szare, krzywo przycięte kosmyki pod lnianym czepkiem i podeszła do żandarmów, oznajmiając swoją gotowość, jednak ci stwierdzili, że muszą jej jeszcze związać ręce.

– Z Ludwikiem tego nie robiliście – zaprotestowała, ale bez przekonania, nie sądziła bowiem, by sprzeciwami mogła cokolwiek osiągnąć.

Miała rację, mundurowcy zachowali się, jakby nie usłyszeli ani słowa. Kazali jej skrzyżować nadgarstki za plecami, a kiedy wykonała polecenie, jeden z mężczyzn złapał ją za ramiona i odgiął boleśnie do tylu. *Już niedługo*, pomyślała, gdy zaczął wiązać powróz.

Tym razem się jednak myliła.

***

Została posadzona na wozie jak zwykła zbrodniarka, plecami do ciągnących go perszeronów. Powolna, acz mająca zakończyć się szybką śmiercią procesja była niczym spektakl teatralny dla gawiedzi zebranej wzdłuż drogi wiodącej na Plac Rewolucji.

– Oto haniebna Austriaczka! Już po niej, przyjaciele! – głosił jadący na czele orszaku aktor, stając w strzemionach i wymachując szablą.

– I gdzie teraz są twoje ciastka, Messalina!? – szydziła z niej znajomo wyglądająca przekupka.

– To koniec, Madame Deficyt! – ryknął jakiś mężczyzna.

– Giń, Capet! Giń, wdowo! – krzyczało roześmiane dziecko uniesione na rękach

matki.

W ciżbie znajdowały się również smutne oblicza ci-devant. Byli arystokraci zaciskali usta w bezsilności, nie okazując wyrazów sympatii względem skazanej, a jedynie wodząc pociemniałymi oczami za jej wiotką i białą niczym duch postacią.

Ale ona nie wyglądała na przestraszoną, a wręcz przeciwnie – była spokojna, nawet szczęśliwa. Tylko raz w czasie procesji zachwiała się, zdradzając emocje – widok ogrodów Tuileries przyniósł jej wspomnienia słodkiej przeszłości, ukochanych dzieci i drogich przyjaciół, a oczy same wypełniły się łzami.

Zanim orszak dotarł pod szafot, opanowanie znów zagościło w jej rysach, a nowa siła wstąpiła w serce, dodając ciału niewidzialnych skrzydeł.

Zeszła z wozu niemalże bez niczyjej pomocy i mimo związanych rąk, krocząc lekko, ruszyła na spotkanie śmierci. Po drodze zatrzymała się tylko na krótki moment, by przeprosić kata, gdyż w euforii przydeptała mu stopę.

Potem skwapliwie ułożyła szyję w objęciach świętej gilotyny rewolucjonistów, opiekunki patriotów. Nie czuła już bólu skrępowanych nadgarstków ani ugryzień żerującego w trzewiach plugastwa. Gdy drewniana rama zatrzasnęła się na jej karku, Maria Antonina przymknęła powieki i z uśmiechem powitała dźwięk opadającego ostrza.

***

Pracownicy cmentarza przy ulicy d'Anjou nie mogli narzekać na brak zajęć. Wozy przyjeżdżały codziennie, czasami nawet kilkukrotnie w ciągu doby, po wierzch wyładowane zdekapitowanymi symbolami sprawiedliwości ludowej. Obcięte głowy zazwyczaj docierały na cmentarz razem z ciałami, często jednak były niesparowane – w takich przypadkach grabarze musieli dopasowywać części nieboszczyków.

Benjamin nawet lubił to zajęcie. Miało w sobie namiastkę jego dziecięcych marzeń, w których, jako cieszący się powszechnym poważaniem konsyliarz, składał okaleczonych i połamanych ludzi do kupy. Jako dorosły, niespecjalnie poważany grabarz, mógł chociaż przyszywać głowy ofiarom rewolucji. Starał się więc, by ściegi były równe i nie szpeciły zmarłych podczas ich ostatecznego spoczynku, a za usługę nie doliczał nawet jednego sous, w końcu wykonywał ją z dobrej woli, której nikt chyba poza martwymi nie potrafiłby docenić. A już na pewno nie Jean.

Benjamin nie rozumiał, co kobiety widziały w chudym blondynie o wiecznie smutnych, wodnistych oczach. Nie przepadał za chłopakiem, nie tylko dlatego, że podczas

pracy ten przechwalał się swoimi nocnymi podbojami, wyliczając, ile już złamał niewieścich serc. Jean nie krył się również z faktem, że trupy znaczą dla niego tyle samo co śmieci – najchętniej wrzucałby je do jednego dołu, a nie składał w trumnach i każdemu kopał osobny grób. Nie potrafił nawet docenić piękna przybyłej tego popołudnia la tête royale.

– Paskudna – prychnął tylko, odkrywając ciało ułożone na poczerniałych od krwi deskach. W przeciwieństwie do mniej ważnych osobistości arcyksiężna miała cały wóz dla siebie.

– Mhm – mruknął Benjamin.

Oczywiście nie zgadzał się z towarzyszem, co nie znaczyło, że zamierzał cokolwiek mówić. Wolał przyglądać się głowie kobiety – jej ostrym wciąż rysom, woskowej cerze i niemalże białym włosom. Co ciekawe, sine usta wykrzywiał lekki, a jednak wyraźnie widoczny uśmiech.

– Pora na obiad – stwierdził wpatrzony w bezchmurne niebo Jean. – Idziesz ze mną? – dodał pytająco, ale nie czekając na odpowiedź, okręcił się na pięcie.

– A zmarła?

– Przecież nigdzie nie ucieknie.

Benjamin znowu spojrzał na twarz nieboszczki, wzdrygnął się i zamrugał gwałtownie, myśląc, że wzrok go mami. Jednak kilka uderzeń serca później wargi Austriaczki wciąż były szeroko rozwarte, jak do krzyku.

– Nie, idź sam… – powiedział bardziej do siebie, gdyż Jean był już daleko.

Potem poszedł szukać zwłok jakiejkolwiek kobiety wśród tych dostarczonych na innych wozach. To nie było wcale proste – rewolucyjne żniwa zbierały zdecydowanie więcej męskich głów, toteż Benjamin zmitrężył trochę czasu. Zaczął nawet żałować, że wpierw nie schował zwłok arcyksiężny, a dopiero później nie wziął się za poszukiwania. Tylko jak wytłumaczyłby brak ciała, jeśli Jean zdążyłby wrócić?

Gdy wreszcie znalazł kobiece truchło, i to nawet odziane w biel, włożył je do trumny przygotowanej dla byłej królowej, po czym szybko zakrył wiekiem. Ręce mu się trzęsły i okrutnie pociły, ledwie zdołał utrzymać młotek, gdy wbijał gwoździe, a w tym czasie arcyksiężna spoglądała na niego z wozu.

Znowu się uśmiechała.

***

Rozedrgane płomyki świec zalewały duszne wnętrze grobowca ciepłym, kojącym

światłem. W pomieszczeniu znajdowały się dwie bliźniaczo podobne tumby – męża i żony, dawno zmarłych i zapomnianych przez świat. Na jednym Benjamin ułożył narzędzia, na drugim głowę oraz ciało arcyksiężnej. Potem ostrożnie, niemal pieszczotliwie dotknął pergaminowej skóry jej dłoni i przyjrzał się pociemniałym paznokciom. Jeden z palców drgnął nieznacznie.

Z dreszczem ekscytacji przebiegającym po plecach odwrócił się na chwilę, by sięgnąć po leżące na kamiennej płycie nożyce. Ręce znowu mu drżały, gdy rozcinał biały materiał sukni i pośpiesznie ściągał go ze zwłok, jednak momentalnie uspokoiły się, kiedy chwycił igłę i zaczął przeciągać nić przez wąskie oczko.

Zazwyczaj najpierw obmyłby ciało, ale tym razem czuł, że nie może marnować czasu. Pierwsze nakłucie wykonał bardzo powoli, ponieważ zimna skóra okazała się nienaturalnie ciągliwa, a niemalże czarna krew – wbrew prawom rządzącym martwymi – popłynęła z malutkiej rany.

Benjamin wpadł w trans. Wsłuchany w kapanie wody, łapczywie wciągał wilgotne powietrze, a światło płomieni tańczyło w jego rozszerzonych euforią źrenicach. Gdy pracował igłą, gruba nić mieniła się złocistymi refleksami, na powrót łącząc równo przeciętą szyję, zaś ciemna posoka zdawała się ożywać, dodatkowo spajając tkanki.

Przytrzymaj, wbij, przewlecz. Przytrzymaj, wbij, przewlecz. Przytrzymaj…

Grabarz nie potrafił powiedzieć, ile czasu minęło. Kiedy skończył swoje dzieło, duma rozpierała mu pierś i unosiła zwykle zgarbione ramiona. Nigdy nie wykonał równie pięknego ściegu.

***

Było ciemno. Tak strasznie ciemno.

Nie czuła już ani zimna, ani gorąca; ból również przestał dla niej istnieć, a jednak odnosiła wrażenie, że zostaje uniesiona, chociaż jednocześnie leży na mokrych deskach. Czyjeś palce chciwie obmacywały jej twarz, uradowane głosy wdzierały się do uszu, a metaliczny zapach krwi wypełniał nozdrza, mimo że nie była w stanie zaczerpnąć powietrza. Na dobrą sprawę nie była w stanie nic zrobić. Uwięziona w klatce własnego ciała, przekazywana z rąk do rąk, mogła tylko pytać Boga, czy trafiła do piekła i modlić się o łaskę zbawienia.

Bóg milczał, lud wznosił okrzyki. Wolność, równość, braterstwo!

Szczęśliwie świadomość rozpływała się w mroku, świat tworzył chaotyczną

mieszaninę dźwięków i zapachów, aż wreszcie wszystko zniknęło. To był koniec. A raczej miał być.

Nagle poczuła czyjś dotyk, potem lekkie szarpnięcie. Jedno, drugie, trzecie… Głos całkiem uwiązł jej w gardle, nie potrafiła wydobyć z siebie choćby najlżejszego westchnienia. Próbowała unieść powieki, ale coś musiało je zlepiać, trwała więc bezczynnie, zatraciwszy poczucie czasu. A gdy w końcu otworzyła oczy, była pewna, że nie zrobiła tego z własnej woli. Coś kontrolowało ją, jak zwykłą marionetkę.

Z przerażeniem dostrzegła pochylającego się nad jej nagim ciałem mężczyznę. Wyglądał bardzo przeciętnie, a zarysowująca granicę kędzierzawych włosów łysina i krzywy, płaski nos nadawały mu poczciwego wyrazu. Jednak nigdy tak nie przestraszyła się zwykłego człowieka.

– I co? Żaden docteur nie byłby w stanie uleczyć zmarłej… – mruczał pod nosem, zmywając wilgotnym gałganem zaschniętą krew z jej piersi. A gdy zauważył, że jest obserwowany, zrobił szybki krok w tył, poślizgnął się i upadł. – Ja… Wasza Miłość… – mamrotał pobladły, wpatrując się w jej szyję.

Uniosła się na łokciu i podążając za wzrokiem nieznajomego, wolną dłoń położyła na gardle. Nadal nie mogła wydusić słowa, nie wiedziała też, czy ma władzę nad swoim ciałem, czy jednak podąża za pociągnięciami niewidzialnych sznurków.

– Przyznaję, że nie jestem rojalistą, Wasza Wysokość – podjął na nowo mężczyzna, powoli zbierając się z ziemi – ale nie rozumiem, jak można zabijać tak piękne i delikatne istoty, jakimi są kobiety. Zawsze kupuję dla nich najlepsze nici. Przyniosłem również świeżą suknię dla Waszej Miłości. To znaczy, najświeższą, jaką zdołałem znaleźć wśród…

Nie zrozumiała do końca o czym, ale mówił długo i chaotycznie. Nie wiedziała również, dlaczego obsypywał ją tymi wszystkimi tytułami. Nagle uświadomiła sobie, że zupełnie nie pamięta, kim jest. Niemniej jednak nie zapomniała twarzy tych wszystkich ludzi, którzy chcieli jej głowy. Nie zapomniała bolesnych oszczerstw, poniżających gestów i doznanego cierpienia. Nie zapomniała okrzyków ludu.

Wolność, równość, braterstwo. To wszystko można odnaleźć w śmierci.

***

Benjamin dawno nie czuł się taki szczęśliwy. Na dobrą sprawę, odkąd przestał być dzieckiem i dotarło do niego, że nie zdoła spełnić żadnego ze swoich marzeń.

Od dłuższego czasu odnosił również wrażenie, iż nie jest potrzebny nikomu poza

zmarłymi. Ale teraz to się zmieniło. Poniekąd.

Nie mógł nazwać arcyksiężnej ani żywą, ani martwą. Wydawała się tkwić w swoistym zawieszeniu między tym a tamtym światem, niema, chłodna w dotyku, aczkolwiek nie zimna jak trup, z zastygłym w bezruchu sercem, lecz z pulsującymi życiem trzewiami. Benjamin czuł promieniujące z brzucha kobiety ciepło, gdy oczyszczał jej ciało, zaś od czasu do czasu coś poruszało się pod szarą skórą, delikatnie muskając mu palce.

Ku własnemu zaskoczeniu tym razem nie zląkł się, a jedynie zawiódł, pojąwszy, że to nie w jego drogich niciach i idealnym ściegu tkwiła przyczyna cudownego ożywienia Austriaczki. Aczkolwiek w mig się rozpogodził, gdy już nocą zasunął sztabę ciężkich, zaśniedziałych drzwi prowadzących do grobowca.

Przecież znalazł wreszcie kobietę, która będzie na niego czekać.

***

Było głodne. Tak strasznie głodne. Żerowało w jej wnętrznościach, a gdy te obumarły, jako lalkarz domagało się od niej świeżego pożywienia. Nie wiedziała skąd, nie wiedziała jak, ale była tego pewna.

Pogrążona w całkowitych ciemnościach, leżąc na twardej płycie nagrobnej, nie potrafiła myśleć o niczym innym.

***

Następnego dnia słońce świeciło jakby jaśniej, dzięki czemu Benjamin zaczął dostrzegać rzeczy, których dotąd nie zauważał. Szary, ponury cmentarz zapłonął barwami narodowymi: błękitne niebo rozpościerało się nad umrzykami, czerwień ich krwi wsiąkała w deski wozów, a ciała bieliły się od sypkiego wapna.

Oczywiście Jean musiał zakłócić tę wspaniałą harmonię swoim niedbalstwem.

– No, skończyłem – oznajmił, układając w trumnie ostatnie z dostarczonych zwłok i nic nie robiąc sobie z faktu, że ułożył głowę ciemnowłosej kobiety o ustach niczym płatki róż przy barczystym karku przechodzącym w kudłatą pierś i wydatne brzuszysko.

– Ale… przecież… – Benjamin wskazał palcem na rozsypane w nieładzie pukle, na czarne oczy pusto wpatrzone w firmament i westchnął. – Proszę, zajmij się kopaniem, a ja tu dokończę.

Blondyn rzucił mu ponure spojrzenie, ale zastosował się do prośby. Po jego odejściu

Benjamin rozpoczął pracę – odbił wieka trumien i uporządkował ciała, opierając się pokusie, by zabrać ciemnowłosą do grobowca. Mógłby tym urazić arcyksiężną, a może nawet wywołać w niej zazdrość?

Ta myśl sprawiła, że zatęsknił do kobiety.

***

Usłyszawszy dźwięk odsuwanej sztaby, odwróciła głowę i zmrużyła oczy. Snop światła wdarł się do wnętrza krypty, a pospieszne kroki odbijały pustym echem od kamiennych schodów i ścian, potęgując narastający w niej lęk.

Zmusiła się, by popatrzeć na mężczyznę i poczuła jednocześnie ulgę oraz rozczarowanie.

Ulgę, gdyż wbrew własnym obawom nie rzuciła się na niego w szaleństwie głodu. Rozczarowanie, bo choć żołądek dawno przysechł jej do kręgosłupa, widok piętki czerstwego chleba i miski z polewką nie przyniósł żadnej radości.

– Wybacz, pani, jestem tylko skromnym grabarzem… – powiedział z zawstydzeniem mężczyzna, podając jej naczynie.

Postarała się uśmiechnąć i chociaż pieczywa nie tknęła, to wzięła kilka łyków zupy. Zaraz jednak zemdliło ją, więc odstawiła miskę. Nie chodziło o to, że posiłek był skromny, po prostu żyjąca w niej istota potrzebowała czegoś zgoła odmiennego do przetrwania. Ale czego?

Spojrzała w rozświetlone uwielbieniem oczy mężczyzny, jakby szukając w nich odpowiedzi, i nagle zasłabła.

– Coś się stało, pani? – spytał, podtrzymując ją. – Jedzenie ci nie odpowiada?

Pokręciła głową, potem przytaknęła. Wreszcie poruszyła wargami w niemym podziękowaniu. Nie wiedziała, jak ma bez słów opisać swoje rozterki.

Najwyraźniej mężczyzna zdołał odczytać część emocji wymalowanych na jej obliczu. Gdy tylko położyła się z powrotem, ruszył do wyjścia, żarliwie zapewniając:

– Już rozumiem, pani. Już wszystko rozumiem!

Znowu cisza i ciemność zapanowały w jej świecie. Nie miała pojęcia, ile czasu minęło, ale senne otępienie zdążyło na dobre zagłuszyć głód i po raz kolejny to mógł być koniec. Jednak coś w niej drgnęło na dźwięk obcego głosu.

– Nie rozumiem, czemu jakieś nietoperze miałyby przeszkadzać umarlakom. A pewna gorąca kuchareczka tęskni za…

– To nie potrwa długo, Jean.

Chwilę później zobaczyła obu mężczyzn. Grymas niezadowolenia na twarzy pierwszego ustąpił wyrazowi czystego oszołomienia. Młodzieniec rozwarł szeroko usta, jednak zamiast krzyku w zatęchłym powietrzu rozbrzmiało głuche uderzenie łopaty roztrzaskującej czaszkę. Dopiero wtedy dostrzegła podłużne narzędzie w rękach drugiego grabarza.

Tym razem nie uwielbienie, a zła radość rozświetlała mu oczy.

– Proszę, pani, to dla ciebie… Tego potrzebujesz, prawda? – spytał, odkrywając przed nią swe szaleństwo.

Tak, czuła jego nienawiść. Jego zazdrość. Niczym zahipnotyzowana uniosła się z kamiennej płyty, stopy same poniosły ją w stronę mężczyzny. Widząc to, rozpromienił się radośnie, a kiedy ujęła stylisko łopaty w kościste palce, posłusznie oddał jej narzędzie.

Ale gdy wzięła zamach, uśmiech spełzł mu z ust.

***

Wreszcie ujrzała marionetkowe sznurki. Czarne niczym otchłań wychodziły z wnętrz jej dłoni i wślizgiwały w ranę na czole grabarza.

Mężczyzna wciąż żył. Wpatrywał się w nią, łzy swobodnie spływały mu po policzkach, broda drżała w bezsilności.

Tak jak ona nie był w stanie się poruszyć. Tak jak ona należał już do lalkarza.

Czarne pnącza gęstą siecią oplotły poczciwe oblicze, łapczywie wyciągając na wierzch najgorsze z ludzkich emocji. Grymas zazdrości. Nienawistne skrzywienie warg. Spojrzenie pełne gniewu.

Aż wreszcie w mężczyźnie pozostał tylko żal za utraconym życiem.

– Przepraszam – ułożyła usta w słowo, które tak bardzo chciała wypowiedzieć, podczas gdy sznurki lalkarza na powrót chowały się pod skórą.

Potem zaczęła biec. Jej ciało na złudny moment znów słuchało się woli, nowa siła wypełniała członki.

Na zewnątrz było całkiem widno, księżyc wyszedł słońcu na spotkanie. Mimo to potykała się o kamienie, o własne stopy grzęznące w spulchnionej ziemi, aż któregoś razu upadła na kolana. Bezdźwięczne łkanie wstrząsnęło jej piersią, gdy w duchu spytała Niebiosa, za co została tak okrutnie ukarana.

Popatrzyła na swoje dłonie, na zarys poczerniałych żył i omiotła nekropolię spłoszonym spojrzeniem, wsłuchując się w zawodzenie wiatru. Na razie towarzyszyli jej tylko

martwi, ale czym prędzej podniosła się z ziemi. Musiała znaleźć jakieś okrycie.

Po chwili już ściągała poszarpaną kapotę ze znalezionego nieboszczyka, a zmówiwszy krótką modlitwę za jego duszę, nałożyła płaszcz na siebie i naciągnęła głęboko kaptur. Skoro Bóg wciąż milczał, gdzie indziej musiała szukać odpowiedzi.

Wraz ze zmierzchem opuściła cmentarz. Dopóki była pośród świeżych grobów i oczekujących na pochówek ciał, dopóty wszechobecny zapach śmierci wydawał jej się czymś naturalnym. Jednak im bardziej oddalała się od ulicy d'Anjou, smród zepsucia zamiast zelżeć, gęstniał i przybierał na sile. Niesiony podmuchami wiatru, wymieszany z cuchnącą wonią szczurzych odchodów i wylewanych na trotuar ekskrementów, zduszony obecnością chylących się ku ziemi budynków i ciasnotą wijących się między nimi przejść, niczym wartka rzeka zalewał Paryż.

A przecież w jej mglistych wspomnieniach stolica była piękna, pachniała świeżymi kwiatami i wytwornym jedzeniem, rozbrzmiewała muzyką fortepianu i perlistym śmiechem dzieci. Jednakże, klucząc wąskimi uliczkami, dostrzegała tylko ściągnięte głodem, brudne oblicza, słyszała dalekie odgłosy kłótni, chrapliwe rzężenie gruźliczego kaszlu i kwilenie niemowlęcia skrytego w objęciach żebrzącej kobiety. Widziała dziewczynę, która ledwie odrosła od ziemi, a już wystawiała swoje ciało na sprzedaż. Długo spoglądała na chłopca, który z rozpalonymi gorączką oczami bawił się pośród śmieci.

Dopiero, gdy idąc, rozchlapała kałużę, zauważyła krople drobnego deszczu skapujące z nagle zachmurzonego nieba. Szybko wpadła w ślepy zaułek, spękany mur zastawił jej drogę, z czerwonych cegieł spoglądał struś o twarzy harpii. Nie miała wątpliwości, że karykatura przedstawiała ją, więc gdy odczytała wymalowane białą farbą napisy, zadrżała z obrzydzenia. Czy naprawdę zrobiła to własnemu synowi? Czy potwór, który żył w jej trzewiach, był owocem tego ohydnego grzechu?

Nie, to niemożliwe.

Uciekła stamtąd, nie oglądając się za siebie. Otoczył ją świat szarych smug, siekącego deszczu i chlupoczącego błota. Nie wiedziała, czy po policzkach spływają jej tylko krople wody, czy dołączyły do nich łzy.

Nie, powtarzała w duchu. *To niemożliwe. Nigdy bym tego nie zrobiła.*

W ślepym amoku dotarła na Plac Rewolucji – poza szumem ulewy słyszała teraz ciche łkanie i złośliwy śmiech wielogłosów. Zamarła na widok stojących pod szafotem ludzi, ledwie dostrzegając odcinające się na tle mroku bielą gołej skóry, szeroko rozłożone stopy, których podrygi wymuszały brutalne pchnięcia męskich lędźwi.

– Kurewka arystokratów – wydarł się któryś z gapiów.

– Teraz ja! – krzyknął drugi.

Mogła tylko patrzeć, jak kolejni mężczyźni wspinają się na szafot, by dać upust swoim żądzom. I nagle do jej myśli wsączyły się wspomnienia, przed którymi próbowała uciec jeszcze za życia. Pamięć pierwszego upokorzenia, które nie zostało zaplanowane z bezlitosną precyzją jak wszystkie inne, a zrodziło się ze zwierzęcej chuci i pierwotnego pragnienia dominacji. O tamtej nocy wiedzieli tylko ona i dwaj żandarmi.

Pochyliła głowę, dłonie złożyła na brzuchu. Czekała. Niebo zdążyło się rozpogodzić, na granatowym firmamencie zalśniły srebrzyste punkciki gwiazd. A gdy wreszcie zbiorowisko nasyciło się cierpieniem zgwałconej dziewki, porzucając ją na mokrych deskach niczym znoszony płaszcz, podeszła bliżej i przyjrzała się udręczonemu ciału. Nagie piersi unosił płytki, urywany oddech, oczy w kształcie migdałów skrzyły się od nienawiści i bólu.

Z czułością przyłożyła dłoń do wilgotnego policzka, a czarny bluszcz oplótł piegowatą twarz, przebił skórę i zatopił się w przesiąkniętym bezsilnym gniewem umyśle. Potem delikatne rysy stężały na moment, by w ostatniej sekundzie życia wygładzić się w wyrazie smutnej rezygnacji.

Antonina przymknęła powieki ongiś drogiej jej sercu dziewczynie i wstając powoli, rozejrzała się po zalanym deszczem placu. Jeszcze wiele razy miała odwiedzić to miejsce, by skryta w tłumie obserwować egzekucje kolejnych bojowników o wolność. By odprowadzić wzrokiem Héberta i Robespierre'a i tak jak teraz złożyć dłoń na swoim pęczniejącym brzuchu, w duchu prosząc Niebiosa o przebaczenie dla jej ludu. Bowiem wiedziała już, że to nie Bóg jest ojcem żyjącej w niej istoty. Wiedziała, że nosi w łonie dziecko Wielkiej Rewolucji. Dziecko człowieka.

rys. Roman Panasiuk

DZIEŃ OPIEKUNA

Tomasz Graczykowski

Czwartego września rano do Azylu przywieziono kolejną dziewczynkę. Była to ładna blondynka o fiołkowych oczach, ubrana już, jak wszystkie podopieczne, w granatowy mundurek. Kiedy po raz pierwszy usiadła z innymi w stołówce przy śniadaniu, z jej niewinnej twarzy biła dezorientacja. Oraz zdziwienie, gdyż widok około pięćdziesięciu dzieci zebranych w jednym miejscu i siedzących w absolutnej ciszy był dla niej nienormalny.

Dom Dziewczynki w Easting nazywano właśnie Azylem. Najpierw mówili tak o nim Opiekunowie, twierdząc, iż jest to bezpieczna przystań porzuconych i osieroconych dzieci, schronienie przed okrucieństwem świata zewnętrznego. Później także dziewczynki nauczyły się tak nazywać swój kolejny dom, jednakże myślały o nim w kategoriach różnych od tego,

co mówili Opiekunowie. One wiedziały, że jest to schronienie tylko dla nich, dla Opiekunów. Ich prawdziwy azyl.

Nowa mieszkanka nie wiedziała niczego o Azylu. Była nieśmiała i zagubiona, lecz w jej fiołkowych oczach nie gościł lęk. Rozglądała się ciekawie wokoło, podczas gdy inne dzieci siedziały ze spuszczonym wzrokiem, wbijając go w swe dłonie i talerze. Nie odzywały się i nie rozglądały, siedziały tylko w ciszy, jakby nie były wcale małymi dziewczynkami.

Nazywała się Alison. Ona jedna patrzyła na trójkę Opiekunów przechadzających się między stołami. Przyglądała się starej pannie Horefox i jej zaszytemu grubą, czarną nicią lewemu oku, spoglądała na pozbawioną palców prawą dłoń kulejącego pana Staxa, i zastanawiała się, cóż takiego mogło im się przytrafić. Pokrywających cały brzuch blizn pani Nemedy nie widziała, ale i ona wydała jej się okaleczona. Może takie wrażenie sprawiała jej ciągle wykrzywiona w gniewnym grymasie twarz i zimny wzrok. A może nie.

Mimo tego, że Opiekunowie uśmiechali się do niej od czasu do czasu i patrzyli na nią z ciekawością, ona z jakiegoś powodu szybko przestała im się przyglądać i nie odwzajemniała już uśmiechów. Może zawstydzało ją ich widoczne kalectwo, może zaczynała wyczuwać ich dwoistą naturę. A może nie.

Trafiła do Azylu w nieodpowiednim czasie, choć jeszcze o tym nie wiedziała. Niedługo, bo już pierwszego października, wypadał obchodzony tylko tutaj Dzień Opiekuna. Gdyby przybyła miesiąc później, miałaby niemal cały rok do następnego. A tak i ona musiała teraz w nim uczestniczyć. Czy tego chciała, czy nie ...

***

Pierwszy dzień w Domu Dziewczynki minął jej szybko, choć większość czasu spędziła w przydzielonym pokoju całkiem sama. Po śniadaniu wraz z innymi dziewczynkami poszła na lekcje do dużej, wypełnionej stolikami sali. Stara panna Horefox mówiła przez całe cztery godziny, a żadne z dzieci nie pisnęło ani słowa. Wszystkie siedziały tylko i słuchały, bo i panna Horefox o nic nie pytała. Opowiadała i opowiadała, raz o jednym, raz o drugim, a z tego całego monologu Alison zapamiętała tylko historię o Mary i Opiekunie.

Przed dwudziestu laty w Domu Dziewczynki była czwórka Opiekunów. Stara panna Horefox, pan Stax, pani Nemedy i pan Oliver. Przebywało tutaj wtedy kilkakrotnie więcej dziewczynek niż obecnie, jako że Azyl był bardzo dużym budynkiem. Obydwa jego trzypiętrowe skrzydła były zajęte i wykorzystywane, a teraz wszyscy mieszkańcy mieścili się w jednym, w którym i tak było jeszcze sporo pustego miejsca.

Pewnego pochmurnego, wrześniowego dnia 1880 roku jedna z dziewczynek zniknęła. Jej siostra, Mary, obudziła się, a łóżko Susie było puste. Po krótkim czasie Opiekunowie rozpoczęli poszukiwania, ale nie odnaleziono ośmioletniego dziecka.

Mary była zrozpaczona. Płakała i płakała, aż po kilku tygodniach ból przyprawił ją o szaleństwo. Niesłusznie, opowiadała panna Horefox, obwiniła za zniknięcie siostry pana Olivera. Podczas kolacji, kiedy ten przechodził obok jej stolika, Mary nagle rzuciła się na niego i wbiła mu widelec w głowę. Później, wrzeszcząc, wybiegła ze stołówki i zniknęła, do dziś nie wiadomo gdzie. Od tamtego wieczoru nikt jej nie widział.

Dziwną i straszną wydała się Alison ta historia. Nie rozumiała, dlaczego stara panna Horefox mówiła dziewczynkom o śmierci pana Olivera. Dorośli nigdy nie mówili o takich rzeczach w obecności dzieci, jednak zaraz się to wyjaśniło, bo Opiekunka dodała, że pan Oliver zginął pierwszego października i dlatego wtedy obchodzi się w Azylu Dzień Opiekuna.

Jak?, chciała zapytać Alison. *Jak się go obchodzi?*

Ale nie miała odwagi. Siedziała cicho jak inne dzieci, ciągle rozmyślając o śmierci pana Olivera oraz losie Susie i Mary.

Mimo tego, że spędziła w Azylu dopiero pierwszy dzień, panująca w nim atmosfera tajemniczości i dziwaczność tego miejsca sprawiały, że jak inne dziewczynki stawała się wyciszona. Czuła już także niechęć do kalekich Opiekunów i spoglądała na nich nieufnie, choć jeszcze rano nie była do nich uprzedzona. Wydawali jej się krańcowo różni od ludzi, z którymi stykała się dotychczas. Biła od nich jakaś złowróżbna aura nienaturalności, co tylko utwierdzało Alison w przekonaniu, że jej nowy dom jest miejscem... innym. Była tutaj obca i tak też się czuła. Azyl był dziwny. Niesamowity.

***

Dzieliła pokój z dwiema innymi dziewczynkami. Jego skąpy, ascetyczny wystrój robił ponure wrażenie. Nic nie wisiało na pożółkłych, pokrytych pajęczynami ścianach, stały w nim trzy łóżka, trzy małe szafki i jedna szafa. Był to jeden z tych dużych, dwudrzwiowych mebli koloru ciemnego brązu, w jakich wieszało się płaszcze i kurtki. Jedyne okno wychodziło na gęsty las, lecz szyby były tak brudne, że drzewa wyglądały, jakby wiecznie otulała je mgła.

Nie wiedziała, jak nazywają się jej dwie towarzyszki. Był już wieczór, a do niej nikt nie wyrzekł jeszcze ani słowa. Ona także nikogo nie zagadnęła, przytłoczona panującą w Domu Dziewczynki atmosferą. Poza tym bała się reakcji dziewczynek, które by zaczepiła.

Były jej rówieśniczkami, ale wydawały się nie mniej dziwne niż trójka Opiekunów. Tyle że one nie wywoływały w niej lęku.

Otworzyła małą walizkę i zaczęła wkładać swoje rzeczy do szafki przy łóżku. Nie miała ich dużo, więc wszystkie oprócz jej starego ubrania się zmieściły. Mundurek powiesiła w szafie obok dwóch innych, należących do dziewczynek przebywających z nią w pokoju.

Mały zbiorek opowiadań różnych autorów położyła na szafce. Książeczka ta była jej najcenniejszym skarbem, jedyną rzeczą, do której była przywiązana. Czytała ją już dziesiątki razy, ale wiedziała, że zrobi to jeszcze niejednokrotnie.

Zauważyła szybkie spojrzenia, którymi dwie leżące w łóżkach dziewczynki obrzuciły jej książkę. Wzbudziły jej niepokój, więc schowała ją do szuflady szafki. Zawsze przecież mogła wyciągnąć ją wtedy, kiedy będzie miała ochotę poczytać.

Położyła się na łóżku i popatrzyła na swe towarzyszki, które wpatrywały się w sufit, leżąc pod kołdrami. Po chwili odwróciła wzrok, ale tylko po to, by zaraz znowu na nie spojrzeć.

– Jak się nazywacie? – zapytała, lecz na próżno; tamte udały, że nie słyszą. Alison westchnęła, zdmuchnęła świecę i naciągnęła kołdrę pod brodę. Nie podobał jej się pierwszy dzień w Azylu.

***

Nie mogła zasnąć. Dom Dziewczynki wydawał się żyć własnym życiem po zapadnięciu ciemności. Zewsząd dobiegały ją jakieś odgłosy. Rozlegały się ciche kroki za drzwiami, coś szurało i zgrzytało, skrzypiały deski podłogi. Leżała i leżała, wodząc wzrokiem w mroku i czekając, aż wreszcie zmorzy ją sen. Ciągle jej się wydawało, że ktoś przystaje pod drzwiami jej pokoju, nasłuchuje, odchodzi i wraca, by odejść i wrócić znowu. Nie chciała wychodzić z łóżka, by to sprawdzić, więc naciągnęła tylko kołdrę na głowę i czekała na nadejście poranka.

***

Minęło kilka dni. Takich samych, nacechowanych dziwacznością dni. Alison nadal z nikim nie rozmawiała, gdyż dziewczynki, z którymi próbowała nawiązać kontakt, milczały jak zaklęte. Opiekunowie uśmiechali się do niej, ale ona wolała unikać rozmów z nimi. Bała się ich odmienności i spojrzeń, jakimi ją obrzucali.

Siódmy dzień jej pobytu w Azylu skończył się tak samo szybko jak poprzednie. Znowu znajdowała się w swym łóżku, jednak w przeciwieństwie do jej dwóch towarzyszek ciągle miała kłopoty z zasypianiem. W pokoju panowała ciemność, spod ściany dobiegały ją ciche oddechy śpiących dziewczynek. Alison słuchała trzeszczenia starego budynku, wpatrując się w mrok i rozmyślając, kiedy nagle w korytarzu rozległy się jakieś dźwięki. Zaintrygowana zaczęła nasłuchiwać uważniej i po chwili dotarł do niej odgłos cichych, zanikających kroków. Przez kilka następnych minut nie słyszała niczego, lecz później kroki powróciły. Coś stuknęło, mlasnęło i rozległ się wyraźny odgłos szurania. Coś szurało i szurało, raz i drugi plusnęła woda, a ciekawość Alison nasilała się coraz bardziej. W końcu cicho wstała z łóżka i boso, w samej koszuli nocnej, podeszła do drzwi pokoju. Jej drobne ciało przeniknął chłód i pokryła je gęsia skórka, a w trzewiach zagościł strach. Położyła dłoń na gałce drzwi i zaczęła wolno, bardzo wolno ją obracać, mówiąc sobie, że musi dowiedzieć się, co się dzieje w tym dziwnym miejscu. Walcząc z przemożną chęcią powrotu do łóżka, obróciła gałkę do końca i pociągnęła lekko drzwi do siebie. Uchyliła je na kilka centymetrów, potem jeszcze na kilka, a szuranie stało się wyraźniejsze i jeszcze bardziej intrygujące. Wystawiła ostrożnie głowę za drzwi i rozejrzała się. Na korytarzu paliły się dwie lampy, oświetlając go wystarczająco, by dziewczynka mogła ujrzeć odwróconego do niej plecami pana Staxa. Klęczał na podłodze w odległości dwóch metrów od niej, tuż pod drzwiami sąsiedniego pokoju, a obok niego stało blaszane wiadro z różową wodą. W lewej ręce Opiekun trzymał mokrą szmatę, którą wycierał podłogę korytarza, a przedramię prawej miał owinięte bandażem. Alison wychyliła się bardziej i zobaczyła pokrywające deski ciemne plamy i rozmazane smugi, które pan Stax usiłował zmyć. Skupiony na swej pracy, ciężko oddychając i sapiąc, nie dostrzegł jej obecności. Dziewczynka cofnęła głowę i wolno zamknęła drzwi, ostrożnie przekręcając gałkę. Udało jej się zrobić to bezszelestnie, czego dowodził nieprzerwany odgłos szurania. Wróciła do swego łóżka i nakryła się cała kołdrą, próbując uspokoić myśli kłębiące się w jej głowie.

***

Wychodząc rano do łazienki, Alison spojrzała na podłogę, na której nie widniały już żadne ślady. Kiedy po kilku minutach wracała, miała ochotę zajrzeć do pokoju swych sąsiadek, lecz drzwi były zamknięte. Nocne zachowanie pana Staxa bardzo ją intrygowało, dlatego zatrzymała się przed drzwiami i przekręciła gałkę. Pchnęła je i weszła do środka, udając po chwili zmieszanie, rozglądając się i mówiąc, że się pomyliła. Puste spojrzenia

dwóch dziewczynek odprowadzały ją, kiedy ze spuszczonym wzrokiem opuszczała pokój. *Dwóch*, pomyślała, stojąc na korytarzu, *a nie trzech, jak było jeszcze wczoraj. Co się z nią stało? Co przydarzyło się trzeciej, szatynce?*

Weszła do swego pokoju i zamknąwszy za sobą drzwi, zaczęła ścielić łóżko. Skonstatowała, że mimo wczesnej pory łóżko szatynki z pokoju obok było już równiutko pościelone.

Ubrała przepisowy mundurek, rozczesała długie blond włosy, choć bez lustra nie mogła zrobić tego dokładnie, po czym udała się do stołówki na śniadanie.

***

Ani w stołówce, ani na wykładzie starej panny Horefox nie widziała dziewczynki z sąsiedniego pokoju. Żaden z Opiekunów nie wspomniał też ani słowem o nocnych wydarzeniach, których była świadkiem, a tym bardziej o nieobecności szatynki. Jednak Alison była pewna, że przydarzyło jej się coś złego. Utwierdzał ją w tym przekonaniu widok białego bandaża na przedramieniu pana Staxa.

Dziewczynkę ciekawiło, co stało się Opiekunowi, jak się zranił. Najbardziej prawdopodobnym wytłumaczeniem wydawało jej się to, że to szatynka właśnie zraniła go czymś, może nożyczkami, kiedy ten ją gdzieś zabierał. I znacznie bardziej obawiała się teraz trójki dziwacznych Opiekunów, gdyż nie wiedziała, czego może się po nich spodziewać.

***

Minęło siedem dni od zniknięcia sąsiadki Alison, a każdego kolejnego ranka tych siedmiu minionych dni okazywało się, że brakuje następnej dziewczynki. Alison bała się zasypiać, nigdzie nie czuła się bezpieczna. Ciągle miała świadomość tego, że i ją Opiekunowie mogą gdzieś zabrać i nie wiadomo co z nią zrobić. Ich winę zdawało się potwierdzać to, że nie powiedzieli absolutnie niczego o ośmiu brakujących dziewczynkach. Udawali, że nie zauważają ich zniknięcia, że nie dzieje się nic niezwykłego. Zachowywali się, jakby wszystko było w porządku, a dziewczynki obwiniały ich o tajemnicze zniknięcia, więc nie miały nawet zwrócić się do kogo o pomoc. Zresztą Alison miała wrażenie, że tylko ją to obchodzi, gdyż pozostałe mieszkanki Azylu cechowała ciągle ta sama apatia. Nadal żadna z nich się do niej nie odezwała, nadal traktowały ją jak powietrze. Było jej z tego powodu bardzo smutno. Nie miała z kim porozmawiać, nie mogła podzielić się z nikim swoimi

troskami. Czuła się wyobcowana i odtrącona, a bardzo potrzebowała kontaktu z kimś, czyjejś bliskości.

***

Po czterech kolejnych zniknięciach Alison doszła do wniosku, że w Azylu dzieje się coś, o czym nie wie tylko ona. Była przekonana, że dziewczynki potrafią wyjaśnić zniknięcia swych towarzyszek, że wiedzą, gdzie zabierają je straszni Opiekunowie. Nie wiedziała czemu, ale była także pewna, że te dziwne wydarzenia mają związek z nadchodzącym Dniem Opiekuna. Był dwudziesty drugi września, więc zostało do niego zaledwie osiem dni. Czuła przez skórę, że coś się wtedy wydarzy. Nie wiedziała tylko co.

Otrząsnęła się z tych ponurych rozmyślań i rozejrzała się. Była w sali wykładowej, głos starej panny Horefox docierał do niej jak zza ściany, a miejsca dwunastu zaginionych dziewczynek były puste. Nikt ich nie zajmował, jakby wychowanki Azylu wyszły tylko na chwilę i miały zaraz wrócić.

***

Zaginęło dwanaście dziewczynek. Ta myśl nie dawała Alison spokoju nawet teraz, kiedy dzień dobiegał końca, a ona kładła się do łóżka. Nikt o nich nie mówił, wszyscy udawali, że nie zauważają ich nieobecności. Ale ona nie potrafiła przestać o tym myśleć, nie mogła zrozumieć, dlaczego Opiekunowie gdzieś je zabrali i co z nimi zrobili.

Wcześniej tego dnia, po kolejnym nużącym wykładzie starej panny Horefox, z którego znowu niczego właściwie nie pamiętała, próbowała porozmawiać z jedną z dziewczynek. Zadała drobnej, wylęknionej brunetce kilka pytań, ale ta tylko spuściła wzrok i mruknęła coś cicho pod nosem. Nie chciała lub bała się nawiązywania kontaktu, a Alison nie naciskała. Drobna brunetka i tak już była zamknięta w sobie, więc uporem mogłaby tylko pogorszyć sprawę.

Jak zwykle nie mogła zasnąć. Leżąc w pogrążonym w ciemności pokoju i słuchając regularnych oddechów śpiących towarzyszek, zastanawiała się, czy i ją porwą Opiekunowie. Rozmyślała nad tym, czy zniknie jak dwanaście dziewczynek, czy będzie trzynastą lub jedną z kolejnych.

Nie wiedziała. Nie wiedziała także, dlaczego Opiekunowie zabierali z łóżek niewinne dzieci i – co ważniejsze – co działo się z nimi już po zniknięciu. Bała się tej wiedzy, jednak

znacznie bardziej męczyła ją bezsilność. Czuła, że musi zrobić cokolwiek. Spróbować odnaleźć zaginione dzieci, dowiedzieć się, jaki los je spotkał. Bezradność i bierne oczekiwanie na to, co się jeszcze w Azylu wydarzy, były ponad jej siły.

Wstała z łóżka, starając się zrobić to jak najciszej, by nie zbudzić śpiących towarzyszek. Zdziwiła się przy tym, że mogą spać tak spokojnie, kiedy inne dziewczynki znikają ze swych łóżek.

Podeszła boso do drzwi, a chłód ogarnął całe jej drobne ciało. Była w samej koszuli nocnej, jednak nie chciała robić hałasu, wyciągając ubrania z szafki.

Wydało jej się nagle, że cały stary budynek zamarł w oczekiwaniu, tak nienaturalna i głęboka nastąpiła cisza. Mnogość odgłosów, które słyszała każdej nocy, leżąc w łóżku, teraz gdzieś zanikła. Alison zamierzała wyjść z pokoju, a Dom Dziewczynki zdawał się na to czekać. Jej przyspieszony oddech brzmiał w uszach niczym szum wiatru, serce waliło tak bardzo, że jego dudnienie powinno zbudzić dwie śpiące towarzyszki.

Przekręciła wolno gałkę drzwi i uchyliła je. Rozległo się ciche i krótkie skrzypienie zawiasów, a Alison pociągnęła drzwi mocniej i wyszła na ciemny korytarz. Paliła się tylko jedna lampa na jego końcu, przy schodach, niemal wcale nie rozpraszając nocnych ciemności.

Alison nie wiedziała, gdzie ma iść. Ruszyła w kierunku schodów. Sądziła, że może ujrzy porywających kolejne dziecko Opiekunów. Może też zobaczy, dokąd je zabierają. Nawet takie przypadkowe działanie było dla niej lepsze niż bezczynność.

Długi, tonący w mroku korytarz wydawał się być miejscem z innego świata. Szła w kierunku lampy, której światło podtrzymywało ją na duchu i dodawało odwagi. Dotarła do schodów i zatrzymała się niezdecydowana. Na dole znajdowała się stołówka i kilka pomieszczeń, w tym pokój pana Staxa, na górze zaś kilka pokoi zajmowały dziewczynki, pani Nemedy i stara panna Horefox. Postanowiła udać się na drugie piętro i zaczęła wchodzić po schodach. Z każdym kolejnym stopniem światła ubywało, a gdy znalazła się na półpiętrze, przed nią była już tylko ciemność. Przystanęła na chwilę, ale zaraz znowu podjęła przerwaną wędrówkę. Nie po to wychodziła z pokoju, by już teraz do niego wracać.

Weszła na drugie piętro. Pusty korytarz rozświetlała słabo lampa wisząca w połowie jego długości. Wokoło panowała ciągle ta sama, nienaturalna dla nocnego oblicza Azylu cisza, która teraz wydała się Alison złowróżbna. Dziewczynka zaczęła iść przed siebie, stawiając bezgłośnie bose stopy na dywanie pokrywającym podłogę korytarza. Minęła pierwsze zamknięte drzwi, potem drugie, trzecie i czwarte... Pokonała korytarz i stanęła na jego zakręcie, wyglądając ostrożnie zza ściany. Kolejny odcinek był równie pusty i cichy, zadający kłam temu, co działo się w Domu Dziewczynki.

Wyszła zza rogu, zrobiła kilka kroków i usłyszała jakiś dźwięk. Stanęła jak wryta, zaskoczona przerwaniem całkowitej ciszy, ale już w następnej chwili opamiętała się i z duszą na ramieniu przylgnęła płasko plecami do drzwi jakiegoś pokoju. Spojrzała w bok i na drugim końcu korytarza zobaczyła wchodzącą po schodach panią Nemedy. Jej serce zaczęło walić jak oszalałe, struchlała ze strachu przed odkryciem. Wstrzymała oddech, zastygając niczym kamienna rzeźba, gdyż wiedziała, że jeśli zostanie zauważona, podzieli los kilkunastu zaginionych dzieci. Była tego pewna jak niczego innego.

Opiekunka weszła po schodach i szła teraz korytarzem, z każdym kolejnym krokiem zbliżając się do stojącej pod drzwiami Alison. Na szczęście lampa oświetlająca ten odcinek korytarza wisiała przy schodach, obramowując teraz swym światłem sylwetkę pani Nemedy. Dziewczynka pozostawała w głębokiej ciemności, nie mogła być widoczna z drugiego końca korytarza. Ale Opiekunka ciągle się zbliżała. Alison nie mogła oderwać wzroku od konturów jej idącej postaci. Twarzy pani Nemedy nie widziała, okrywała ją czerń, gdyż lampa znajdowała się za jej plecami.

W głowie Alison zalęgła się myśl o ucieczce. Równocześnie odczuła przymus, by oderwać się od drzwi i pobiec z powrotem, jak najdalej od Opiekunki. Wiedziała, że wtedy zdradzi swą obecność, ale już napięła się, podjęła decyzję. Ruszyła, lecz w pół kroku zastygła, ponieważ pani Nemedy otworzyła jakieś drzwi i zniknęła w nich. Po chwili na korytarz wypłynął prostokąt światła, a dziewczynka wypuściła z płuc wstrzymywane powietrze i na powrót przylgnęła plecami do powierzchni drzwi.

Jej uszu dobiegł dźwięk lejącej się z kranu wody, a potem niewiele głośniejszy plusk. *Pani Nemedy była w łazience*, skonstatowała dziewczynka. *Tylko dlaczego myła się w środku nocy?*

Ciekawość przezwyciężyła strach i Alison zaczęła wolno iść w stronę prostokąta światła. Wiedziała, że Opiekunka jej nie usłyszy, gdyż stawiała stopy bezszelestnie.

Kiedy znalazła się w odległości dwóch kroków od drzwi łazienki, przylgnęła do ściany, a plusk wody stał się głośniejszy. Dziewczynka przesunęła się i wyjrzała ostrożnie zza ściany. Pani Nemedy stała bokiem do niej, myjąc nad umywalką twarz, z której skapywała... krew. Od podbródka Opiekunki do połowy czoła ciągnęła się długa i głęboka rana, wyglądająca jak kilkucentymetrowa, czerwona gruba linia. Brzegi rany były postrzępione, obficie broczące krwią.

Pani Nemedy wpatrywała się w ranę, zaciskając z bólu wargi, przemywając ją i oglądając w lustrze. Myślami wydawała się być gdzieś daleko, spłukując krew mechanicznie, bez udziału woli.

Alison przyglądała się jej z szeroko otwartymi oczami. Dziewczynka po raz pierwszy widziała tyle cieknącej krwi, tak czerwonej i hipnotyzującej. Patrzyła, jak woda zmienia kolor na jasnoczerwony, jak kolejne strużki krwi ściekają po szyi i dłoni Opiekunki. Mogłaby tak patrzeć i patrzeć, gdyby w jej umyśle nie pojawiła się myśl, że tę okropną ranę musiała zadać dziewczynka, którą pani Nemedy porwała dzisiejszej nocy. Znowu opadł ją obezwładniający strach o siebie samą, zaczęła gwałtownie dygotać na całym ciele. Przez chwilę myślała, że straciła władzę nad własnymi członkami, lecz już moment później poczuła, że jej drobne ciało rwie się do instynktownej ucieczki. Odwróciła się i pobiegła w kierunku schodów. Pani Nemedy jej nie usłyszała.

Po minucie odbierającego oddech biegu znalazła się przed drzwiami swojego pokoju. Były uchylone, nie zamknięte, ale ona nie zwróciła na to uwagi. Fakt, że coś jest nie tak, dotarł do niej dopiero wtedy, gdy jej bose stopy stanęły na czymś mokrym. Alison zatrzymała się strwożona i spojrzała w dół, ale w zalegających ciemnościach nie mogła niczego zobaczyć. Pomyślała o stojącej na szafce przy jej łóżku świecy i ruszyła ostrożnie w tamtym kierunku. Po kilku krokach wymacała drżącymi dłońmi świecę i zapałki. Kiedy zapalił się knot, odwróciła się z płonącą świecą w ręku. Tańczący płomień rozjaśnił nocne ciemności na tyle, że ujrzała przerażający wygląd pokoju. Cała podłoga, łóżko jednej z dziewczynek i meble poplamione były krwią, odbijającą światło świecy i błyszczącą złowieszczo. Co gorsza, brakowało jednej z dwóch współlokatorek Alison. Tej, której łóżko było zakrwawione.

Druga dziewczynka siedziała na swoim łóżku, podciągając kołdrę pod brodę i patrząc na nią szeroko otwartymi oczami. Alison zemdlała.

***

Leżała w łóżku, kiedy odzyskała przytomność. Nie wiedziała, kto ją w nim położył, czuła się też otępiała.

Krew. Odwróciła głowę i spojrzała najpierw na łóżko współlokatorki, która zniknęła, potem zaś na podłogę. Łóżko było równo pościelone i czyste, a pokrywające podłogę plamy krwi ktoś usunął. Zmyto także czerwone ślady z mebli i ścian, nie pozostawiając żadnego dowodu makabrycznych nocnych wydarzeń.

Jej współlokatorki nie było w pokoju. Może znajdowała się na zajęciach starej panny Horefox lub jadła właśnie posiłek. Alison nie wiedziała nawet, która jest godzina, ale panował dzień, gdyż za oknami było jasno.

Powróciła myślami do nocnych wydarzeń i skonstatowała, że gdyby nie wyszła z pokoju, ona mogłaby zostać porwana. Przypadkowo uniknęła strasznego losu, jednak nie przyniosła jej ta świadomość ulgi. Inna dziewczynka dołączyła do dwunastu porwanych, a Alison bardzo martwiła się o nie wszystkie.

Czuła się bardzo zmęczona. Nie tyle fizycznie, co psychicznie. Zmęczona, przygnębiona i przerażona wszystkimi straszliwymi rzeczami, które ciągle wydarzały się w Azylu. Czuła, że jest to ponad jej wątłe siły.

Chciała stąd uciec. Odejść niezauważona z Domu Dziewczynki, wrócić do normalnego świata. Ale nie miała sił. Zasnęła.

***

Alison śniła. Otaczała ją ciemność i cisza, puste korytarze Azylu wydawały się być miejscem z innego świata. Złym miejscem, nieprzyjaznym dziewczynce, która w koszuli nocnej szła korytarzem ogromnego budynku. Rozglądała się wokoło szeroko otwartymi oczyma, nasłuchiwała czujnie i szła. Nie wiedziała dokąd, po prostu szła. Przed nią, na końcu korytarza, znajdowały się schody. Zeszła nimi powoli i znalazła się na parterze Domu Dziewczynki, w przepastnym, spowitym ciemnością holu. Mimo zalegającej czerni Alison widziała wysoko sklepiony strop i wielki, okrągły żyrandol, z którego na podłogę kapała ciemnoczerwona krew.

Ominąwszy kałużę szerokim łukiem, dziewczynka stanęła przed dużymi, dwuskrzydłowymi drzwiami. Wiedziała, że są to drzwi wejściowe, że za nimi znajduje się normalny, bezpieczny świat. Czując przemożną chęć odejścia z tego przerażającego miejsca, wyciągnęła rękę w kierunku mosiężnej klamki. Jej drobne palce niemal już ją obejmowały, kiedy odgłos uderzających o podłogę kropel krwi stał się głośniejszy. Przerodził się w ogłuszający huk, gdy tylko Alison ujęła i nacisnęła klamkę. Drzwi nie ustąpiły, gdyż zawsze były zamknięte, ale po cofnięciu ręki wszystko ucichło. Odgłos spadającej z żyrandola krwi znowu stał się ledwie słyszalny.

Za drzwiami znajdował się bezpieczny świat, jednak okrutni, nieludzcy Opiekunowie wzbraniali dostępu do niego. Alison pojęła, że kto raz wejdzie do Azylu, już się stąd nie wydostanie.

Odwróciła się, słysząc za plecami jakiś dźwięk. Jej rozszerzone strachem oczy wypatrywały jego źródła, lecz nie dostrzegła żadnego ruchu. Ponownie stanęła twarzą do drzwi, a wtedy coś ją uderzyło, pozbawiając oddechu i odrywając od podłogi. Uniosło ją jak

szmacianą lalkę i poniosło gdzieś w ciemność, w mroczne czeluście Azylu...

***

Obudził ją przeraźliwy wrzask. Jej wrzask. Siedziała w ciemności na łóżku, spocona, roztrzęsiona i łapiąca chciwie powietrze. Jej włosy były mokre i pozlepiane, koszula nocna przesiąknięta potem. Przez długą chwilę nie wiedziała, gdzie jest, przerażenie nie pozwalało jej racjonalnie myśleć. Powoli jednak uspokajała się, jej oddech stawał się bardziej miarowy, a rzeczywisty świat wrócił na swoje miejsce.

Pamiętała zamknięte drzwi i kapiącą z żyrandola krew. Pamiętała, że próba wydostania się z Azylu przyciągnęła do niej... coś, co ją porwało. Porwało i uniosło po schodach w górę, pędząc szaleńczo i wbijając ostre pazury w jej bok...

Znowu ktoś wrzasnął. Przez chwilę Alison zdawało się, że to ona, jednak krzyk rozległ się gdzieś w Domu Dziewczynki, przytłumiony przez odległość i zamknięte drzwi jej pokoju. Jakaś dziewczynka.

Nagle Alison zrozumiała, że to już dziś. Że spała cały tydzień, nieświadoma niczego, co się wokoło działo. Że porwano jeszcze siedem dziewczynek, co dawało w sumie liczbę dwudziestu zaginionych istot na dwudziestą rocznicę śmierci pana Olivera, czwartego z Opiekunów. Że nadszedł ten dzień, Dzień Opiekuna. Pierwszy dzień października 1900 roku.

Poczuła, że musi zobaczyć, co się tutaj będzie działo. Opuściła bose stopy na podłogę i wstała z łóżka. Ponownie jej wątłe ciało zadrżało z zimna, ponownie gdzieś w Azylu rozległ się przeraźliwy wrzask. Ogarnęło ją pragnienie powrotu do ciepłego, łudząco bezpiecznego łóżka, lecz zwalczyła je w sobie i podeszła do drzwi. Otworzyła je i wyszła na korytarz. Żadna z lamp się nie paliła, było ciemno i zimno niczym w grobie. Podobnie jak we śnie, dziewczynka ruszyła przed siebie, nie wiedząc, gdzie dokładnie ma iść. Wolno przeszła długi i pusty korytarz, po czym stanęła przed schodami. Spojrzała najpierw w górę, później w dół, ale nie potrafiła się zdecydować, którą drogę obrać. Wtedy jej myśli powędrowały ku wydarzeniom ze strasznego snu, do tego, jak zeszła tymi schodami na dół, jak próbowała otworzyć drzwi wejściowe i jak spadająca z żyrandola krew dudniła ostrzegawczo. A także do momentu, w którym coś ją uniosło i popędziło z nią schodami...

W górę. Alison uniosła wzrok na niknące w ciemności półpiętro. We śnie krew skapywała z żyrandola, przesiąknąwszy przez podłogę pierwszego, a może i drugiego piętra?

Dziewczynka spojrzała w bok, na podłogę korytarza, lecz było zbyt ciemno, by mogła

cokolwiek dokładnie zobaczyć. Jednak musiała się przekonać. Zrobiła dwa kroki, przykucnęła i dotknęła palcami podłogi w połowie szerokości korytarza. Dotknęła mokrej plamy.

Wyprostowała się i cofnęła, strwożona realizmem swego snu. Wytarła dłoń o koszulę, zacisnęła usta i postawiła stopę na pierwszym stopniu schodów. Już zaczynała wchodzić, kiedy nagle coś ją tknęło. Zaskoczona, że nie zwróciła na to uwagi wcześniej, odwróciła się i ruszyła z powrotem korytarzem. Drzwi pierwszego z pokoi były otwarte na oścież, do wewnątrz. W środku nie było nikogo. Podeszła do kolejnych, a potem następnych drzwi. Obydwa pokoje były puste, a pościel na łóżkach pozostawiona w nieładzie. Podobnie wszystkie inne w tej i następnej odnodze korytarza, jak sprawdziła Alison. Reszty pokoi na piętrze nie oglądała, gdyż była pewna, że wyglądają tak samo. Odwróciła się i ponownie ruszyła do schodów.

Weszła na półpiętro i dalej, aż stanęła w ciemniejszym od samej nocy korytarzu. Otaczała ją nienaturalna, złowieszcza cisza. Drugie piętro Azylu wydawało się być pozbawione nie tylko światła, ale i jakichkolwiek oznak życia.

Ruszyła przed siebie, a znajome macki lęku ponownie zagnieździły się w jej trzewiach. Nie wiedziała, czego może się spodziewać w tym strasznym dniu, ale pełna była najgorszych przeczuć. Porwano dwadzieścia niewinnych dziewczynek, by mógł nadejść Dzień Opiekuna. To nie wróżyło dobrze.

Alison nagle potknęła się o coś, straciła równowagę i runęła jak długa przed siebie. Zdążyła wyciągnąć ręce i w ten sposób złagodzić upadek, ale i tak stłukła sobie boleśnie kolano. Jęknęła cicho i klęknęła na podłodze korytarza, macając w ciemności przed sobą. Nie widziała absolutnie niczego, jednak po chwili jej dłonie natrafiły na jakiś duży i miękki kształt. Drżącymi palcami wyczuła sztywny materiał, a później wymacała kształt... ludzkiej głowy! Cofnęła szybko dłonie, lecz zaraz wzięła się w garść i ponownie dotknęła leżącego przed nią ciała. Niemal natychmiast stwierdziła, że było za duże na ciało kilkuletniej dziewczynki, że było to ciało osoby dorosłej. Powstrzymując się przed powstaniem i ucieczką, ledwo nad sobą panując, objęła trzepoczącymi dłońmi najpierw głowę, a potem twarz. Stwierdziła, że na podłodze leży kobieta, gdyż włosy oplatające jej ręce były długie i kręcone. Musiała to być pani Nemedy lub stara panna Horefox, gdyż były one jedynymi dorosłymi kobietami w Azylu. Aby stwierdzić to dokładnie, Alison dotknęła opuszkami palców oczu kobiety. Wyczuła, że jedno z nich było otwarte, a drugie zaszyte nicią – leżało przed nią ciało starej panny Horefox. Ciało najwyraźniej martwe, gdyż mokrą cieczą, która je pokrywała i którą Alison czuła na własnych dłoniach, musiała być krew.

Znowu krew, pomyślała z trwogą. *Wszędzie tutaj jest krew, cały dom jest jej pełen.*

Skąd tyle krwi?

Dziewczynka wstała i ponownie wytarła ręce we własną koszulę. Czuła się zbrukana, brudna. Sama myśl o okrywającej jej drobne ciało umazanej krwią koszuli przyprawiała ją o mdłości. Nieustannie czuła w gardle gorzką żółć, ale postanowiła, że bez względu na wszystko dotrze do samego sedna tego koszmaru. Czuła wewnętrzny przymus niepozwalający biernie oczekiwać na dalszy rozwój wydarzeń.

Zaczęła iść w głąb korytarza, oddalając się od ciała starej panny Horefox. W jej umyśle kłębiły się chaotyczne myśli, gdyż nie mogła zrozumieć, kto zabił Opiekunkę. Nie mogła nawet uwierzyć w to, że stara panna Horefox nie żyje, bo to przecież ona, wraz z panią Nemedy i panem Staxem, porywała dzieci i nie wiadomo co z nimi robiła. Jedynym rozsądnym wyjaśnieniem tego stanu rzeczy wydało się Alison to, że albo pozostali Opiekunowie zabili starą pannę Horefox, albo zrobiła to jedna z dziewczynek. Ktoś ją zabił na pewno, ponieważ całe jej ciało pokrywała krew, i Alison pomyślała, że zrobili to raczej Opiekunowie niż jakieś dziecko. One nie byłyby zdolne do takiego czynu. A jeśli tak właśnie było, jeśli to pan Stax lub pani Nemedy zabili Opiekunkę, znaczyło to, że byli szaleni. *Bardzo szaleni,* pomyślała Alison i ze ściśniętym gardłem skonstatowała, że porwane dziewczynki najprawdopodobniej także zabili.

Korytarz zakręcił i dziewczynka ujrzała, że kilka metrów dalej kończy się dużymi drewnianymi drzwiami. Zatrzymała się i przyglądała się im z obawą. Nie potrafiła powiedzieć, skąd to wie, ale pewna była, że za tymi drzwiami są wszyscy. Że to właśnie za nimi dzieje się to, co musiała zobaczyć. Cokolwiek by to nie było.

Ruszyła powoli do wielkich drzwi, czując, jak serce łopocze jej w piersi. Bała się. Okropnie się bała, lecz szła dalej, aż jej mała dłoń znalazła się na dużej mosiężnej klamce. Coś w niej krzyczało, żeby tam nie wchodziła, żeby uciekała jak najdalej. Jednak Alison nacisnęła klamkę i pchnęła drzwi, które z głośnym skrzypieniem odchyliły się do środka.

Widok, jaki ukazał się jej młodym i niewinnym oczom, wstrząsnął nią do głębi. Wiedziała, że Azyl jest przerażającym miejscem i że dzieją się w nim okropne rzeczy, lecz i tak nie mogła uwierzyć w to, co widziała. Stała jak sparaliżowana, a jej spojrzenie wędrowało od jednej dziewczynki do drugiej. Nie tylko dwadzieścia porwanych, ale wszystkie mieszkanki Domu Dziewczynki zostały powieszone na drewnianych krokwiach, każdą szyję oplatał ciasno gruby sznur. W żadnym z młodych ciał nie tliło się już życie, żadna z par powiek nie była uniesiona. Wszystkie bez wyjątku nie żyły.

Dziesiątki zapalonych świec oświetlały duże pomieszczenie, rzucając migotliwe cienie na wiszące u sufitu bezwładne ciała. Na drugim końcu sali, naprzeciwko drzwi, w których

ciągle stała zdrętwiała Alison, wisiały obok siebie dwa ciała. Nie należały do dziewczynek, lecz do dwójki Opiekunów, pana Staxa i pani Nemedy. Bardzo zaskoczyły swym widokiem dziewczynkę, gdyż była przekonana, że to właśnie oni dokonali mordu na mieszkankach Azylu. Sądziła, że zabijali dzieci, by pomścić śmierć pana Olivera, czwartego z Opiekunów, którego dwadzieścia lat temu uśmierciła Mary. Jednak jeśli to nie oni porywali i zabijali dziewczynki, to kto? I kto pozbawił dziś życia wszystkie pozostałe? Kto dopuścił się tak bestialskiego czynu?

Wbrew sobie, powodowana czymś niepojętym, zaczęła iść w kierunku ciał Opiekunów. Szła wolno i rozszerzonymi strachem oczyma patrzyła na zwisające z krokwi zwłoki, których stopy znajdowały się może metr nad jej głową. Kilkadziesiąt obracających się lub nieruchomych ciał, wszystkie martwe, wszystkie sztywne, inne. Każdy trup miał na sobie białą koszulę nocną, każda para małych stóp była bosa. Dłonie martwych dziewczynek były bardzo blade, tak samo jak ładne, spokojne twarze. Zdawało się, że mieszkanki Azylu przyjęły swój straszny los bez buntu, z uległą rezygnacją. Jakby już od dawna wiedziały o tym, że taka śmierć była im przeznaczona.

Nagle, kilka metrów przed ciałami Opiekunów, Alison znieruchomiała. Ujrzała coś, co sprawiło, że jej serce przestało na chwilę bić. Z prawej strony, obok ciała pana Staxa, z drewnianej belki zwisała jeszcze jedna pętla, a pod nią stało krzesło. *To dla mnie,* zrozumiała dziewczynka. *Ktoś przygotował miejsce także dla mnie.*

I wtedy usłyszała za plecami głośny trzask zamykanych drzwi. Zadrżała przerażona, ale ciągle stała jak sparaliżowana. Nie mogła się odwrócić, choć walczyła o to z całych sił. Skupiła się na tym, by obrócić chociaż głowę, by spojrzeć, kto zamknął drzwi, jednak jej szyja zamieniła się w twardy kołek. Alison mogła poruszać tylko oczami, przesuwając je z prawa na lewo i z powrotem. Jej strwożone ciało straciło jakąkolwiek zdolność ruchu, lecz i wzrok, i słuch funkcjonowały normalnie. Słyszała odgłos zbliżających się do niej kroków, słyszała, jak czyjeś stopy wydają dźwięk jakby... drapania? W wyobraźni ujrzała długie i ostre pazury, zakrzywione jak u ptaka, które znaczyły drewnianą podłogę pomieszczenia. Dźwięk ten stał się nagle wszystkim, wypełnił cały świat Alison i zniewolił jej świadomość. Rozbrzmiewał w jej uszach bez ustanku, powtarzający się i przeszywający ją do głębi. Czuła go całym swym ciałem, czuła, jak je więzi, jak odbiera jej władzę nad nim...

Naraz poczuła coś jeszcze. Zapach, a właściwie obrzydliwy, nieznośny smród, fetor z piekła rodem. Dziewczynka zmarszczyła nos i zdała sobie sprawę z tego, że dziwaczne kroki ucichły. Drapanie nie rozbrzmiewało już w jej uszach i uświadomiła sobie, że to może oznaczać tylko jedno. Krzyknęła rozdzierająco i odwróciła się, wyrzucając przed siebie ręce

w obronnym geście. Cofnęła się o krok na widok postaci, która stała tuż przed nią. Widziała długie niemal do podłogi, skołtunione siwe włosy, widziała ubrudzone zaschniętą krwią pomarszczone stopy i dłonie o długich pazurach, widziała potarganą i brudną koszulę. Ujrzała niegdyś dziewczęcą twarz, którą nienawiść wynaturzyła, którą chęć mordu zmieniła w maskę potwora. Zobaczyła brudne ciało, błyszczące szaleństwem oczy, cienkie wargi i czarne zęby. Zobaczyła Mary, dziewczynkę z przeszłości.

Poczuła na sobie śmierdzący zgnilizną oddech, kiedy opętana zemstą istota nachyliła się nad nią i spojrzała jej w oczy. Poczuła siłę szaleństwa, bijącą z przerażających ślepi. I nagle usłyszała ciche słowa, wypowiedziane chrzęszczącym, nieludzkim głosem.

– Susie umarła. Umrzesz i ty.

Alison wiedziała o tym. Nie rozumiała tego, jednak wiedziała, że ona także musi zapłacić za śmierć, która dwadzieścia lat temu wdarła się do tego domu. Dlatego nie wyrywała się, nie krzyczała, kiedy szalona kobieta uniosła ją i postawiła na pustym krześle. Nie zrobiła nic, kiedy pętla opadła na jej cienką szyję. Nie zaprotestowała, gdy Mary wyciągnęła krzesło spod jej bosych stóp. Patrzyła tylko na nią, dopóki ciemność nie przesłoniła jej oczu. Zginęła spokojnie, jak reszta dziewczynek zamieszkujących Azyl, który azylem stał się dopiero teraz.

FEMINISTKI

Piotr Borlik

Listopad 1918 roku miał być dla nas wszystkich końcem piekła. Bratobójcza wojna zmuszała mężczyzn do robienia rzeczy, za które wszyscy mieliśmy odpokutować. Wiedziałem, że Bóg nie wybaczy mi zbrodni, których się dopuściłem. Z drugiej strony, ten sam Stwórca zezwolił na Wielką Wojnę, toteż nie zależało mi zbytnio na jego przebaczeniu.

Do rodzinnej wsi wracałem pełen nadziei. Wierzyłem, że widok żony i dzieciaków na nowo wzbudzi we mnie chęć do życia. Litry przelanej krwi sprawiły, że upłynęło ze mnie człowieczeństwo, przez co ciepło domowego ogniska było ostatnią deską ratunku.

Po drodze mijałem miasteczka podobne do moich, w całości zrównane z ziemią przez wycofujące się oddziały rosyjskie. Spalone domy, zniszczone fabryki, jedna wielka mogiła. Podobno wyrwaliśmy się ze szponów zaborców, jednak cena, jaką przyszło nam zapłacić, wydawała się zbyt wysoka.

Na wojnę ruszyli wszyscy zdolni do walki mężczyźni. Dziękowałem losowi, że moje chłopaki były jeszcze za młode, w przeciwnym razie najpewniej spotkałby mnie los

Połeckiego, który stracił dwóch synów, sam zaś wyszedł niemal bez szwanku – nie licząc zmian w psychice, których nie wyleczy żaden znachor. Nie odzywał się do nikogo, patrzył tylko gdzieś przed siebie, jakby oczekiwał, że zza horyzontu wyłonią się sylwetki zastrzelonych chłopców. Naszym jedynym lekarstwem była gorzała, której z dnia na dzień lało się coraz więcej. Na trzeźwo nie byliśmy w stanie funkcjonować, nie mówiąc już o zabijaniu w imię wyższych celów.

Wróciło nas piętnastu, o połowę mniej niż wyruszyło. Serce biło mi szybciej na samą myśl o Helence, o której śniłem niemal każdej nocy. Każdy centymetr mego ciała pożądał jej, choć wiedziałem, że pierwsze godziny będę musiał poświęcić dzieciakom. Odetchnąłem z ulgą, gdy w oddali zobaczyłem dym z kominów, dający gwarancję, że Rosjanie ominęli naszą wieś. Jak się później okazało, był to jedyny pozytyw, który na nas czekał.

Chałupa w środku wyglądała identycznie. Zupełnie jakbym opuszczał ją tydzień wcześniej, a nie całe cztery lata. Janek i Paweł początkowo przyglądali się niepewnie, jakby próbowali przypomnieć sobie twarz ojca, po chwili jednak rzucili mi się na szyję i zaczęli wypytywać o szczegóły wojny. Traktowali ją jako coś interesującego, lecz nie miałem zamiaru opowiadać im tego, co widziały moje oczy. Było to moje brzemię, które miałem zabrać ze sobą do grobu. Kątem oka przyglądałem się Helence, która nawet się ze mną nie przywitała.

– Cztery lata – powiedziałem, gdy chłopcy poszli wreszcie do łóżek. – Szmat czasu, a ty nawet mnie nie uściskasz? Nie stęskniłaś się?

– Na kilometr czuć od ciebie wódką – odpowiedziała głosem pełnym złości. – Na nogach ledwo stoisz, dzieciaki aż uciekły do pokoju, choć tak na ciebie czekały.

– To moja sprawa, zresztą nie będziemy o tym teraz rozmawiać. Chodź do mnie!

Nie ruszyła się z miejsca, więc ja podszedłem do kąta, w którym siedziała. Chwyciłem ją za przedramię i pociągnąłem do góry. Nie stawiała oporu, wiedziała, że to i tak nie ma sensu. Zbyt długo czekałem na jej pachnące ciało, żeby marnować czas na próżne gadanie. Przyjdzie i czas na wylewanie żali. Czego jak czego, ale czasu mieliśmy pod dostatkiem. Tak przynajmniej mi się zdawało…

Obudziłem się zlany potem. Znów śniły mi się okopy i świst strzałów przelatujących tuż nad głową. Miałem nadzieję, że kiedyś przyzwyczaję się do koszmarów, lecz za każdym razem byłem równie przerażony.

Chciałem przeprosić Helenkę za poprzedni wieczór. Mogłem trochę przesadzić, ale w końcu wieloletni post dawał mi chyba wytłumaczenie? Co to za żona, która nie chce zaspokoić potrzeb własnego męża?

– Helena! – krzyknąłem, gdyż po jej stronie łóżka znajdowała się jedynie wymięta pościel. – Gdzieś jest?

Nie odpowiedziała. Podniosłem się z łóżka, czując znajomy ból głowy. Nie było poranka, który zacząłby się w inny sposób. Rada na to była tylko jedna – kilka łyków krzakówki, która stała się moją nieodzowną towarzyszką.

Obszedłem całą chałupę, lecz nigdzie nie znalazłem Helenki. Chłopcy wylegiwali się jeszcze, co tym razem postanowiłem im darować. Większym problemem była poranna absencja żony, która o tej porze powinna przygotowywać śniadanie, a nie włóczyć się sama po wsi. Musiałem na nowo nauczyć ją roli kobiety. Pewnie przez cztery lata przywykła do samodzielności, teraz jednak wszystko mogło już wrócić do normalnego porządku.

Wyszedłem przed izbę, by skierować się do najbliższego sąsiada, Adama, który również miał to szczęście, iż jego najstarszy syn nie łapał się do poboru. Spotkałem go w połowie drogi.

– Jest u was moja? – spytałem. – Wyszła, kiedym spał.

– Miałem do ciebie zajść w tej samej sprawie. Moja też przepadła jak kamień w wodę.

– Ki diabeł? Chodź, zajdziemy do Połeckiego, może pocieszają jego starą. Musiała ciężko znieść utratę dwójki synów.

Przytaknął tylko i ruszył przodem. Zwróciłem uwagę na jego nienaturalny chód. Był przygarbiony, choć jeszcze dzień wcześniej wyglądał całkowicie normalnie. Po pokonaniu kilkudziesięciu kroków zatrzymał się i zgiął wpół, kładąc dłonie na kolanach. Oddychał ciężko, jakby przebiegł właśnie kilka kilometrów.

– Co jest? – spytałem. – Czujesz się źle?

– Chwila. Już, już idę. Jakoś tak od rana mnie trzęsie. Masz może co do picia?

Podałem mu butelkę, która wcześniej i mnie poratowała. Jemu jednak trzeba było innego lekarstwa. Coś zżerało go od środka. Był blady, chwiał się na nogach, jakby zaraz miał paść trupem.

– Może odprowadzę cię do domu? – zaproponowałem. – Sam przejdę się po okolicy i ich poszukam. Każę twojej wrócić, jak ją tylko znajdę.

– Nie trzeba, już mi lepiej. Chodźmy.

Jak powiedział, tak zrobił. Z trudem pokonywał kolejne metry, ale uparł się, by nie przyjąć żadnej pomocy. Na froncie nieraz się wspieraliśmy, inaczej wróciłoby nas znacznie mniej. Teraz jednak miałem wrażenie, że wstydzi się własnej nieporadności i dlatego odrzuca pomocną dłoń.

Drzwi do domu Połeckich były uchylone, mimo to uderzyłem w nie pięścią.

– Przepraszamy za najście – powiedziałem, wchodząc do środka. – Gdzieś kobiety nam…

Przerwałem, widząc Stacha leżącego na ziemi. W pierwszej chwili pomyślałem, że zasnął, ale gdy podszedłem bliżej, zobaczyłem czerwoną kałużę wokół jego ciała. Nie był to dla mnie widok nowy, mimo to odruchowo odskoczyłem do tyłu, wpadając na stojącego za mną Adama.

– Nie żyje? – spytał z obojętną miną.

– Nie wiem, ale raczej na żywego nie wygląda.

– To co teraz?

Nie miałem gotowej odpowiedzi. Ostrożnie, omijając ciało, obszedłem pozostałe izby. Nie znalazłem nikogo, a moją uwagę przykuł zakrwawiony nóż leżący na kuchennym stole. Nie rozumiałem tego, ale wiedziałem, że sprawę jak najszybciej należy zgłosić do odpowiednich organów.

***

Pogrzeb odbył się dwa dni później. Byli na nim jedynie mężczyźni, gdyż wszystkie kobiety zmusiliśmy do pozostania w domach.

W dniu, w którym znaleźliśmy ciało Połeckiego, okazało się, że podczas gdy my byliśmy na froncie, walcząc za odzyskanie suwerenności Polski, nasze żony szukały pocieszenia w ramionach zaborców. Codziennością były romanse i wspólne spotkania, na których dochodziło do łamania przysięgi małżeńskiej. Co gorsza, nasza wioska doczekała się czterech nowych bękartów. Jednego z nich poczęła stara Połecka, za co jej mąż słusznie ją skatował. W kobietę jednak wstąpił jaki szatan, gdyż zdołała się podnieść i wbić nóż w serce męża. Po wszystkim uciekła do lasu, mając nadzieję, że jej tam nie znajdziemy. Pozostałe pomagały niewiernej kobiecie w ucieczce, zorganizowały prowiant i koce. Nabrały wody w usta, więc postanowiliśmy urządzić im areszt domowy.

Nawet moja Helenka dopuściła się zdrady. Zgrzeszyła z jakimś wojskowym. Nie znała jego imienia, mówiła o nim „amant”, a oczy jej się świeciły, jakby kto je czymś polakierował. Stłukłem ją, ile tylko miałem siły, lecz wciąż czułem ogromną złość. Piłem, podobnie jak pozostali, nie mieliśmy innego wyboru. Narażaliśmy życie, podczas gdy w naszych domach dochodziło do ordynarnych scen.

Po uroczystości postanowiliśmy raz jeszcze przeczesać okoliczne lasy w nadziei, że znajdziemy morderczynię. Nikt z mundurowych nam nie pomagał, gdyż jak twierdzili, nie

mieli funduszy na akcje w terenie. Machnąłem na to ręką, w końcu było nas wystarczająco, by znaleźć jedną kobietę.

Szedłem obok Adama, który wyglądał coraz gorzej. Kuśtykał na lewą nogę, co chwila robiąc postoje. Oddychał głośniej niż lokomotywa, a jego skóra była chropowata jak papier ścierny.

– Byłeś u lekarza? – spytałem po godzinie poszukiwań, gdy z braku sił padł na ziemię. – Gołym okiem widać, że z tobą źle.

– Coś mi odbiera siły, żaden konował tu nie pomoże. Masz może coś do picia?

Ponownie podałem mu gorzałę, sam również wypiłem kilka łyków. Przyjemnie mnie ogrzały, choć w ten sposób zastępując mi Helenkę.

***

Kolejnego dnia żona Adama została wdową. Mój sąsiad nawet nie wstał rano z łóżka, umarł we śnie. Nie byłoby w tym nic dziwnego, ludzie przecież czasem umierają, jednak u dwóch kolejnych mężczyzn stwierdziłem podobne objawy, które występowały u nieboszczyka. Byli bladzi, przygarbieni, odpowiadali z opóźnieniem, jakby proces starzenia dopadł ich przedwcześnie. Ta myśl przypomniała mi, że odkąd wróciłem, w całej wsi nie spotkałem żadnego starca. Przez cztery lata wszyscy wyparowali, choć jeśli pamięć mnie nie myliła, było ich najmniej dwudziestu.

Poszedłem do domu Wiśniewskich. Jeszcze cztery lata temu mieszkał tam pan Wacław, żwawy sześćdziesięciolatek, z synem i jego żoną. Elżbietę zamknęliśmy wraz z innymi wdowami w stodole, by mieć je wszystkie na oku. Na własne oczy widziałem śmierć Romka, jej męża, którego dopadło działo A7V. Rozerwało go na drobne kawałeczki, przez co nie mieliśmy nawet jak go pochować. Ostatecznie zebraliśmy to, co wyglądem przypominało ludzkie szczątki i zakopaliśmy, odmawiając krótką modlitwę.

– Jest tu kto? – spytałem, stojąc przed domem. – Panie Wacku, jest pan tam?

Nikt nie odpowiedział, więc postanowiłem wejść do środka. Kilka razy powtórzyłem nawoływanie, lecz wciąż bez żadnego efektu. Już miałem wracać, gdy coś mnie tknęło i poszedłem do szopy, w której Romek trzymał aparaturę do wytwarzania alkoholu. Jemu już nie będzie potrzebna, a moja nadawała się na śmieci, więc naturalną rzeczą było pożyczenie nieużywanego sprzętu. Gdy otworzyłem drewniane drzwi, poczułem nieprzyjemny, acz dziwnie znajomy zapach. W pierwszej chwili nie rozpoznałem go, lecz w końcu doznałem

olśnienia. Okopy, w których zginęło tysiące żołnierzy, przesiąkły podobnym smrodem. Był to odór rozkładających się ciał. Czy to możliwe, że tutaj…

– Dzień dobry. – Zza pleców dobiegł mnie damski głos.

– Co jest? – spytałem zdziwiony, bowiem wszystkie niewiasty miały być pod kluczem.

– Szuka pan czegoś?

Obróciłem się w jej stronę, biorąc zamach, by porządnie przyłożyć kobiecie. W ostatniej chwili powstrzymałem rękę, gdyż nie była to żadna z naszych, a nie chciałem robić sobie wrogów w sąsiednich wsiach.

– Kim pani jest? Co tu pani robi?

– Ja? – Uśmiechnęła się. – Mieszkam. A pan?

Dłonie automatycznie zacisnęły się w pięść. Kpiła sobie ze mnie w biały dzień. Nie do pomyślenia, w jakich czasach przyszło nam żyć. Aby baba mogła bezkarnie drwić z mężczyzny. Niedoczekanie…

– Tknij mnie tylko palcem, a nie doczekasz nocy – podniosła głos, a oczy jej zabłysły niczym u dzikiego kota. – Wszyscy jesteście tacy sami. Pijane, śmierdzące bydło, które myśli, że fakt noszenia spodni pozwala im na wszystko. Koniec tego dobrego!

– Zabiję, Bóg mi świadkiem, że cię zaraz zatłukę!

Kątem oka dostrzegłem szpadel, oparty o drewnianą ścianę szopy. Chwyciłem go i już miałem uderzyć, gdy z oddali usłyszałem okrzyki.

– Pali się!

– Ludzie! Ratujcie!

Tym razem szczęście uśmiechnęło się do krnąbrnej nieznajomej. Planowałem jednak wrócić do niej jeszcze tego samego wieczoru.

***

Cztery godziny zajęła nam walka z pożarem. Spaliły się trzy chałupy, co gorsza w jednej z nich spał pijany w sztok Kotecki, którego zwęglone ciało znaleźliśmy na kuchennej podłodze. W powietrzu czuć było benzynę, jakby ktoś celowo podłożył ogień. Było dla mnie oczywistym, kto za tym stoi, lecz nie miałem już siły, by wyegzekwować sprawiedliwość.

Wróciłem do domu zmęczony i brudny. Marzyłem tylko o kąpieli oraz ciszy, lecz jak się okazało, było to i tak za dużo. Helena, zamiast potulnie pełnić obowiązki małżonki, wbrew jakiejkolwiek logice postanowiła walczyć o swoje prawa. Wszystko zaczęło nabierać

sensu, gdy przypomniałem sobie słowa naszego dowódcy, jak informował nas o planach zrównania praw obu płci. Podobno na dniach wejść miała ustawa nadająca kobietom prawo udziału w wyborach, co moim zdaniem było kompletnie poronionym pomysłem. Efekty widać było jak na dłoni, poczuły się silne, a od tej siły zaszumiało im w głowach. Zaczęły zdradzać, kłamać, a nawet zabijać! Te małe móżdżki nie przyswoiły sobie wolności, stąd wszystkie efekty uboczne. Istniał tylko jeden sposób, by wybić te szatańskie myśli z ich tępych główek.

– Jesteś wreszcie – powitała mnie, trzymając ręce za plecami, jakby chciała coś przede mną ukryć. – Piłeś?

– Nie twój interes. Co tam masz?

– Zresztą po co ja w ogóle pytam, czuć od ciebie jak z gorzelni. Zuzanna miała rację, a ja głupia jej nie wierzyłam.

– Kto? To babsko kręcące się u Wiśniewskich? Trzymasz z nią? Jak ja ci zaraz…

Ruszyłem w jej stronę, by poprawić ostatnią lekcję. Widocznie oberwała za mało, inaczej nie dało się wyjaśnić jej stanu. Chwyciłem ją za szyję i zacisnąłem palce. Ściskałem coraz mocniej, aż z twarzy stopniowo zaczęła odpływać krew, nadając jej siny kolor. Wierzgała. Podniosła do góry ręce, jakby chciała się poddać, intencje jej były jednak zgoła inne. Błysk trzymanego noża otrzeźwił mnie, dzięki czemu w ostatniej chwili pchnąłem ją na ścianę. Jeszcze chwila, a dźgnęłaby mnie w krtań i podzieliłbym los pozostałych.

Uderzenie sprawiło, że upuściła ostrze. Dopadłem do niej i wymierzyłem cios. Padła na podłogę, a z jej nosa pociekła strużka krwi. Tę lekcję zapamięta na dłużej, raz na zawsze wybiłem jej z głowy głupoty. Trzeba było jeszcze zająć się tą całą Zuzanną, żeby nie mieszała w głowach pozostałym. Złożę jej wizytę z samego rana.

***

Helena zrozumiała brutalną lekcję. Część mnie chciała nawet ją przeprosić, ale uznałem, że mogłoby to jedynie zaszkodzić. Śniadanie, które przygotowała, przypomniało mi dawne czasy, gdy jeszcze nie wiedziałem, co to wojna, a nasze małżeństwo kwitło w najlepsze.

Chłopcy znów wylegiwali się w łóżkach, za co postanowiłem ich ukarać. Zaraz po załatwieniu sprawy z Zuzanną przetrzepię im skórę. W tym wieku powinni pomagać, a nie spać do południa.

– Dobre było – rzuciłem wstając od stołu. – Jak chcesz, to potrafisz.

– Może jeszcze dokładkę?

– Później. Idę do twojej przyjaciółki.

Zrobiłem dwa kroki, po czym poczułem, jak nogi się pode mną uginają. Padłem, jakby obok wybuchł granat. Brzęczało mi w uszach, a dłonie drżały jak u schorowanego starca.

Dałem się podejść. Zrobiła mi to samo, co spotkało Adama. Truły nas, podstawiały pod nos skażone jedzenie, śmiejąc się nam w twarz. Musiałem działać, póki jeszcze byłem dostatecznie świadomy. Podniosłem się i doczłapałem do Heleny, która najwyraźniej nie spodziewała się takiego obrotu sprawy. Pewnie zastosowała zwiększoną dawkę, mając nadzieję, że na miejscu wyzionę ducha. Jej niedoczekanie, przeżyłem wojnę, to i zbuntowanym kobietom dam radę.

– Zatłukę cię – wydusiłem. – Połamię ci kości, wywlokę na zewnątrz i zabiję.

– Nie boję się ciebie. Jesteś zerem, w zasadzie już nie żyjesz!

– Cofnij to! Odtrutka! Na pewno jakaś jest, mów!

– Po moim trupie! – zaśmiała się.

Sama tego chciała. Wzorem Połeckiej chwyciłem nóż i przejechałem ostrzem po jej gardle. To zdziwienie w oczach było w jakimś sensie urocze. Nie mogła uwierzyć, że przegrała. Pusta główka nie potrafiła sobie tego przyswoić.

Jedną miałem z głowy, pozostała jeszcze druga. Wybiegłem z domu, czując, jak z każdą chwilą uchodzą ze mnie siły. Świeże powietrze przyniosło chwilową ulgę, lecz nogi wciąż zachowywały się, jakby należały do kogoś innego.

– Ludzie! – wrzasnąłem, ile tylko miałem sił. – Pomóżcie!

Po dłuższej chwili dostrzegłem sylwetki czterech mężczyzn. Zgięci, powłóczyli nogami. Byli w podobnym stanie co ja, a w oczach mieli to samo zrozumienie. Zmówiły się, chciały nas wybić, zakopać za szopą, tak jak zrobiły ze starym Wackiem. Czy to możliwe, że wymordowały wszystkich starców i niedołężnych, a teraz dybały na nas? W imię czego? Niezależności? Wygody?

– Bierzcie widły, siekiery, cokolwiek – poinstruowałem moich towarzyszy broni. – Trzeba ją zarżnąć jak świnię, ale najpierw powie, jak to odwrócić. Niech żaden jej nie zabija, zrozumiano?

Sam z przyjemnością udusiłbym ją, patrząc jak cierpi. Przyjdzie na to czas, lecz w pierwszej kolejności musiałem wydobyć z niej informację o odtrutce.

Musieliśmy wyglądać zabawnie. Grupka ledwo trzymających się na nogach mężczyzn, dzierżących w dłoniach tępe narzędzia. Na wojnie zabiliby nas w mgnieniu oka, tutaj jednak

za przeciwnika mieliśmy prostą kobietę, której jedyną bronią było mącenie w pustych głowach naszych żon. Wmówiła im Bóg wie co, pewnie brała jeszcze za to pieniądze.

Ze wszystkich to ja trzymałem się najlepiej, więc poszedłem przodem. Pchnąłem drzwi, które nawet nie były zamknięte. Wparowałem do środka, trzymając siekierę w obu dłoniach. Byłem gotowy na atak z ukrycia, lecz po chwili opuściłem ręce.

Kobieta wisiała ze sznurem na szyi, dyndając to w lewo, to w prawo. Obok niej leżał przewrócony stołek. Miała wciąż otwarte oczy, najwyraźniej widząc nas, postanowiła odebrać sobie życie. Doskoczyłem do niej, za wszelką cenę chcąc przeciąć sznur. Powinienem był ją podnieść, by umożliwić oddychanie, zamiast tego męczyłem się tępym narzędziem.

– Smakowało? – spytała, choć z pętlą zaciśniętą na szyi było to niemożliwe. – Przyniosę ci dokładkę.

Odskoczyłem, potykając się o leżący stołek. Spojrzałem na moich towarzyszy, każdy z nich wyglądał, jakby zaraz miał paść. Ja sam nie byłem pewny, że to, co słyszałem, rzeczywiście wydobyło się z ust kobiety, czy też wszystko sobie uroiłem. Nie miałem pojęcia, co Helena ukryła w jedzeniu, równie dobrze trucizna mogła powodować halucynacje i omamy słuchowe. Najważniejsze jednak, że Zuzanna wisiała, nikt już nie będzie szerzył herezji. Pozostało jedynie wezwać lekarza i udać się na zasłużony odpoczynek. Wojna wyniszcza ludzi, ale jak się okazało, we własnym domu czaiło się większe niebezpieczeństwo.

***

Przez dwa tygodnie dochodziłem do siebie. Jadłem niemal tylko ryż, popijając go gorącą miętą. W całej wsi zaledwie dwóch innych mężczyzn miało tyle szczęścia. Reszty nie dało się odratować, ich żony już o to zadbały.

O całej sprawie zrobiło się głośno, gdyż okazało się, że Zuzanna mieszała w głowie nie tylko naszym kobietom. Poszukiwana była w całym kraju, nazywano ją Cioteczką. Podobno osobiście otruła ponad pięćdziesięciu mężczyzn, a łączna liczba jej ofiar mogła być wielokrotnie większa. Wszędzie stosowała tę samą taktykę – wykorzystywała nieobecność powołanych na front mężczyzn, by siać zamęt w głowach ich żon. Zaczynała od mordowania starców i chorych, by odciążyć kobiety od codziennych obowiązków, następnie namawiała je do romansów, by zaznały innego życia. Po kilku tygodniach rozpusty sugerowała, by pozbyły się kochanków, którzy mogli przecież rozpowiedzieć o złamaniu przysięgi małżeńskiej.

Pech chciał, że w końcu wojna się skończyła, więc musiała zmienić taktykę. Zwykle działała ostrożnie, tym razem jednak zmuszona była się spieszyć, przez co nakazała kobietom zwiększenie dawki trucizny. Dopadliśmy ją w ostatniej chwili.

Powinienem był się cieszyć, w końcu przecież dorwałem osobę poszukiwaną w całym kraju. Nie zmieniało to jednak faktu, że zostałem sam z dwoma leniami, którzy przez lata mej nieobecności odwykli od pracy. Ciągle trzeba było na nich patrzeć, poganiać, karać. Nie o takim losie marzyłem, wracając do domu. Musiałem sobie znaleźć nową kobietę. Młodą, taką co wiedziała, gdzie jej miejsce, zaopiekuje się chłopcami, oporządzi dom i ogrzeje zmęczonego męża. Tylko gdzie takiej szukać?

– Kolacja! – krzyknąłem, kładąc na stole chleb z masłem i cebulą. – Szybko, bo zaraz zmienię zdanie.

To oni powinni przygotowywać posiłki dla mnie. Ja w ich wieku byłem już całkowicie samodzielny, podczas gdy tych dwóch małych gnojków nawet nie potrafiło pofatygować się do stołu. Trzeba im mocniej przetrzepać skórę. Brak ojcowskiego pasa zmiękczył ich, sprawił, że są słabi, chorowici, niedostosowani do życia, nieprzydatni. Wojsko by ich nauczyło rygoru. Miesiąc na polu walki i zaczęliby wykonywać polecenia.

– Macie dziesięć sekund! – krzyknąłem, biorąc pierwszego kęsa. – W przeciwnym razie wyrzucam wszystko do śmieci! Dziesięć, dziewięć, osiem, siedem, sześć…

Przerwałem obliczanie. Trzymana kanapka wypadła mi z rąk i wylądowała na podłodze. Własna niezdarność powinna mnie zdenerwować, ale nie miałem siły nawet złapać oddechu. Połknięty kawałek chleba rósł w moim przełyku, blokując dopływ powietrza.

– Ratun… – jęknąłem ostatkiem sił.

Zdołałem zrobić trzy kroki w kierunku pokoju chłopaków, gdy zobaczyłem ją. Stała oparta o ścianę ze sznurem owiniętym wokół szyi. Uśmiechała się, pokazując białe jak śnieg zęby. Pogrzeb odbył się ponad tydzień temu, więc zwyczajnie nie mogło jej tu być.

Padłem na kolana, lecz zebrałem w sobie siły, by do niej dopełznąć. Za chwilę zniknie, przekonam się, że to tylko przewidzenie spowodowane brakiem powietrza. Po prostu się zakrztusiłem. Tuż po tym z pokoju wybiegnie Pawełek i uratuje ojca. Dlaczego ich tu jeszcze nie ma?

Ostatnim zrywem wyciągnąłem przed siebie rękę, która po chwili zetknęła się z jej łydką. To nie mogło dziać się naprawdę. Zabiła się, przecież miałem na to świadków!

Zamiast rozpłynąć się w powietrzu, wyrwała się z chwytu i postawiła stopę na mojej twarzy. Znajomy odór gnijących ciał powrócił, tak jak podczas naszego pierwszego spotkania przy szopie Wiśniewskich. Tym razem jednak nie była już człowiekiem. Przybrała cielesną

formę, ale jej dusza nie należała do tego świata. Przez kilka lat wojny nauczyłem się odróżniać żywych od zmarłych. Ona z pewnością zaliczała się do tej drugiej grupy.

– Smakowało? – spytała, przyciskając stopę do mojej twarzy. – Chyba już nie dasz rady zjeść dokładki. Nie szkodzi, twoi synowie na pewno mają niezły apetyt. Przypilnuję, żeby nie byli głodni…

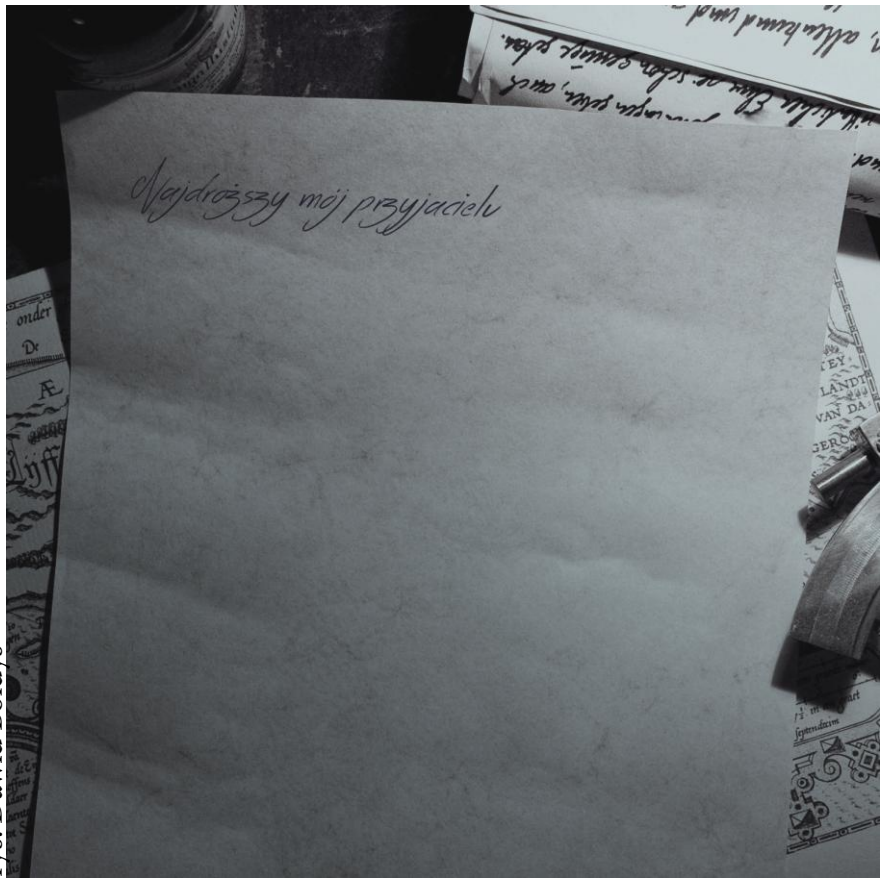

rys. Dawid Boldys

FRANCINE

Marta Lasik

Tego popołudnia, podobnie jak poprzedniego, madame Bransque usiadła przy toaletce i przez chwilę przypatrywała się swemu odbiciu. Wyglądała niepięknie. Nie było co się oszukiwać, że jest inaczej. Pod oczami znaczyły się cienie, które przypominały o bezsennych nocach spędzonych na nasłuchiwaniu. Same oczy wydawały się bardziej mętne niż powinny. Usta zaczęły pierzchnąć, a jeszcze tego ranka, powodowana obawami, przypadkiem sama przegryzła cienką skórę. Ludwik niczego nie zauważył, ale to nie poprawiało humoru madame. Jej małżonek w ostatnich dniach niewiele rzeczy w domu zauważał. Zbyt był zajęty przyjmowaniem gości, interesami i wyjściami na spotkania, o których nic jej nie mówił.

Powtarzał tylko, że wojna z Austrią to dla nich szansa i że ona, Alice, ma nie zrobić niczego głupiego, a najlepiej niech nie opuszcza domu. Jakby w ogóle przeszło jej to przez myśl!

Odwróciła spojrzenie od lustra i z szufladki wyciągnęła arkusz papieru. Tak jak poprzedniego dnia zaczęła pisać na nim list, rozpoczynając od słów „najdroższy mój przyjacielu". Punkt czwarta zadzwoniła po Francine. Wysoki dźwięk dzwoneczka noszonego przez panią domu przedostał się za drzwi i dogonił pannę pokojową na półpiętrze domu przy Rue de Cherche Midi, pomiędzy przedmieściem świętego Germana a świętego Michała, lecz świętych tu teraz raczej nie było.

Francine odetchnęła głęboko, nim obróciła się na pięcie i żwawym krokiem ruszyła ku pokojom pani. Wiedziała, że teraz dostanie do ręki list i trzy razy usłyszy, jak ważny jest on dla nich wszystkich, i że ma go nadać z samego rana. Teraz nie, bo są inne rzeczy, ale z rana, gdy będzie załatwiać sprawunki, ma go powierzyć komuś zaufanemu i nadać do drogich przyjaciół w Chatenay-la-Montagne, bo tylko oni mogą ich uratować. Wiedziała również, że bladym świtem madame będzie na nią czekać przy drzwiach (nie odważy się wejść na korytarz służby) i poprosi o zwrot listu. Wówczas Francine odda go jej ze strachem odmalowanym na twarzy, a ledwie madame Bransque zniknie jej z oczu, odetchnie z ulgą.

Ale to miało wydarzyć się rano, teraz zaś mogła jak co popołudnie zejść do kuchni, bo madame musiała się zdrzemnąć. Ta sama scena rozgrywała się tu każdego dnia od wielu tygodni z zaledwie kilkoma wyjątkami, gdy pan Bransque sprowadził gości i wymógł na małżonce, aby pomogła mu ich zabawić, nim przejdą do omawiania spraw dla kobiety zbyt zawiłych.

– Znów ci dała list! Przednio! – Donośny głos Alessii chyba tylko cudem nie docierał na parter, do państwa. – No chodź tu, pewno kazała go znowu z rana wysłać, prawda? Cała ta nasza pani, och, ach. Pokaż, co napisała!

Francine pokazywać nie zamierzała. Schowała list za pasek i usiadła na wolnym taborecie. Yves, pokojowiec, nalał jej do szklanki rozwodnionego wina i wszystko było jak zwykle. Zdążyła się nawet uzbroić w niewzruszony spokój, nim się odezwał.

– A żeby i ją ścieli. Żadna z niej arystokracja! Piąta woda po rozcieńczonym i tak kompocie, ale niech tną, jak się za taką uważa! Lepiej tępić zarazę, ledwo od ziemi łeb podniesie, bo się dorobi i jeszcze nie wiadomo, co się takim zamarzy! Kilka lat temu mniej mieli niż dzisiaj, tylko że kurze z tego bardziej ścierali, odsłaniali okna, a teraz to ona prawie z domu nie wychodzi, nie zaprosi nikogo. Wielka pani – prychnął i splunął.

Alessia huknęła na niego, ale słów Francine spod głębokiego lombardzkiego akcentu wyłowić nie zdołała. Udała, że niczego nie słyszy, a nawet jeśli, to żadnego wrażenia to na

niej nie robi. Nie było to łatwe. Z dnia na dzień coraz bardziej lękała się o siebie. Miała swoją kartę, ale dane w niej były jednym wielkim kłamstwem. Wierzyła, że dość pozostało w Paryżu ludzi, którzy by za nią poświadczyli, nie z życzliwości, a z niewiedzy o kłamstwie zaczętym przed laty, ale to już jej nie uspokajało. Odetchnęła i wypiła wino duszkiem. Yves mówił, dolewał i mówił dalej, podczas gdy Alessia przygotowywała kolację. W ten wieczór Francine nie spodziewała się nadmiaru pracy – przychodzili goście.

Gdy noc rozsiadła się na Paryżu, przecięła mrokiem miasto na pół, pożarła wieże kościołów i wgryzła się w pajęczynę ulic ciemnością, Francine siedziała przy oknie na piętrze i nasłuchiwała gwaru z salonu. Próbowała rozpoznać, kto przeszedł. Pan Bransque zaprosił swoich najbliższych przyjaciół, z których części jeszcze przed kilkoma laty nie wpuściłby frontowymi drzwiami. Czasy się jednak zmieniły i obywatel Veron, człowiek pracy o zniszczonych dłoniach, pełnym pretensji tonie oraz niespecjalnie wyszukanych manierach, zasiadał przy stole i perorował swobodnie. Udowadniał, po raz kolejny, że wojna z Austrią jest konieczna i słuszna dla sprawy, bo lud austriacki jest zbyt tchórzliwy, aby wzorem francuskiego dokonać rewolucji. Należy mu zatem dopomóc i go wyzwolić! Słyszała to już i wciąż krzywiła się, słysząc jak kaleczy austriackie nazwiska i przeinacza miejscowości, jak wymawia je z francuska, ale tonem tak autorytatywnym, że nikomu nie przyszłoby do głowy go poprawiać. Poza tym wszyscy tu się z nim zgadzali. Pan Bransque przytakiwał ochoczo, Thevenet, kupiec, przyklaskiwał, Roland i Hollande też dali się słyszeć, ale oni wszyscy Francine nie interesowali. O kogo innego jej chodziło i szybciej by się uspokoiła, gdyby zapytała podającego do stołu Yvesa, czy Henry Lammert przyszedł tym razem, czy znów przysłał tylko list z przeprosinami – ale bała się.

Bała się, jakie motywy dopisze jej Yves.

Musiała zatem słuchać i czekać, bo a nuż jest tam, a nuż wyjdzie pierwszy i bez towarzystwa, a wówczas będzie mogła przekazać mu krótki list, spoczywający na jej kolanach. Pisała go wielokrotnie, zupełnie jak madame swój, ale dziś miała zebrać się na odwagę i go doręczyć. Dziś, bo zwlekać już dłużej nie mogła, każdy kolejny dzień wysłuchiwania Yvesa i Alessii zbliżał ją do szaleństwa. Chciała być taka jak oni. Chciała widzieć nadzieję, a nie cienie i oczy w kątach domu. Wychodzić na ulicę bez cichej modlitwy na ustach. Nie podskakiwać, gdy rozlegnie się pukanie do drzwi i gdy ktoś krzyknie „stać!” na nabrzeżu rzeki. Ale już nie pomagał uśmiech rano ani tysiąckrotne powtarzanie sobie, że jest bezpieczna, że nie zwraca niczyjej uwagi.

Słuchała, jak Veron kpi. Jak jego słowa pędzą jedno za drugim, jak pożerają same siebie i jak się on w swej zajadłości zapędza. Nie widziała twarzy, Boże uchowaj, nie

widziała jego twarzy! Ale i bez tego pewna była, że staje się ona coraz bardziej czerwona i nabrzmiała, że nienawiść wypełnia ją i zaraz rozerwie, a wtedy głowa rozbryzgnie się po ścianach, ale pozostaną usta i kanciasta broda pokryta ciemną szczeciną zarostu, i słowa dalej będą płynęły.

– Nie trzeba, dam sobie radę.

Poderwała się z miejsca, lecz potrzebowała chwili, aby zrozumieć dlaczego.

Henry Lammert poprawiał płaszcz, a Yves sięgał ku klamce.

– Panie Lammert! – Zbiegła z półpiętra. – Madame prosiła, aby to panu przekazać – powiedziała szybko, a głos miała pewny.

***

Trzeciego listopada madame Bransque nie napisała listu, a Francine opuściła dom późnym popołudniem, krokiem przystającym pannie służącej, mającej załatwić nie swoje sprawunki. Zdusiła lęk i weszła w wyuczoną rolę. Kiwała głową znajomym twarzom i, w duchu złorzecząc na ostatnie deszcze, parła w stronę Sekwany. Przekroczyła ją na Pont Royal i pełna najgorszych obaw obeszła Tullieries, żeby chwilę później minąć nieukończony kościół świętej Magdaleny. Nie poświęciła mu ani chwili swojej uwagi. Lawirując wąskimi uliczkami, kierowała się w stronę Lepelletier.

Nie biegnij, głupia – powtarzała sobie i z trudem zwalniała, ale czas gonił, zmierzch nadchodził, a za nim noc późna i jakobińscy strażnicy legitymujący wszystkich jak im się spodobało. Gdyby choć jeden z nich pochodził z okolic Montpellier, Boże oszczędź!, może z miejsca przejrzałby jej kłamstwo. Zły akcent i zupełną nieznajomość okolicy, rzekomo będącej jej domem. A wówczas... Śmiać jej się zachciało, a słowa Yvesa echem potężnym jak dzwony Notre Dame sprzysiężone w zmowie z Saint Germain des Prés rozległy się w jej myślach.

Powinniście były pójść to zobaczyć. Pięknie umierała. Nawet z pewną dumą, czego się można było spodziewać, po tym jej szumnym stwierdzeniu, że skoro kobieta zgodnie z prawem może zawisnąć, to powinna też móc zabrać głos na mównicy. Powinni ją byli powiesić, skoro tak jej to było bliskie, a zamiast tego… Ciach!

I tak każdy głośniejszy dźwięk niczym to cięcie, którego na oczy nie widziała, przeszywał ją dreszczem, póki nie skryła się w ciemnej bramie. Przez chwilę stała oparta o zimną ścianę i czuła, jak zapada się w sobie, jak ciężar z ramion wnika w kości i przygina ją do ziemi. Zmusza, by zrozumiała, że najłatwiejsze za nią.

Powiedział, żeby przyszła o piątej, ale dzwony jeszcze jej nie wybiły i zamarła z dłonią na kołatce. Strach powrócił. Mały, irracjonalny strach, przed którym nie mogła uciec. Palce stały się jak nie jej. Ciężkie, sztywne i obezwładniający ból rozchodził się ze stawów. Nie zastukała. Metalowa obręcz wyślizgnęła się z nich i jedno donośne uderzenie rozbrzmiało w ciszy, zdawało się trwać dłużej, niż to było możliwe. Zupełnie jakby chciało zagłuszyć jej ucieczkę, gdyby tylko się na nią zdecydowała. A niewiele brakowało, żeby to zrobiła, bo w ciemności, nasłuchując kroków po drugiej stronie drzwi, zrozumiała, jak szalona jest jej nadzieja. Już postąpiła w tył, już obróciła się, gdy pochwycił ją snop chybotliwego światła przesłoniętej okopconym szkłem świecy. Zamarła w bezruchu z dłońmi zaciśniętymi na materiale spódnicy i wzrokiem wbitym w podłogę.

– Słucham.

– Skłamałam. List był ode mnie. Przyszłam we własnej sprawie – odparła spokojnie, choć wcale spokojna nie była. Odwróciła się twarzą ku Lammertowi i nawet nie zmrużyła oczu, choć świeca raziła ją nieprzyjemnie. – Czy moglibyśmy porozmawiać… – Zerknęła ku sąsiednim drzwiom.

Zauważył to. Przepuścił ją do środka, wyprzedził i zaprowadził do salonu, którego sufit i ściany tonęły w mroku, bo jedna świeca na stole nie była w stanie ich dosięgnąć. W ciepłym kręgu światła znajdowała się tylko część podłużnego blatu i trzy krzesła, z czego jedno zajęte.

– Almerich, idź do siebie.

Chłopiec bez wahania porzucił przepisywanie liter i czmychnął na korytarz. Zostali sami i na twarzy Lammerta odmalowało się zniecierpliwienie.

– Wiem, że pan Bransque robi z panem interesy, wzbogaca się na wojnie, zaopatruje żołnierzy republiki. Wiem, że nie jest pan Francuzem, nie w pełni, choć mówi pan perfekcyjnie… prawie, ja wiem, że nie i chodzą też plotki, że pana kontakty… – Odetchnęła, nim panika zlała jej wszystkie słowa ze sobą w bezsensowny bełkot. Wyprostowała się, niepomna na cienie spoglądające na nią z ciemnych kątów. Były tu równie natarczywe co w domu. – Ja muszę dostać się do granicy. Nie wytrzymam tu dłużej, muszę wyjechać.

– Jest panna rojalistką? – zapytał spokojnie.

– Jestem Austriaczką – odparła twardo, jakby ktoś inny za nią mówił. Słyszała słowa wypowiadane własnym głosem, ale wydawały się jej obce. – Od lat udaję Francuzkę i to było piękne życie, ale dłużej nie wytrzymam. Nie zdołam udawać przez kolejne lata, bo strach mnie pożre, jeśli dłużej będę musiała myśleć o tym, co się ze mną stanie, jeśli ktoś się dowie i wyda mnie władzy. Zginę nie za bycie arystokratką, nie za spiskowanie przeciwko

rewolucji, nie za złe słowa, a za pochodzenie. Za kraj, który opuściłam jako naiwna dziewczyna niemająca piętnastu lat.

– I taką informację składa panna w moich dłoniach?

Spuścił wzrok na wzmiankowane. Zacisnął je w pięści i rozprostował kilkukrotnie, obejrzał z wierzchu i z dołu tak uważnie, jakby je po raz pierwszy widział, a Francine, a właściwie Frederike Schulze, patrzyła na nie razem z nim, niezdolna choćby nabrać powietrza. Drżała, a przed oczami jej ciemniało. W głowie słyszała tylko pełen zgrzytów szum, wyciskający łzy z oczu i przyprawiający o mdłości. Opuściła kraj jako naiwna dziewczyna i naiwna pozostała.

Poczuła, że zapada się w sobie i znika.

– Almerich, przynieś wino!

Głos kupca docierał do niej jak przez ścianę, ale już zniknęła obezwładniająca ciemność.

– No już, prawie byś sobie głowę rozbiła o stolik. Zdecydowanie ułatwiłoby to życie wielu, ale nie po to się tu fatygowałaś. Pij. – Wcisnął jej w dłoń kubek z winem przyniesionym przez chłopca, który nie mógł mieć więcej jak pięć lat i teraz stał za ojcem, przyglądając się jej równie uważnie, co ona jemu.

Lammert to zauważył.

– Zmykaj – rzucił do syna, a ten posłuchał, ale Francine była niemal pewna, że czai się w ciemności i nasłuchuje. Czy mogła mu ufać?

– Do Austrii daleka droga, jeśli tam chcesz się dostać.

Nie protestowała przeciw tej nagłej poufałości.

– Wystarczą Prusy. Poradzę sobie.

– Wierzę – zaśmiał się. – Nadal żyjesz, to już coś znaczy. Prusy i żeby nie rzucić cię na sam środek frontu. To może się udać, tylko co ja z tego będę miał?

***

– Gdzie byłaś! Moje nerwy, moje nerwy – madame Bransque mówiła cicho, jakby wdechu głębszego wziąć nie mogła, a gorset miała wszak lekko zasznurowany, jak zwykle. – Bałam się, że cię pojmali, zmusili mą tajemnicę wyjawić i zaraz tu przyjdą. Jak mogłaś, Francine, jak mogłaś?!

Z tymi słowy opadła na mocno już wytartą sofkę i utkwiła w Francine szkliste spojrzenie. Dopiero dużo później, gdy madame postanowiła się zdrzemnąć, służąca

dowiedziała się, czemu Alice Bransque była tak roztrzęsiona. Wydało się to przy przygotowaniach do kolacji w kuchni, w której zamiast Alessii krzątała się kucharka z domu obok.

– Może się jej znudziło, albo jak już wyszła głupia kwoka z domu dalej niż na targ, to zakosztowała życia i teraz pochrapuje pod jakimś spoconym dzielnym chłopcem – skomentował Yves, gdy wyraziła swoje zaniepokojenie.

Spojrzała na niego karcąco, ale tylko prychnął w odpowiedzi.

– Czy jest ktoś na tym świecie, kogo szanujesz?

– Ja sam. – Uderzył się w pierś i roześmiał. – Nie pasuje ci? Jak się dobrze zabawiła, to możesz jej pozazdrościć, chyba że bachor z tego wyjdzie, ale cóż. Jak głupia, to sama sobie winna. Wtedy to może lepiej, żeby się okazało, że nie puściła się w jakimś kącie, a ją zabili. W sumie… – Podparł brodę dłonią i spojrzał w sufit. W marnym świetle wyglądał na rozmarzonego. – Kto tam wie, co ona robiła i z kim gadała? Niby pleciuga, ale z tego jej gadania nic nie wynikało. Może spiskowała i teraz jej głowa daleko jest od szyi? A może ty na nią doniosłaś? Gdzieś wyszłaś? Ona wyszła po tobie. Ty wracasz, ona nie. Co? Może nasza mała Alessia spiskowała? Może obie to robiłyście i teraz przyjdą po ciebie – szepnął i roześmiał się.

Francine nie było do śmiechu, ani w kuchni, ani później, kiedy madame poszła spać na dobre, a Yves dalej śmiał się z niej, gdy umykała na poddasze i nasłuchiwała, nie mogąc zasnąć pomimo mijających godzin. Nawet gdy świt był już bliżej niż zmierzch, ona trwała w trzaskach belek sufitu, w szelestach ulicy i szmerach domu. Wiatr wizgał na kominach i świszczał w ramie okna do wtóru piskowi w jej uszach. Coś tłukło się po ulicy. Ktoś krzyknął? Coś spadło. Czy to Alessia wracała, czy pan zaszedł do spiżarni?

***

Walenie do frontowych drzwi zastało ją, gdy rozpalała w jadalni. Poranek był wilgotny i zimny. Paryż skrył się w szarej mgle, jakby bał się dnia. Nawet Montmartre nie widziało nieba, a z okien jadalni Francine nie była w stanie dostrzec fasady przeciwległego budynku. Jedynie cienie. Cienie wśród cieni, wszystkie równie wyimaginowane co prawdziwe.

Uderzenia zabrzmiały ponownie, a Yves nie schodził.

Nasłuchiwała go. Nasłuchiwała tak jak w noc po powrocie od Lammerta i w kolejną, i w tę ledwie minioną, w którą nie zmrużyła oka, bo szepty w ścianach nie milkły ani na

moment. Nasłuchiwała w każdej chwili, gdy nikt do niej nie mówił. Znała kroki pani i pana, znała kroki Yvesa. Znała trzeszczenie podłóg w każdym zakamarku domu i pochrząkiwanie Vivian, kucharki zastępującej Alessię.

Dwa kolejne uderzenia skradły ciszę.

Pobiegła ku drzwiom, jakby to ona uchybiła obowiązkom. Nie zawahała się. Nie pomyślała. Nie zważyła na porę – otworzyła i słowa przeprosin uwięzły jej w gardle. Nie znała tego człowieka o wychudzonej twarzy i nieuczesanych włosach. O znudzonym spojrzeniu, ubraniu przyzwoitym, ale podniszczonym. Gdyby strach nie zmroził jej mięśni, to ponad jego ramieniem zaczęłaby szukać obstawy. Duchów skrytych we mgle. Musieli tam być. Musieli!

– Panna Francine?

Przytaknęła odruchowo.

– Alessia Delmont pracowała tutaj – bardziej stwierdził niż zapytał. – Nazywam się Florian Lavoisier.

Drgnęła. Znała go jednak. To on wykonał ulubioną biżuterię madame, tylko wyglądał kiedyś lepiej. Dostojniej. Pewniej. Nie poznała go.

– Mam dwie wiadomości. Pierwsza: Delmont nie żyje. To była szybka egzekucja. Nawet nie będzie o niej plotek. Heinrich uznał, że warto to przekazać – mówiąc to, uciekł wzrokiem w głąb mieszkania, ale tylko na chwilę. – Druga: jutro rano proszę czekać na granicy miasta przy drodze prowadzącej do Pantin i ubrać się tak, by udawać opiekunkę.

Skłonił się i odszedł, nie mówiąc ani słowa więcej. Mgła pożarła go po ledwie kilku krokach, jakby nigdy nie istniał, i choć Francine była pewna, że słyszała go naprawdę, to nie mogła odeprzeć wrażenia, że śni dobry sen o wolności.

– Kto to był? – Yves stał u szczytu schodów skrzywiony.

– Florian Lavoisier z wiadomością dla madame – odparła zbyt szybko.

– Jak chcesz kłamać, to myśl chociaż – prychnął i przewrócił oczami. – Lavoisier oszczędził innym pracy i sam się zabił całe miesiące temu. Spiskuj z głową – roześmiał się i ten śmiech nie opuścił jej aż do wieczora, a w nocy nadeszły koszmary.

To tylko Yves – powtarzała sobie w myślach. – *Głupek, chojrak i wesz, co wgryzła się w rewolucję i udaje jeźdźca.* Musiał zauważyć, że się boi i nie znając prawdziwych przyczyn uznał za zabawne ją dręczyć.

Z mięśniami napiętymi jak postronki wyczekiwała kolejnych głuchych uderzeń. Czy to były kroki na schodach? Czy ktoś pukał do drzwi? Do których? Czy dźwięk mógł nieść się tu aż z dołu? Czy przyszli po madame, bo uznali to jej domniemane pokrewieństwo za coś

warte i komuś się ono nie spodobało? Czy teraz ją zetną jak Manon, jak Olimpię, jak Charlotte Corday – tylko nie stanie tam z dumą po czynie przerażającym, a w strachu skuli się. Jeśli głowy ściętych faktycznie zdolne były wymówić choć słowo, to Alice Bransque pewnikiem nie warto by było słychać. Dać się jej stoczyć na deski, drzazgi zgarnąć i…

Coś zaszurało. Blisko. Czy już tu obok, czy tuż za drzwiami, nie umiała rozsądzić. Chciała spojrzeć. Nie mogła. Oczy miała zamknięte i za nic nie była w stanie ich otworzyć, choć niczego innego nie pragnęła bardziej. Drżała, nasłuchując.

O czwartej nad ranem wstała.

O piątej wyślizgnęła się na ciemną wciąż ulicę.

Przed siódmą dotarła na miejsce.

Przybyła pierwsza.

Nasłuchiwała. Znowu.

Pod wciąż ciemnym niebem trwała zimowa cisza. Gołe drzewo pochylało się nad niewyróżniającą się drogą, powykręcane przez lata, wyczekiwało razem z Francine na kogoś, kto mógł nigdy nie nadejść. Kogo sobie wyimaginowała w strachu.

Zawierzyłaś komuś, kto przyniósł wieści o Alessii. Komuś, kto, jak plotka mówi, już nie żyje – głosem Yvesa jej własne myśli naśmiewały się z niej. Wiatr przyklaskiwał im, tłukąc łysymi konarami drzewa. – *Schade. Czego się spodziewałaś?*

Szczęścia? Spokoju? Cudu? Wolności? Ratunku?

Mogła wymieniać w nieskończoność, a i tak szelest w zmarzniętej trawie był głośniejszy niż ona.

Głupia, głupia, głupia – powtarzał, gdy zimno wgryzało się jej w kości.

***

Zginiesz, zginiesz, zginiesz – powtarzał, gdy mróz przegryzał się przez jej płaszcz, a ona bała się choćby drgnąć. Almerich trwał w jej objęciach nieruchomy i pewna była, że dziecko zamarzło już dawno, ale niezdolna była poruszyć się choćby na tyle, aby to sprawdzić. Nie wiedziała nawet, ile czasu minęło. Ile godzin dzieliło ją od świtu? Ile jeszcze będzie nasłuchiwać trzeszczenia gałęzi w obawie, że oprawcy wrócą? Jak daleko byli od granicy? Czy warto było próbować iść dalej? Ze swojego miejsca widziała przewrócony powóz, połamane dyszle sterczące niczym proporce – konia zabrali, podobnie jak bagaże i z każdą mijającą minutą coraz łatwiej było jej uwierzyć, że to byli jedynie zbóje, a nie pułapka jakobinów, nie wyrok, ot pech i głodni ludzie ze wsi, mający nadzieję, że tak blisko

granicy nikt się zbrodnią nie przejmie. Że nawet jeśli, to może uda się im to obrócić na swoją korzyść. Będą mówić, że zabili zdrajcę, kolaboranta. Skulona za gęstą jeżyną miała wrażenie, że widzi ciało Lammerta, że słyszy echo jego słów, gdy kazał się jej skryć w gęstwie.

Mrugnęła.

Stał tam. Jasnowłosy, dumny, wyprostowany i tylko głowa opadała mu za bardzo na prawe ramię, bo ochłap skóry, którego nie przeciął wielki nóż, nie mógł utrzymać jej w pionie. Zwracał ją ku niej wraz z podmuchami wiatru. Z ust wypływała mu krew, a słowa były niewyraźne, ale spojrzenie pozostało bardziej niż wymowne.

Głupia, głupia, głupia kwoka siedzi na grzędzie, co to będzie? Przyjdą, ubiją, z ścierwem użyją sobie i będzie po tobie.

Słyszała echa prostackich wyliczanek Yvesa i nieprzyjemny śmiech Alessii, jakby siedzieli tuż obok, wśród tych samych jeżyn. On uśmiechnięty pogardliwie, ona tuląc swoją głowę do obfitych piersi jak lalkę.

– Nie ma was – szepnęła.

Własny głos ją przeraził.

Drgnęła. Horyzont na wschodzie zaczynał jaśnieć, a przecież za dnia nie mogła marzyć, że się przekradnie przez gołe pola. Musiała teraz. Szybko, byle szybciej, choć stóp nie czuła, a ramiona miała skostniałe. Byle do przodu i byle dalej od cieni. Od francuskich trupów, co pełzły po nieurodzajnej ziemi i chwytały za kostki, gdy ledwo powłóczyła nogami, ciągnąc za sobą chłopca jak worek.

– Musimy iść – szeptała pierwszy raz od lat po niemiecku. – To niedaleko.

Upadła. Za jej plecami Lammert prychnął pogardliwie i była pewna, że pokręcił głową. Zakolebała się ona, spadła z ramienia na pierś i sarkała dalej.

– Nie możemy inaczej. Nie ma powrotu…

Mroźna mgła podnosiła się nad pola. Kotłowała w szarości przedświtu i wyciągała się ku Francine, chcąc wziąć ją w ramiona. Utulić po raz ostatni za te wszystkie naiwne marzenia. Za pragnienia, co górę nad nią wzięły w Paryżu, bo zachciało się jej…

Szczęścia?!

O naiwności słodka, czym jest szczęście?

Wślizgiwała za kołnierz, wpełzała do gardła. Brała w posiadanie pannę służącą i pożerała jej oddech.

Spokoju?!

W grobie tylko, a i tam może nie. Śmierć i kaźń za kłamstwo wobec narodu!

Osiadała na rzęsach i skrzyła się w pierwszych promieniach dnia. Oślepiała Francine. Zmuszała, by upadłszy, pełzła po ziemi, skostniałymi dłońmi błądziła wśród twardych grud, które może były ziemią, a może nie.

Cudu?!

Cudów nie ma! Jest zdrowy rozsądek. Kult Rozumu!

Oczyma wyobraźni widziała kości z Denfert-Rochereau. Małe białe kosteczki dziecięcych kręgów. Zupełnie jak strzaskane grzechotki, leżące wokoło, kuszące wzrok, ilekroć padł na nie blask świecy.

Wolności?!

Ta tylko dla wiernych sprawie sług narodu. Dla zdrajców? Nie! Po stokroć nie!

Almerich pełzł razem z nią. Chwilami szedł nawet, kiedy indziej ciągnęła go jak szmacianą lalkę. Czy swą prośbą zmieniła dziecko w sierotę? Czy była morderczynią? Zabiła ojca. Zabije dziecko. Zginie sama.

Ratunku?!

Śmiech.

***

– Mama! Jemand ist hier!

STEPHEN KING

GDY FASCYNACJA LITERATURĄ ZMIENIA SIĘ W OBSESJĘ...

Brady, nazywający sam siebie „sprafcą", pokochał dotyk śmierci pod kołami Mercedesa i chce poczuć go ponownie.

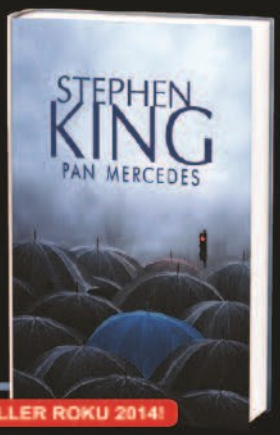

BESTSELLER ROKU 2014!

Genialny autor i psychofan, który nie cofnie się przed niczym...
Detektywi znani z kart powieści „Pan Mercedes" znowu ruszają na ratunek!

ALBATROS

www.wydawnictwoalbatros.com

SZORTAL

UWOLNIJ MOC UKRYTĄ W SZORTACH

szorty ○ drabble ○ recenzje
newsy ○ konkursy ○ forum

Krótko. Na temat. CZYTAJ

Demony przychodzą nocą, wraz z nimi – szaleństwo…

OLGA HABER

powieść grozy

WYKLĘCI

VIDEOGRAF

rys. Dawid Boldys

MORT-VIVANT

Dariusz Węgrzyniak

Leśne echo niosło niepokojące dźwięki nocnej pogoni. Poszczekujące ogary i krzyczący ludzie byli coraz bliżej rzeki. Płomienie tańczących pomiędzy sosnami pochodni ułożyły się w łuk, którego końce powoli zbliżały się ku sobie. Obława zacieśniała się.

Curtis Gagnon, miejscowy drwal, jeszcze niedawno w służbie u hrabiego Laforge, dzisiaj w służbie u nikogo, otworzył drzwi zbitej z bali chatki i spojrzał ze smutkiem na kąsające ciemność ogniki.

– Dotarli i tutaj – powiedział do łaszącego się owczarka. – Szlag by ich trafił!

Tervueren zaskomlał przeciągle, spoglądając tęsknie w stronę pobrzmiewającej psim ujadaniem doliny. Światła były coraz bliżej siebie, szczekanie psów przeszło w ujadanie, ludzkie głosy także stały się głośniejsze. Stojący na wzgórzu drwal coraz wyraźniej rozróżniał słowa padających rozkazów. Nie wiedział, kto był ofiarą pościgu, współczuł mu jednak. W ciągu ostatnich miesięcy wiele razy był świadkiem podobnych scen. Zawsze kończyły się tak samo. Dlatego uciekł. Zostawił położony na skraju lasu dom gajowego i skrył się w kniei, pewien, że uda mu się tutaj przeczekać rewolucyjną zawieruchę. Mylił się.

Padły strzały. Pies ukrył głowię między jego stopami i zaskomlał.

– Już po wszystkim – pocieszył czworonoga. – Zaraz sobie pójdą. – Wpuścił owczarka do domu, postał chwilę, patrząc, jak rozbiegane światła łamią szyk i rozpraszają się po lesie, posłuchał cichnących przekleństw i wszedł do chaty.

Zdążył nakarmić psa i zjeść kolację, gdy grubo ciosane deski prymitywnych drzwi podskoczyły od energicznych uderzeń. Owczarek poderwał się i zaczął warczeć.

– Weźcie psa i otwórzcie! – zażądał nieproszony gość.

– Ktoś ty! Czego tu szukasz?! – zapytał drwal, klnąc w myślach. Dobrze wiedział, kto stoi po drugiej stronie.

– Kapitan Auguste Bouchard, w służbie Trybunału Rewolucyjnego!

Curtis odłożył siekierę i podszedł do drzwi, ruchem ręki dając znak psu, by warował.

– Szybciej, do jasnej cholery, zróbcie miejsce! – Kapitan Bouchard wparował do izby, rozejrzał się i podszedł do łóżka. – Zabierzcie ubrania. Koc zostawcie – zwrócił się do drwala. – Dawajcie go, szybko! – Dwóch mężczyzn przepchnęło się przez niskie wejście. Na prymitywnych noszach nieśli rannego. – Na łóżko z nim – rozkazał kapitan i podszedł do Curtisa. – Przepraszam za to nagłe najście, ale nie mamy wyjścia. Jeden z moich ludzi został okaleczony podczas obławy. Ma pan bandaże?

– Mam – burknął drwal i wyjął spod łóżka niedużą, skórzaną torbę. – Opatrzycie go, czy ja mam to zrobić?

– Znacie się na tym? – W oczach kapitana zabłysła nadzieja. – Ja coś tam potrafię, jednak takich ran nigdy nie opatrywałem, a nasz felczer został zabity po drodze.

– Zabity? – Curtis nie ukrywał zdziwienia. To nie rewolucjonistów zabijano, to oni zabijali.

– Straciłem już pięciu ludzi, nie licząc Benjamina. – Skinął głową w stronę jęczącego z bólu chłopaka.

– Nie sądziłem, że ciągle trwają walki – rzekł drwal. – Myślałem, że ten etap mamy już za sobą. – Umyślnie wypowiedział ostatnie zdanie w sposób sugerujący jego sympatię dla

sprawy. Nie brał udziału w przewrocie. Podczas Wielkiej Trwogi pomógł nawet kilku duchownym przedostać się lasem do granicy, wiedział jednak dobrze, że jeśli nie określi wyraźnie swego stanowiska, łatwo może zmienić się z oferującego pomoc samotnika w zasługującego na śmierć wroga ludu. Nieważne, czy znajdowałeś się na paryskim rynku, czy w środku głuszy; jeśli nie byłeś za Rewolucją, byłeś przeciwko niej.

– Nie możemy dopuścić, by gnębiciele ludu pozostawali bezkarni, dlatego nie szczędzimy środków i ścigamy każdego z nich – odparł kapitan.

– Jak dużą grupę tropicie? – Curtis zaczął rozcinać na Benjaminie zbroczone krwią ubranie. Poszarpany kubrak nie sugerował ran od kuli czy szpady.

– To teraz nieistotne. – Kapitan odwrócił wzrok. – Zagotuj wody – rozkazał stojącemu przy prymitywnym piecu podwładnemu. – Zaraz zjawi się tu reszta moich ludzi – rzucił w stronę Curtisa. – Umieszczę ich w szopie – oznajmił. – Dużo macie jedzenia? Prowiant nam się kończy.

– Podzielę się tym, co mam – odparł drwal, starając się za wszelką cenę ukryć wrażenie, jakie wywarły na nim rany Benjamina.

Chłopak ledwo żył. Oddychał ciężko, kaszląc od czasu do czasu krwią. Cały prawy bok miał poszarpany, jakby wpadł pod brony lub inny przedmiot z dużą liczbą niezbyt ostrych zębów. Tych ran nie zadała szpada, nóż czy bajonet. Odstępy pomiędzy cięciami były równe i regularne. Curtis widział już podobne obrażenia, wolał jednak nie zdradzać się ze swoją wiedzą.

– Przeżyje? – Starszy mężczyzna, który zajmował się gotowaniem wody, stał nad nim z miską i ze łzami w oczach patrzył na oddającego ducha młodzieńca.

– Nie – odparł krótko Curtis. Nie było sensu kłamać. Robić nadziei.

Kapitan Bouchard podszedł do duszącego łzy żołnierza i wziął od niego miskę.

– Wyjdź na zewnątrz, Searlas – poprosił. – My zajmiemy się resztą. – To jego stryj – wytłumaczył. – Miał się opiekować Benjaminem, obiecał to jego matce. Chłopak garnął się do służby, a teraz... ech! – Pokręcił głową.

– Już po wszystkim. – Słowa Curtisa odbiły się od stojących w chatce ludzi. – Nie żyje. Pokrwawiona pierś chłopca przestała się unosić, usta zsiniały, a oczy zastygły na zdobiącej sufit plamce pleśni.

– Trzeba go pochować – przerwał milczenie Bouchard.

– Searlas czeka na zewnątrz – odezwał się milczący do tej pory mężczyzna, który pomagał przy noszach.

– Pójdziesz, Garland? – zapytał cicho kapitan.

– Pójdę.

Drzwi zamknęły się za rewolucjonistą, a Curtis bez pytania zabrał się za ubieranie martwego Benjamina. Zarzucił na niego sztywny od krzepnącej krwi kubrak, a ciało owinął kocem. Podniósł ten ludzki kokon i pytająco spojrzał na kapitana Boucharda.

– Mam go pochować?

Rewolucjonista wzdrygnął się, wybity z zadumy.

– Tak, za chwilę – odparł. – Niech biedny Searlas dojdzie do siebie. – Spojrzał na Curtisa, który trzymał zwłoki jakby to był snopek zboża. Dopiero teraz dotarło do niego, jak dużym i silnym mężczyzną był jego gospodarz. Bary i potężne ramiona drwala robiły wrażenie nawet na kapitanie, który sam nie zaliczał się do ułomków. *Gdyby chciał, mógłby nas tutaj wytłuc gołymi pięściami, zanim ktokolwiek zdążyłby sięgnąć po muszkiet,* pomyślał. – Nie musicie trzymać go na rękach – zwrócił się do Curtisa. – Połóżcie ciało. Najpewniej Searlas będzie chciał pochować krewnego osobiście, wtedy mu pomożecie. Dziękuję za waszą życzliwość.

– Czy mogłem odmówić? – Pytanie drwala zabrzmiało dziwnie w uszach kapitana.

– Nie, nie mógł pan, panie...?

– Curtis Gagnon – przedstawił się mężczyzna. – A ten tam, tervueren, to mój najlepszy przyjaciel, Hector. – Wskazał na owczarka, który radośnie zamerdał ogonem, słysząc swoje imię.

– Co pan robi tak głęboko w głuszy, panie Gagnon?

– Jestem drwalem.

– Nie widziałem żadnej wycinki. – Kapitan przyglądał się uważnie rozmówcy, jednak pokryta czarną brodą twarz Curtisa nie zdradzała zbyt wiele.

– Sam nic nie zrobię. – Drwal wzruszył ramionami. – Miałem dostać pomocników – kłamał jak najęty. – Były plany, jakieś projekty, ale wszystko diabli wzięli po aresztowaniach.

– Pracował pan dla...?

– Dla hrabiego Laforge.

Kapitan wyprostował się raptownie, udał, że nazwisko arystokraty nie zrobiło na nim wrażenia i pytał dalej.

– Ach tak? Aresztowano go dość dawno, a pan, panie Gagnon, ciągle czeka na pomocników?

– Nie mam się gdzie podziać. – Tym razem odpowiedź drwala zabrzmiała szczerze. Uspokoiło to rewolucjonistę, który kopnął w stronę Curtisa trójnogi stołek i usiadł naprzeciwko łóżka.

– Nie myślał pan o przystąpieniu do Rewolucji? – zapytał podchwytliwie.

– Myślałem, ale nie było ku temu okazji. Niewielu ludzi odwiedza te rejony. By być uczciwym, wy jesteście pierwsi.

– Nie mieliśmy wyjścia. Pogoń, pan rozumie – odparł kapitan i spojrzał uważnie na drwala. – Wie pan co, panie Gagnon? Dobrze się to wszystko złożyło.

– Tak? – Curtis oklapł. Wiedział, co się święci.

– Tak. Widzi pan, ja straciłem już kilku ludzi, teraz dołączył do nich biedny Benjamin. Nie mam medyka, nie mam przewodnika, a panu nie trafiła się do tej pory okazja, by przysłużyć się Rewolucji. Nadarza się sposobność, bym godnie podziękował za udzieloną nam pomoc i zaprosił pana, panie Gagnon, do naszej kompanii. Oczywiście zgadza się pan, prawda?

– Oczywiście – westchnął ciężko Curtis.

– Wybornie! – ucieszył się kapitan Bouchard, wstał ze stołka i chyba chciał pogratulować drwalowi decyzji, gdy drzwi do chaty skrzypnęły i stanął w nich blady niczym ściana Searlas.

– Mogę go zabrać? – wychrypiał, patrząc na leżące na podłodze zwłoki.

– Oczywiście, przyjacielu. – Kapitan podszedł do siwobrodego mężczyzny i położył mu dłoń na ramieniu. – Benjamin na zawsze pozostanie w naszej pamięci, a ja zadbam, by odznaczono go pośmiertnie.

Nikt się nie odezwał. Searlas spojrzał dziwnie na kapitana, później na Curtisa i podszedł do zwłok bratanka, próbując je unieść. Drwal zerwał się i bez pytania pomógł żołnierzowi. Wyszli bez słowa z chałupy, niosąc ciało chłopaka.

W podobnym milczeniu kopali dół i zasypywali mogiłę. Cierpienie starego rewolucjonisty bolało Curtisa. Chciał je uszanować ciszą, co tamten wyraźnie docenił.

– Krzyża nie będzie – odezwał się żołnierz, gdy grób był już zasypany. – Kapitan nie pozwala.

– Rozumiem – odparł drwal. – Mowa pogrzebowa? – zapytał. – Zwołać resztę?

– Nie będzie mowy. – Rewolucjonista pokręcił głową. – Zostaw mnie samego.

Curtis skinął tylko i ruszył w stronę domu.

Ziemia była mokra, a noc w pełni; niezauważony, całkiem przypadkowo, naszedł rozmawiającego ze swoim zastępcą kapitana. Nie usłyszeli go, przystanął więc w cieniu domu i przysłuchiwał się rozmowie.

– Niczego mu nie mów – szeptał kapitan. – Ma nas przeprowadzić przez las i z powrotem, skorzystamy z jego zapasów i apteczki, to wszystko.

– Co gdy będzie dopytywał? – Rudowłosy mężczyzna z niedużą, czesaną w szpic bródką miał wyraźne wątpliwości co do planu dowódcy.

– Nic! – syknął Bouchard. – Jesteś jego przełożonym, Garland! Do jasnej cholery! Co robisz, kiedy podwładny zadaje ci pytanie, na które nie chcesz udzielić odpowiedzi?!

– Wysyłam go do wszystkich diabłów?

– Otóż to! – Kapitan pogładził się po nieogolonej twarzy. Dopiero w blasku księżyca Curtis zobaczył, jak bardzo zmęczony jest rewolucjonista. Policzki miał zapadnięte, oczy podkrążone, a przetłuszczone, spięte w kucyk włosy zaczęły się rozsypywać w nieładzie na okryte granatowym surdutem ramiona.

Ciekawe, jak długo trwa ten cały pościg, pomyślał i cofnął się kilka kroków, umyślnie hałasując, po czym wyszedł z cienia.

– Searlas? – zapytał kapitan.

– Chciał pobyć chwilę sam.

– Dobrze. Jeszcze raz dziękuję za pańską pomoc, jest pan dobrym człowiekiem, panie Gagnon.

Curtis nie odpowiedział, uniósł w górę łopaty i wskazał nimi szopę.

– Tak, niech pan odniesie – powiedział Bouchard – i zrobi trochę miejsca. Część moich ludzi spędzi tam noc. Wstajemy o świcie – dodał i ruszył w stronę skupionych wokół ogniska podwładnych.

Bouchard rozkazał patrole i warty. Rewolucjoniści przyjęli te decyzje z ulgą, Curtis ze zdziwieniem. Gdy tylko sprzątnął szopę, położył się spać. Wkrótce dołączył do niego kapitan wraz z zastępcą, którzy rozłożyli się na podłodze tuż obok tlącego się pieca.

Noc była ciężka. Niemal bezsenna. Co chwilę słyszał, jak któryś z patrolujących linię lasu mężczyzn panikuje i wszczyna fałszywy alarm. Nawet Hector, zazwyczaj opanowany, przyzwyczajony do odgłosów kniei, tej nocy warczał dużo częściej, a przez niespokojny sen skomlał. Nie wróżyło to niczego dobrego, Curtis wiedział o tym, znał na wylot swojego owczarka i pamiętał dokładnie, kiedy ten ostatnio tak się zachowywał.

Drwal drzemał czujnie, udając przed wybiegającym co rusz z chaty kapitanem, że śpi twardo. Głowę wypełniały mu podejrzenia i domysły, mroczne wspomnienia z czasów służby u hrabiego Laforge i niedająca się odpędzić wizja umierającego od straszliwych ran Benjamina. Przyszłość jawiła mu się w coraz ciemniejszych barwach.

Dopiero wyczekiwany świt rozpędził smętne myśli. Udał przed kapitanem, że właśnie się obudził i zaproponował pomoc w pakowaniu ekwipunku oraz przygotowaniach do drogi. Z podsłuchanych przy pośpiesznym posiłku rozmów zrozumiał, że ścigają jedną osobę,

w dodatku ranną.

Były też inne wieści. Znacznie gorsze. Popsuły doszczętnie Curtisowi samopoczucie, a kapitana doprowadziły do szału. Okazało się, że nocą zdezerterowała „kolejna dwójka tchórzy”, jak nazwał ich Bouchard. Pogorszyło to i tak już słabe morale nadwątlonej grupy pościgowej. Nie licząc drwala i owczarka, zostało ich tylko ośmiu.

Kapitan przeklinał dezerterów przez większą część drogi, odgrażając się sądem polowym, konfiskatami dla rodzin, a nawet gilotyną. Przeszło mu, gdy doszli do sączącego się przez bagna strumienia.

– Jest pan pewien, panie Gagnon, że tędy prowadzi trop? – zapytał Bouchard i spojrzał z obrzydzeniem na tonące w wilgotnym wrzosie brzózki.

– Tak – odparł Curtis. – Nieliczne ślady, które zostawia ścigany, wyraźnie wskazują na to, że ucieka przez bagna.

– Czy to aby bezpieczne – wtrącił się rudowłosy porucznik – tak pchać się w te moczary?

– Żadna ścieżka w tym lesie nie jest bezpieczna – markotnie odparł drwal.

– Nie mogliśmy jej zabić, to może suka zrobiła nam przysługę i się utopiła?

– Garland! – warknął kapitan. – Lepiej zamilcz!

– Dość długo tropię waszego zbiega – odezwał się Curtis. – Do tej pory niewiele mi powiedziano, a odrobina wyjaśnień nie zaszkodziłaby w tej sytuacji nikomu.

Umyślnie poruszył kwestię uciekiniera, nie chciał, by rewolucjoniści nabrali podejrzeń. Przewodnik idący ślepo w owiany złą sławą las i niezadający pytań jest tak samo podejrzany, jak ten, który tych pytań zadaje zbyt dużo.

– O tym, czy należą się panu jakiekolwiek wyjaśnienia, czy też nie, ja decyduję, panie Gagnon! – odparł sucho kapitan. – A w tym momencie nie widzę powodu, by wiedział pan cokolwiek ponad to, że tropimy zbrodniarkę, a pańskim zadaniem jest mnie do niej doprowadzić! Czy pan mnie rozumie?!

– Tak – przytaknął drwal, zadowolony z reakcji rewolucjonisty. Fakt, że ukrywają przed nim tożsamość ściganej, dawał dużo do myślenia. Pozostałe elementy mrocznej układanki, pozornie niepowiązane, nagle zaczęły do siebie pasować. Chwalił zapobiegliwość, która kazała mu wziąć ze sobą siekierę, wcisnąć za skórzany pasek myśliwski nóż, a za cholewę sztylet.

– Prowadź pan – rozkazał kapitan. – Chcę wyjść z bagien przed zmrokiem.

– To nam się nie uda. – Pokręcił głową Curtis.

– Dlaczegóż to? – zdumiał się Bouchard. – Na mapach te bagna nie wyglądają na

rozległe.

– Mapy to jedno, rzeczywistość drugie – rzekł drwal. – Te mokradła są co roku większe. Nie ominie nas nocleg na nich, chociaż ja zalecam nie spać.

– Ludzie są zmęczeni, panie Gagnon – wyszeptał Garland. – Niech pan głośno nie mówi, że mają nie spać tej nocy, bo kolejni żołnierze wezmą nogi za pas, a sami nie damy sobie rady.

– Z jednym zbiegiem? No, no... – Curtis kpił, ale jemu również nie uśmiechał się nocleg na trzęsawisku.

– Garland! – Kapitan wściekł się. Odciągnął zastępcę od drwala i zaczął mu coś tłumaczyć, gestykulując gwałtownie. Pozostali uczestnicy pościgu stali w milczeniu, trzymając w rękach smycze mokrych od bagiennych traw ogarów. Garland z początku słuchał reprymendy w milczeniu, z opuszczoną głową, później wyrwał się przełożonemu, krzyknął coś na odchodne i szybkim krokiem odszedł do przysłuchujących się awanturze ludzi, na których wyładował swoje niezadowolenie.

Kapitan Bouchard machnął ręką na ten dramat, przewiesił muszkiet przez ramię i podszedł do Curtisa.

– Zadowolony? – syknął.

– Nie – burknął drwal. – Nie mam powodów do zadowolenia – dodał dwuznacznie i gwizdnął na obwąchującego się z ogarami Hectora.

Ruszyli przez mokradła.

Ślady pozostawione przez ściganą były coraz trudniejsze do odnalezienia. Mokre podłoże i wysoka roślinność nie sprzyjały tropieniu. Na szczęście wierny owczarek skutecznie uzupełniał Curtisa w tym trudnym zadaniu, bezbłędnie wskazując kierunek, ilekroć drwal się zawahał.

Grząski las wydawał się nie mieć końca. Kapitan i jego zastępca nie odzywali się do siebie, do Curtisa też niewiele mówili. Przemoczeni i utrudzeni rewolucjoniści także maszerowali w ciszy; od czasu do czasu któryś zaklął, pies zaszczekał, chlapnęła uwięziona w grząskim torfie stopa.

Długie godziny mijały, a końca pościgu nie było widać. Gdy przedwieczorna mgła otuliła brzozy, kapitan nakazał rozpalić pochodnie i trzymać się blisko. Światło dawane przez łuczywa było marne i blade. Wilgoć skutecznie dusiła płomienie.

– Jak długo jeszcze? – zapytał drwala Garland. Rudowłosy porucznik z każdą godziną szedł coraz bliżej Curtisa, a gdy mgła zdusiła resztki słonecznego światła w i tak już ponurym lesie, zebrał się na odwagę i ignorując ostrzeżenia dowódcy, przysunął się do przewodnika.

– Obawiam się, że niedługo – burknął Curtis. – Jesteśmy coraz bliżej.

– Pan widzi jej ślady?

– Trochę – skłamał drwal, już od dawna nie widział żadnych śladów. – Większość roboty odwala za mnie on. – Skinął pochodnią w stronę skupionego na zadaniu Hectora.

– Nasze ogary dawno zgłupiały w tym błocie – narzekał Garland.

– Nienawykłe. – W głosie Curtisa zabrzmiała nutka dumy. – Hector jest inny. Od szczeniaka brał udział w polowaniach. Hrabia bardzo go cenił.

– Właśnie, hrabia... – Garland w końcu zebrał się na odwagę, by zadać pytanie, z którym nosił się od dawna. Curtis dobrze wiedział, dlaczego porucznik dotrzymuje mu towarzystwa, śmieszyło go to trochę, ale i irytowało.

– Jak długo pracował pan dla hrabiego?

– Od początku – odparł drwal. – Jestem synem dworskiego gajowego.

– Weźmie mnie pan za głupca, ale muszę zapytać o coś jeszcze. – Rewolucjonista walczył sam ze sobą, w końcu, zachęcony milczeniem Curtisa, wydusił: – Kim ona jest, na Boga!

– Hrabina?

– Tak, hrabina, dobrze pan wie! Wie pan od początku! – Szept porucznika przeszedł w syk. – Musi pan wiedzieć!

– Cóż... – Curtis świetnie się bawił. – Hrabina... jest hrabiną.

– Proszę sobie ze mnie nie kpić! – Kipiał gniewem Garland. – Pan wie, co ona zrobiła naszym ludziom? Pan myśli, że ilu dobrych, niewinnych chłopców straciliśmy od początku pościgu! Pięciu? Tak, tak! Wiem! Tak powiedział panu Auguste! Ale to nieprawda! Ta wiedźma wybiła połowę oddziału!

– Jak słaba kobieta mogła zabić tylu ludzi, panie Garland, czy pan mówi poważnie? – drwił Curtis, lecz ciarki chodziły mu po plecach. Wiedział, do czego zdolna była żona hrabiego Laforge.

– Niech pan powie, błagam pana! Zaklinam! – Porucznik ignorował prześmiewczy ton drwala. – Czym ona jest? Jak ją zabić?

Curtis nie odpowiedział. Wspomnienia z dzieciństwa spędzonego we dworze hrabiego wcale nie były nieprzyjemne. To były dobre lata. Nawet hrabinę mile wspominał. Zanim ujrzał ją, już jako nastolatek, gdy pędziła przez ciemny las; jawiła mu się jako miła i piękna pani. Zawsze życzliwa dla przychodzącego z ojcem chłopca. Zawsze uśmiechnięta...

– Garland! – Kapitan Bouchard wyłonił się z mgły. – Wróć do szeregu!

– Auguste, ja muszę...

– To jest rozkaz! – Porucznik zaklął cicho pod nosem, obrzucił przełożonego niechętnym spojrzeniem, ale wycofał się posłusznie.

– A pan, panie Gagnon, ma milczeć! – Bouchard spojrzał surowo na drwala. – Ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję, to wywołana bajkami panika w oddziale. Ludzi prostych można nabrać; oszukać, gdy okoliczności temu sprzyjają. W lesie takim jak ten łatwo uwierzyć, że ściga się potwora, bestię z piekła rodem. Obaj jednak wiemy, że to tylko kobieta, której pomaga jeden, może kilku mężczyzn.

– Czyżby? – Curtis spojrzał głęboko w oczy kapitana, jakby chciał w nich wyczytać, czy ten naprawdę wierzy we własne słowa.

– Oczywiście! – Bouchard uciekł wzrokiem. – Ja nie dam się przestraszyć, ani zwieść. Przejdę te pieprzone bagna, zabiję pomagających hrabinie ludzi, a ją samą zaciągnę za czarne kudły na gilotynę! Rozumie pan, panie Gagnon?! Na gilotynę!

– Rozumiem – skłamał Curtis. Jedyne, co rozumiał, co widział dokładnie, to rosnąca obsesja kapitana. Niezdrowe dążenie do osiągnięcia celu, pomimo wyraźnych znaków, że dawno powinno się przestać. *Tak*, pomyślał. *Ten rodzaj paranoi niejednego już zabił i niejednego zabije. Szkoda tylko, że biedny szaleniec pociągnie za sobą niewinnych ludzi, a mnie wraz z nimi.*

– Dobrze! – Kapitan spojrzał przed siebie. – Mgła gęstnieje – stwierdził. – Czy ten bagienny opar nie utrudni tropienia?

– Utrudni – odparł drwal. – Niestety, podobnie jak na wodę w butach i węże w trawach, nie mamy na to wpływu. Trzeba pilnować, by łuczywa jasno płonęły i iść najbliżej siebie, jak to tylko możliwe. Radziłbym również zdjąć muszkiety z ramion.

– Jesteśmy blisko, prawda? – W głosie Boucharda dało się słyszeć nutkę niezdrowej fascynacji.

– Tak. Jesteśmy blisko.

– Dopadniemy ją, zanim zapadną całkowite ciemności?

– Nie, na bagnach, przy tym oparze, noc zastanie nas dosłownie za chwilę.

– Niech pan się pośpieszy, panie Gagnon. – Wzrok kapitana spoczął na mokrej od rosy twarzy drwala. – Jeśli nie zakończę pościgu tej nocy, rano nie będzie przy mnie nikogo. Już teraz słyszę, jak ludzie szepczą między sobą. Szukają okazji do ucieczki. Nawet Garland...

– Pościg zakończy się tej nocy – odparł Curtis. – Mogę to panu obiecać.

– Dziękuję. – Zmęczony kapitan nie odczytał czającego się w głosie drwala ostrzeżenia. – Potrzebuje pan czegoś, zanim ruszymy dalej?

– Tak... – W głowie Curtisa nagle zrodziła się dająca nadzieję myśl. Mały promyk

światełka rozjaśnił ponury mrok setki katastrofalnych scenariuszy, w których zawsze kończył martwy pośrodku zapomnianego przez ludzi i Boga grzęzawiska. – Przydałby mi się pomocnik – powiedział. – Ślady coraz trudniej dostrzec w tym mroku. Dobrze byłoby mieć kogoś, kto niósłby drugą pochodnię.

– Jeśli to przyspieszy całą sprawę, nie widzę problemu – zgodził się Bouchard. – Zaraz przyślę panu jakiegoś młodzika.

– Wolałbym kogoś, kto nie zadepcze śladów. Kogoś starszego. Z doświadczeniem. – Curtis łgał bez mrugnięcia okiem. – Searlas byłby idealny. Zwłaszcza że już się znamy.

– Tak. – Kapitan pokiwał głową ze zrozumieniem. – To dobry pomysł. Panu przyda się pomoc, a on odciąży głowę od myśli o biednym Benjaminie. Zaraz do pana dołączy.

To powiedziawszy, kapitan odwrócił się i mlaszcząc przemoczonymi butami, ruszył w stronę zgromadzonych wokół porucznika ludzi. Większość z nich, przerażona i spięta, od dawna maszerowała z palcem na spuście lub dłonią zaciśniętą na rękojeści szpady. Ciemność wkroczyła nie tylko do lasu. Myśli młodych rewolucjonistów także przepełnił mrok i strach przed nieznanym. Nikt już nie wierzył w zapewnienia dowódcy, że ścigają niegroźną, otoczoną służbą kobietę.

Ciekawe, ile okropności widzieli, zanim dotarli do mojej chatki? – zastanawiał się Curtis. *Rozważanie dezercji z ochotniczego oddziału rewolucyjnego nie bierze się znikąd. Taka decyzja to pewna śmierć w razie wpadki, a jednak część z nich uciekła, a ci, którzy zostali, tylko czekają, by do nich dołączyć. Czyżby hrabina w końcu uległa mrocznej części siebie? Dała się ponieść?*

– Mam dwie dodatkowe pochodnie. – Searlas pojawił się znikąd i przerwał rozmyślania Curtisa.

– Dobrze – odparł drwal. – Zapal tę większą i trzymaj się blisko mnie. Rozumiesz?

– Oczywiście – żachnął się stary żołnierz.

– Nie rozumiesz... – Curtis obejrzał się za siebie. Kapitan był za daleko, by ich podsłuchać, ciągnął więc dalej: – Masz trzymać się blisko mnie, cokolwiek się stanie. Tylko tak wyjdziemy z tego cało.

– Bouchard... – Searlas nie wiedział, jak ma zareagować na propozycję drwala.

– Bouchard już jest trupem. My również, jeśli czegoś nie zrobimy. Dobrze o tym wiesz!

Rewolucjonista nie odzywał się. Myślał.

– Benjamina nie zabił człowiek. – Curtis nie miał wyjścia. Musiał zagrać tą kartą.

Efekt był natychmiastowy. Searlas drgnął i odwrócił wzrok.

– Wiem – wyszeptał. – Wiem o tym dobrze, panie Gagnon. Jego krew jest na moich rękach. Już po pierwszej nocy, gdy ją osaczyliśmy, wiedziałem, że trzeba uciekać, nie zrobiłem tego jednak...

– Miałeś rozkazy, nie twoja wina.

– Teraz też je mam, panie Gagnon.

– Owszem, masz. O ile pamiętam, rozkazano ci, byś mi pomagał. O nic innego nie proszę.

– Nie chce pan uciec? Nie namawia mnie do dezercji?

– Na to już za późno. Widzisz, Searlasie, ja wiem, co nas czeka. Widziałem już to. Hector widział. Ty, jak sądzę, również.

– Tak. – Żołnierz skinął głową. – Widziałem ją. Wiem, do czego jest zdolna. Kapitan może sobie mówić, co chce, ja wiem, że ścigamy diabła w ludzkiej skórze. A diabła, panie Gagnon, diabła zabić nie można!

– Nie – zgodził się Curtis. – Ale można spróbować.

– Ruszamy! – Padł rozkaz i chcąc, nie chcąc, Curtis musiał przerwać rozmowę i wziąć się za tropienie.

Zjeżony i powarkujący Hector prowadził ich coraz głębiej w mroczny las.

– Czujesz ją, piesku? – zagadywał owczarka Curtis. – Czujesz! Już niedługo...

Searlas szedł tuż obok i wykorzystywał nagłe przerwy w marszu, gdy któryś z rewolucjonistów zapadał się w sięgającą im coraz wyżej wodę, by podpytywać przewodnika:

– Co pan planuje? Jakie jest moje zadanie? – niecierpliwił się.

– Masz osłaniać moje plecy, to wszystko. Nie pozwól też, by zgasły pochodnie. Gdy zabraknie światła, jesteśmy martwi.

Nagły krzyk jednego z maszerujących za nimi ochotników zbiegł się z ostatnimi słowami drwala.

Zatrzymali się, próbując przełamać smolistą czerń ogarniętego nocą lasu. Światło pochodni nie sięgało daleko. Mrok tłamsił je i odpychał z obrzydzeniem w stronę skupionych wokół kapitana przestraszonych ludzi.

– To ona! – krzyknął ktoś, gdy ciemniejszy od nocy cień przemknął nagle pomiędzy trupio bladymi pniami brzóz. – Mort-vivant!

Padł strzał, zaraz po nim rozległ się krzyk kapitana, by wstrzymano ogień. Popchnięty przez jednego z rewolucjonistów młodzik nie zdążył ponownie nabić broni. Runął jak długi, ochlapując cuchnącą wodą stojących kompanów. Zgasła jego pochodnia oraz dwie kolejne,

zalane rozpryskiem.

– Zapalcie łuczywa! – darł się Bouchard.

Na próżno. Kolejny z rewolucjonistów wyłamał się z szeregu i zaczął w panice biec w głąb lasu. Za nim następny i jeszcze jeden. Ciskający groźby kapitan uniósł pistolet i wypalił do niknącego we mgle dezertera. Chybił. Pozostali żołnierze ścisnęli się wokół dowódcy. Tylko Curtis i Searlas stali z daleka od najeżonej lufami i ostrzami grupki milczących z przerażenia rewolucjonistów,

– Nie ruszaj się z miejsca! – warknął drwal, gdy stary wiarus zrobił krok w stronę towarzyszy. – Nawet nie drgnij – dodał. – I pilnuj ognia.

Curtis od dłuższej chwili ściskał w potężnych dłoniach ciężką siekierę. U jego stóp, milczący, ale gotowy na wszystko, szczerzył kły Hector. Owczarek warknął, gdy pełną wyczekiwania ciszę przerwał nieludzki krzyk. Po chwili dołączyły do niego wrzaski pozostałych dezerterów.

– Jezu Chryste! – zduszonym głosem odezwał się Searlas. – Morduje ich!

Krzyki nie trwały długo. Cisza, która zapadła po tym, jak ostatni z mężczyzn wycharczał życie w cuchnący muł, była gorsza niż odgłosy konania.

– Zaraz tu będzie – wyszeptał Curtis. – Weź moją pochodnię. Nie strzelaj do niej, nie podejmuj walki. Pilnuj tylko, bym ja z Hectorem pozostał w kręgu światła.

– Co chcesz zrobić? – Searlas zawiesił muszkiet na ramieniu i przejął łuczywo.

– Nie ma czasu na gadanie! – Curtis zauważył, jak pochylona postać prześlizguje się pomiędzy wywołanymi przez pochodnie cieniami. – Rób, co mówię i nie wtrącaj się do walki. – Wyjął zza pasa myśliwski nóż i zważył go w dłoni. Wziął zamach w momencie, gdy padły pierwsze strzały.

Chybił. Wszyscy chybili. Sylwetka tańczącej niczym upiorna baletnica hrabiny przemykała pomiędzy wrzeszczącymi i klnącymi mężczyznami. Upiór z łatwością unikał tnących powietrze szpad. Śmiał się piskliwie, rozrywając kolejnych żołnierzy uzbrojonymi w długie szpony dłońmi.

Kapitan Bouchard cisnął bezużytecznym muszkietem w rozchichotanego stwora i wyjął szpadę.

– Chodź, suko! – wrzeszczał. Jego ludzie klęczeli w czerwonej od krwi wodzie lub tonęli w niej, dławiąc się agonią. Chuda, blada śmierć zabierała ich jednego po drugim.

– Stań przy mnie, Garland! – darł się kapitan. – Razem ją pokonamy! – Lecz porucznik nie słyszał już głosu dowódcy. Przyciskał do rozprutego brzucha wylewające się zeń wnętrzności i martwym wzrokiem wpatrywał się w rozszarpującą kolejnego mężczyznę

kobietę.

– No chodź! – Bouchard nie widział otaczającej go makabry. Płonące szaleństwem oczy wbił w zbliżającą się kocim krokiem hrabinę. Twarz upiora błyszczała od krwi, a wąskie, czarne usta rozciągnięte były w niemal lubieżnym uśmiechu.

– Mój mały kapitan Bouchard – wysyczała kobieta, unikając chaotycznego ataku zdesperowanego żołnierza. – Musisz się bardziej postarać. – Kolejny unik. Ostrze szpady minęło o włos łysiejącą głowę arystokratki. – Mój mąż pokazałby ci, jak władać orężem – kpiła poczwara. – Takich jak ty nadziewał na ostrze niczym jabłko na ruszt. O tak!

Szybkość, z jaką upiór wyrzucił przed siebie szponiastą dłoń, zadziwiła Curtisa. Nie poznawał hrabiny. Zmieniła się. Gdy ostatni raz ją widział, tłumiła głód krwi, polując na zwierzęta, ale nie tak! To, co teraz oglądał, nie przypominało już istoty ludzkiej!

Kapitan sparował atak upiora. Potknął się jednak. Cios był zbyt mocny. Łapiąc równowagę, opuścił szpadę. Curtis zamknął oczy w nagłym odruchu. Gdy je otworzył, Bouchard wisiał nabity na długie pazury, a hrabina kąsała go w szyję, wyrywając kłami kawałki mięsa.

Hector zaskomlał. Potwór upuścił drżące w agonii ciało, które z głuchym mlaśnięciem zapadło się w czerwone od krwi błoto.

– Tuś mi, piesku! – zasyczał upiór. – Nie uciekłeś? Jak reszta sfory?

Hrabina skupiła płonące od gorączki oczy na biednym owczarku, który wił się od wbitego weń spojrzenia, skomląc i tuląc się do nóg Curtisa.

– Podaj mi muszkiet – wyszeptał za siebie drwal.

Searlas wykonał polecanie. Trzymane przez niego pochodnie wyraźnie drażniły stwora, który co rusz osłaniał oczy rękawem potarganej, mokrej sukni.

Zbliżał się jednak, kreśląc półksiężyc drobnymi kroczkami, niczym szykujący się do ataku drapieżnik.

Curtis wiedział, co zaraz nastąpi. Las był domem dla syna gajowego, a las rodu Laforge nie był po zmroku przyjaznym miejscem. Wiele razy widział polującą hrabinę. Znał te ruchy, widział, jak potwór podchodził ofiarę. Musiał poczekać, zaraz stwór skuli się...

O tak!

Hrabina wygięła chude ciało, szykując się do skoku.

Ramię Curtisa wyprostowało się i drwal wypalił z muszkietu w pierś wiszącej w powietrzu kobiety. W tym samym momencie, nie dając opaść upiorowi na ziemię, drugą ręką zatoczył łuk i ostrze siekiery werżnęło się głęboko w szyję hrabiny. Siła uderzenia była ogromna. Curtis wiedział, że gdyby z taką mocą uderzył w kark człowieka czy nawet cielęcia,

strąciłby mu głowę bez problemu.

Upiór szarpnął się tylko, wyrywając stylisko siekiery z dłoni zdumionego mężczyzny.

Ostrze wystawało z żylastego karku, lecz bestia, wciąż żywa, rzuciła się na bezbronnego drwala. Ujadający Hector wpadł pomiędzy nich, zatapiając kły w bladym udzie kobiety. Ta bez trudu oderwała owczarka od siebie, rozpruwając mu bok pazurami i odrzucając daleko. Ciało psa uderzyło o brzozę.

– Zabiję! – W Curtisa wstąpiły nowe siły. Gołe pięści drwala uderzały, lecz nie trafiały.

Ranny upiór ciągle był zbyt szybki. Hrabina odskoczyła od atakującego. Wykręciła się niczym fryga i już po chwili jej ostre szpony rozdzierały plecy krzyczącego w furii drwala. Zdążył się jeszcze obrócić. Spojrzeć w przekrwione oczy swej dawnej pani, gdy rozczapierzone szpony pomknęły w stronę jego twarzy.

Nie dokończyły lotu.

Searlas, stojący do tej pory posłusznie z pochodniami, widząc, co się dzieje, cisnął w bestię łuczywem. Twarz kobiety zniknęła w snopie iskier. Bestia zawyła nieludzko i oślepiona, obróciła się w stronę żołnierza. Ten, nie zważając na pazury, rzucił się do przodu i wbił drugą pochodnię w rozwartą paszczę upiora.

Tego trzeba było Curtisowi. Podniósł się, doskoczył do szarpiącej z Searlasem poczwary i wyrwał jej z karku siekierę, by z jeszcze większą niż wcześniej siłą uderzyć nią ponownie.

Hrabina Laforge jęknęła i padła na kolana. Drwal wyjął z jej ust tlące się ciągle łuczywo i włożył je w dłoń chwiejącego się na nogach Searlasa.

– To koniec, pani – odezwał się i wyrwał ostrze raz jeszcze.

– Curtis? – Płonący w oczach hrabiny obłęd zgasł na moment.

– Tak – odparł drwal i wziął zamach po raz ostatni.

Łeb upiora spadł z wątłych ramion. Chude ciało zanurzyło się w bagnie. Drwal podniósł odciętą głowę i poszukał wzrokiem przyjaciela. Hector był martwy. Cios nieumarłej okazał się zbyt silny dla wiernego owczarka. Curtis ukląkł przy psie. Zdusił łkanie i oddał zwłoki wodzie. *Nie miało bagno od dawna tak krwawej ofiary,* pomyślał.

– Searlas! – zawołał, lecz nikt mu nie odpowiedział.

Stary żołnierz, ściskając w dłoni pochodnię, siedział oparty o brzozę.

– Benjaminie... – szeptał wpatrzony przed siebie.

– Tak, przyjacielu – odparł Curtis. – Wkrótce.

Spojrzenie Searlasa na moment odzyskało dawny blask. Spojrzał na trzymaną przez

Curtisa głowę hrabiny i lekko się uśmiechnął.

– Dobij – poprosił i oczy znowu przykryła mu mgła.

Curtis wyjął zza cholewy cienki sztylet. Zamknął dłonią oczy umierającego kompana i przycisnął ostrze do jego piersi. Searlas znieruchomiał, a z gardła drwala wyrwał się głośny krzyk rozpaczy, bólu, szaleństwa...

***

Miesiąc później Curtis Gagnon stał ze wzrokiem wbitym w deski drewnianej konstrukcji. Wokół niego krzyczał oszalały z żądzy krwi tłum. Nad nim błyszczało trójkątne ostrze gilotyny.

Ekspedycja, którą wysłano na poszukiwania oddziału kapitana Boucharda, w końcu znalazła na bagnach wzdęte od gazów gnilnych ciała pomordowanych rewolucjonistów. Znaleziono też siekierę Curtisa oraz jego martwego owczarka.

Nie znaleziono zwłok hrabiny ani jej głowy. Zdziwiło to Curtisa. Później, w celi, przypomniał sobie wizytę w zameczku hrabiego Laforge. Miłą i piękną hrabinę, która z uśmiechem powitała gajowego z synem, dziękując im za dziczyznę, którą przynieśli. Wspomniał pokryte obrazami ściany dworu i spoglądające na niego z kolorowych płócien twarze kobiet rodów Laforge i Verreau, tak bardzo podobnych do młodej hrabiny. Za bardzo. Oczywiście nikt nie uwierzył w jego opowieść.

Diabła zabić nie można, wspominał słowa Searlasa.

Osądzono go i skazano błyskawicznie. Nie bronił się, nie próbował ucieczki. Teraz też bez sprzeciwu położył brodatą głowę w drewnianym zagłębieniu.

Nie słuchał przepełnionych teatralnym gniewem słów sędziego. Jego wzrok przykuła młoda, może piętnastoletnia dziewczyna o bladej twarzy. Wszyscy wokół krzyczeli, pluli na niego i rzucali zgniłymi warzywami. Lecz nie ona. Ona patrzyła z dziwnym smutkiem w oczach. Jej usta poruszały się, jakby coś do niego mówiła.

– Curtisie... – odczytał ruch warg.

– Pani... – wyszeptał.

Ostrze opadło.

rys. Roman Panasiuk

PIEŚŃ WILKÓW

Antoni Nowakowski

Słyszę pieśń wilków…

Wiem, czego chcą leśni drapieżcy. Pojmuję jękliwe zawodzenie i ten powtarzający się refren błagalnego hymnu.

Dzisiaj obchodzę urodziny. Samotnie...

Nie narzekam na życie… Miałem bardzo szczęśliwe dzieciństwo. Szczeniackie lata bez trosk, u boku wspaniałych rodziców. Naprawdę mnie kochali. Cieszyłem się każdym dniem. Teraz męczy mnie tylko jeden problem, związany z tą kotarą. Dobija… Nie idzie o to, czy ją odsłonię, czy dam sobie spokój i przeniosę się daleko od rodzinnego domu. Widzicie, tak naprawdę muszę zdecydować, jak dalej żyć. Zostać, tak jak ojciec, farmerem, prowadzić gospodarstwo hodowlane, przejąć inne bardzo ważne zadania taty i mamy. Musiałbym wtedy odsunąć tę zasłonę. Nie każdy może tego dokonać – już zrozumiałem, że tylko ja.

Teraz, gdy rodzice odeszli, muszę podjąć decyzję. Ci, których pilnował ojciec, tam za ścianą, za tym murem przesłoniętym ciężką storą, pewnie się niecierpliwią. Próbują przejść… Wiem, że kilku ojciec przepuściłby. Reszty nie. Gdyby się upierali, walczyłby z nimi. I dałby sobie radę.

– Thorwaldzie, znowu poradziłeś sobie z palcem w nosie…

Tak powiedziała do ojca moja mama, Sigurd, gdy opatrywała mu ranę na przedramieniu. Dziwne imię jak dla kobiety, prawda? Ojciec nigdy go nie zdrabniał. Często dodawał „moja kochana”. A ona głaskała go po włosach.

Siedziałem przy stole w kuchni, gdy mama przyprowadziła tatę. Jadłem kogel-mogel. Skłamałbym, pisząc, że się nie przestraszyłem, gdy zobaczyłem krwawiącego ojca. Zamarłem z przerażenia. Tak mocno zaciskałem zęby, że przeszył mnie ból. Jednak szybko uspokoiłem się, bo tata się uśmiechał. Wyglądał na bardzo rozbawionego. Napomknął, wzruszając ramionami, że największy byk w stadzie przypadkowo uderzył go rogiem w przedramię, gdy nakładał paszy do żłobu. Buhaj cisnął się do jadła. Mieliśmy mechaniczny dozownik karmy, jednak ojciec lubił sam wykonywać tę pracę.

Tata zawsze z nutą pobłażania określał hodowane przez niego bydło: zwierzątka. Jednak o naszym brytanie Tobym, wielkim niczym potężny głaz, wyrażał się z wyraźnym szacunkiem, nawet respektem.

Mama załatwiła wszystko w okamgnieniu. Nożycami do cięcia owczej wełny obcięła rękaw koszuli. Przemyła ramię spirytusem i cążkami kosmetycznymi wycięła zmartwiałe części skóry. Potem zszyła ciało sporej wielkości igłą z nawleczoną nicią chirurgiczną. Ściągała szew z całej siły, a tata tylko się uśmiechał… Na końcu zrobiła zastrzyk przeciwko tężcowi.

– Gdyby byczysko docisnęło cię do ściany, zgruchotałoby ci żebra – stwierdziła na zakończenie. – Opatrzyłabym cię, ale długo musiałbyś poleżeć.

– Odepchnąłbym go i pewnie połamałbym zwierzątku kości – odpowiedział ojciec, kręcąc przecząco głową. – Nic by się nie stało… Byczysko nie zamierzało mnie skrzywdzić – po prostu straszny z niego łakomczuch.

Mama już szykowała temblak. Tata miał nosić przepaskę kilka dni.

Ojciec wolno zakładał świeżą koszulę, bo miał kłopoty z zapinaniem guzików. Dostrzegłem, że jego ciało pokrywa sporo blizn. Szram. Oblizałem łyżeczkę i zapytałem:

– Dlaczego tata ma na skórze wgłębienia i zgrubienia? Nie bolą?

Usłyszałem perlisty śmiech mamy, jednakże odpowiedziała bardzo poważnie:

– Nie, są wygojone. To ślady po różnych wydarzeniach. – Mama zręcznie wsuwała teraz guziki koszuli taty w właściwe otworki. – Z czasem zarosną, oprócz tych największych. Ojciec z dumą może je pokazywać przyjaciołom.

Wtedy po raz pierwszy usłyszałem pieśń wilków wydobywającą się z wielu gardeł.

Siedzieliśmy w kuchni, późnym popołudniem. Na dworze było jeszcze całkiem jasno. Wiedziałem już o istnieniu wilków, bo kilka razy słyszałem ich wycie. Mama wyjaśniła, że w ten sposób zwołują się na polowanie. Dodała z uśmiechem, że pewnie przekazują też jakieś wieści. Dziwiło mnie, dlaczego zbierają się tak późno. Sigurd powiedziała, że wilki w dzień drzemią, wylegują się, odpoczywają. Wychodzą na łowy o zmroku, a nieraz później. Jeden z nich daje pozostałym sygnał, a one go powtarzają, zwołując się na polowanie.

W piękny, letni dzień za ścianami naszego domostwa nagle rozległ się skowyt wielu gardeł. Słuchałem tej melodii. Dziwnie brzmiała, jakby zwierzęta o potężnych szczękach i ostrych kłach śpiewały jakąś pieśń. Toby nastawionymi uszami też łowił dźwięki. A najbardziej uważnie wsłuchiwali się rodzice.

– Szarzy bracia dziękują ci za wszystko, co dla mnie zrobiłaś. Ha!

Tata ładnie się uśmiechnął. Wyglądał na bardzo zadowolonego.

– Dla mnie i oczywiście też dla nich – dodał po chwili, przewieszając temblak przez pierś. – Składają ci hołd.

Mama pokręciła głową.

– Skąd wiedzą? – rzuciła, wkładając swoje przybory do metalowego pojemnika. Wygotowywała je potem; kiedyś, gdy tata odniósł kolejną ranę, podejrzałem, że tak robi. – Chociaż chyba coś jest w tym, co mówisz…

Starannie poprawiła nieco potargane włosy.

– Wieści o nieproszonych gościach szybko się rozchodzą. – Ojciec poruszył kilka razy ręką. Chyba sprawdzał, czy może jej używać przy codziennych pracach. – Posłuchaj tylko, proszę. Chwalą cię…

Oboje jakby o mnie zapomnieli, zajęci dobiegającymi do naszych uszu dźwiękami. Wilki z zapałem wyśpiewywały hymn. Toby'ego też to zajmowało. Otworzył wielki pysk i począł wyć. Wtórował, jednak szybko chyba zaintonował coś samodzielnie, bo wilki powtórzyły jego melodię.

Ponowiły dodatkowy refren… Toby ochoczo uczestniczył w chórze basiorów, a ja nie wiedziałem, czy zjeść kogel-mogel do końca, czy coś mu pozostawić. Postanowiłem podrapać brytana za uchem – uwielbiał takie pieszczoty.

Zacząłem go głaskać, żeby zwrócił na mnie uwagę. Mierzwiłem gęste i długie futro, głęboko wsuwając palce. Przekonałem się, że cielsko Toby'ego też pokrywały zgrubienia i wklęśnięcia. Blizny…

Miał pełno szram na grzbiecie, bokach i brzuchu, niektóre bardzo głębokie.

***

Słucham prośby szarych braci, rozważam ją…

Siedzę za biurkiem i spisuję tę historię, a one ciągle powtarzają błagalne proszenie. W szczególny dzień – ukończyłem szesnaście lat. Otrzymałem prezenty – mama przygotowała tort i placek ze śliwkami. Tata wśród innych darów przekazał nowy wielki nóż – tak go nazywałem, kiedy byłem bardzo mały.

Wielkie basiory proszą, żebym został. W poszczególnych zwrotkach mówią mi, dlaczego nie chcą, abym porzucił pusty dom. Wiem już, kim naprawdę są te wilki. Rodzice zostawili list. Wielokrotnie go czytałem.

Ktoś, kto przypadkowo w rozległej kotlinie usłyszałby wznoszące się i opadające wycie, pomyślałby, że wilczyska zbierają się na łowy. Pewnie uznałby, że wywęszyły rannego jelenia albo sarnę – i zdecydowały się uderzyć o nietypowej porze, w blasku słońca.

Wilki nie śpiewają pieśni zbyt często. Słyszę ją dopiero trzeci raz.

Ponownie usłyszałem ich hymn, gdy grupa myśliwych spłonęła w samochodach. Byłem już wtedy znacznie starszy. Niewiele brakowało, żebym stał się wyrośniętym młokosem.

– Bezrozumni mordercy spiekli się na grzankę – powiedziała mama, gdy ojciec relacjonował zdarzenie. – Wilki, nasi przyjaciele, w większości uszły z życiem… Thorwaldzie, świetnie się spisałeś.

Milczałem, przełykając ślinę. Wszystko widziałem, choć ojciec zakazał mi ruszać się z domu.

– Szykują rzeź szarych drapieżców. – Tata wyraźnie się skrzywił, gdy usłyszał prośbę, abyśmy wspólnie wybrali się na miejsce obławy. – Pojadę tam, bo zasadzka obejmuje też teren naszej farmy. Byłoby niedobrze, gdybyś oglądał mordercze wybijanie. Chociaż…

Spojrzał na mnie bardzo uważnie. Po chwili potrząsnął głową.

– Jeszcze nie czas, żebyś zobaczył mordowanie… – Z namysłem podrapał się po policzku. – Toby też poleciałby tam i wmieszał się we wszystko. Zostań w domu.

Brytan cały czas warczał, takim zduszonym charkotem. Te dźwięki brzmiały groźnie i nienawistnie. Tak samo wyglądały zjeżona na grzbiecie sierść i błyskające gniewem ślepia.

Ojciec uwiązał mastifa na łańcuchu, wsiadł do naszego land lovera i odjechał.

Wymknąłem się, przemierzając kotlinę znanymi tylko rodzicom i mnie ścieżynkami.

Policjanci twierdzili potem, że wydarzył się okropny wypadek, a splot okoliczności spowodował śmierć pasażerów w strasznych katuszach. Wycie myśliwych smażących się w ogniu słyszano daleko.

Ojciec prowadził gospodarstwo hodowlane – trzymał wiele krów, byków i owiec, tylko na mięso i wełnę. Mieszkaliśmy daleko na północy, choć do kręgu polarnego pozostawała jeszcze spora odległość. Dookoła domu pasma gór z ośnieżonymi szczytami, wydającymi się stanowić filary nieba. Krótka wiosna, wspaniałe lato i bardzo długa, mroźna aż do szpiku kości zima. Kotliny pomiędzy stromymi wypiętrzeniami skalnymi, pełne trawy. W jednej z nich stała nasza sadyba. Lasy, w których młode drzewa desperacko walczyły o przeżycie, jednak, gdy wyrosły, porażały swoim ogromem. Stojące w majestatycznej ciszy nieskończenie rozległe połacie jodeł i świerków, wyniosłych jak strażnicy spokoju tej północnej krainy. I bytujące tam wilki, watahy drapieżców korzystających z obfitości zwierzyny. Stawały się coraz bardziej zuchwałe, bo krowy i owce były łatwym łupem. Długie pomieszczenia pośrodku hal, do których wiosną i latem zaganiano bydło na noc, otaczano teraz płotami z drutu kolczastego. Wykładano wiele kawałów padliny, nafaszerowanych trutkami.

Nic to nie dawało. Wilczyska zaczęły zagryzać bydlęta za dnia. Nie ruszały naszpikowanych truciznami świńskich półtusz.

Wielkie stado wilków w końcu opuściło rozległe lasy. Koczowało na obrzeżach naszej kotliny. Niczym dziwni najeźdźcy wataha atakowała cielętniki, miejsca wypasu i obory. Nie ruszała jednak trzód ojca. Mijała je obojętnie.

– Są za bystre, żeby nabrały się na głupi podstęp z trutkami – skwitował podczas rozmowy z mamą nasz najbliższy sąsiad, stary Bjørn. – Nie tak łatwo nabrać doświadczonych wojowników… Próbują opanować kotlinę. Zuchy!

Dziwnie wtedy się uśmiechnął. Ona też.

Właśnie Bjørn przyniósł wiadomość o polowaniu. Ktoś zadecydował, że myśliwi radykalnie zmniejszą populację wilków.

Wymyślono prosty plan rzezi. Sprytnie odcięto watasze drogę odwrotu do odległych mateczników, rozpinając wzdłuż granic kniei liny z fladrami. Zatarasowano odcinek liczący ponad milę długości. Flader jest chorągiewką, przedmiotem do machania. Jednak wilki panicznie się ich boją. Stanowią dla nich – dla zwykłych wilków… – zaporę nie do przebycia.

Ukryty za sporym głazem wszystko widziałem i słyszałem. Nagonkę i długą linię myśliwych ze sztucerami zaopatrzonymi w celowniki optyczne. Błyski i huki wystrzałów przypominające intensywne walenie w blaszany bęben. Świdrujące uszy jęki trafionych

zwierząt. Patrzyłem na stado, na wilczyce, usiłujące przebyć łopoczące na wietrze flagi, rozpaczliwie wyjące, jakby płaczące z trwogi. Cofały się… Na młodziutkie wilczęta, srające ze strachu, krążące w kółko. Też nie umiały okiełznać lęku przed falującymi chorągiewkami. Na wielkie basiory, przewodników stada, zamykające szyk uciekającej watahy. Poszły śmiało do przodu, i w parę minut pokonały zaporę, wydawałoby się nie do przebycia. Słyszałem wycie wilczych samców, donośne i rozkazujące.

Zdawało mi się, że je rozumiem. Teraz wiem, że dobrze odczytałem znaczenie jękliwych dźwięków.

– Nie bójcie się tych głupich szmat! – wykrzykiwały w swoim języku potężne wilczyska. – Uchodźcie w las, jak najdalej! Młodsi z nas prowadzą resztę! Osłonimy was! Żegnajcie!

Stado przeszło linię flader. Uchodziło z życiem…

Może tuzin tych rosłych wilków o posiwiałych już pyskach zawrócił i rzucił się do ataku. Patrzyłem na ten desperacki szturm.

Szare sylwetki, sadząc wielkimi susami, pędem zmierzały ku myśliwym, z rzężącym charkotem wydobywającym się z szerokich gardeł. Z wyszczerzonych kłów kapała ślina. W tym biegu, w tym naprężeniu masywnych ciał widać było, że wilczyska chcą tylko jednego – dopaść któregoś ze strzelców i zagryźć, zanim kule nie powalą je na ziemię.

Do moich uszu dobiegały okrzyki zdziwienia polujących, potem już przestrachu. Widziałem liczne ogniki wystrzałów u wylotów luf strzelb, gorączkowe wymienianie magazynków nabojowych, słyszałem kanonadę huków.

Trafione basiory wstawały, jęcząc niczym ludzie. Ruszały dalej, brocząc posoką. Z wysiłkiem truchtały do chwili, gdy kolejny pocisk pozbawił ich życia. Widziałem, jak oglądano zwierzęce trofea, dyskutowano nad jakością skór i obcinano uszy największych sztuk.

Soczystą zieleń dna kotliny zasłały szare sylwetki, już milczące w spokoju i bezruchu śmierci.

***

Potem oglądałem tę krwawą katastrofę.

Wracałem do domu gruntową drogą używaną do dojazdu na hale. Nie chciało mi się przemykać bocznymi ścieżynkami. Wracali też myśliwi – paręset metrów przede mną jechały cztery land rovery pełne zabójców wilków.

Piękny dzień, wspaniała widoczność, powietrze czyste jak kryształ. Słyszałem śpiewy pasażerów samochodów, świętujących sukces.

Na tym odcinku z wyłożonym kamieniami traktem graniczył nie za długi, jednakże głęboki uskok gruntu. Jar, jak to w górzystym terenie. Tata mówił, że w tym miejscu zimą i w dżdżyste dni trzeba uważać, żeby auto nie runęło w dół. Latem tylko nieco ograniczano prędkość. Land rovery wcale się nie śpieszyły, prowadzone ostrożnie, bo pewnie kierowcy wiedzieli o mało widocznym wąwozie. Wesołe piosneczki urwały się, gdy samochody spadały po kolei, jeden po drugim, jakby pchane w przepaść mocarną ręką niewidocznego olbrzyma. Zbiorniki paliwa zdetonowały natychmiast, gdy kadłuby trzasnęły w skaliste dno żlebu.

Cztery słupy ognia, zwieńczone koronami czarnego dymu. Cztery płonące wraki. Nękający uszy wrzask ludzi palonych żywcem, rozpaczliwe wycie niedawnych tryumfatorów polowania, teraz w męczarniach rozstających się z życiem.

Dziwnym trafem szyby nadwozi ocalały. Policjanci mówili potem, że drzwiczki pozacinały się od wstrząsu, więżąc pasażerów w śmiertelnej pułapce.

Potem nastała cisza, tylko płomienie jeszcze skwierczały. Wszyscy zginęli, ale naprawdę długo umierali.

W osłupieniu patrzyłem na katastrofę, nie mogąc oderwać oczu od widoku słupów ognia. Trwałem w bezruchu, aż poczułem ucisk ręki na ramieniu. Dłoni ojca – stał obok mnie, w towarzystwie Bjørna.

Ojciec uśmiechał się…

– Ci ludzie ponieśli słuszną karę – stwierdził szeptem. – Nie powtarzaj jednak nikomu moich słów. Zamierzali urządzić rzeź – i prawie im się udało.

Bjørn pokiwał głową.

– Kilku z myśliwych pragnęło w podłej, podstępnej walce wybić tych, których kiedyś nienawidzili – ciągnął ojciec po chwili milczenia. – Skrzyknęli pozostałych, głupców myślących, że jadą na zwykłe polowanie. Przywódcy watahy podjęli beznadziejny bój, ocalając resztę stada. Thorwaldzie, pamiętaj o nich.

Zapomniałem napisać, że mam na imię tak samo jak ojciec.

Bjørn dziwnie uśmiechnął się, z takim wyrazem zamyślenia na twarzy, jakby coś wspominał.

– Walczyli niczym berserkerzy, jak za dawnych, dobrych czasów – dodał, także szeptem. – Szkoda, że nie dopadli chociaż jednego z tych zbójów.

Słuchałem ojca, przetrawiałem słowa Bjørna, nic nie rozumiejąc. Ludzie spłonęli jak żywe pochodnie, wrzeszcząc i jęcząc, a wyglądało, że tata cieszy się z ich śmierci.

Ojciec wyczuł mój nastrój.

– Nie wszystko jest takie, jak nam się wydaje… – Tata położył mi drugą rękę na ramieniu. – Nie zawsze zgon oznacza bezpowrotne odejście. Niektórzy wracają, rzadko, bardzo rzadko, jednak wracają, przybierając inną postać. Widzisz, tak stało się z tymi najzacieklejszymi wilkami. I z niektórymi z tych spalonych żywcem. Jeśli jeszcze trochę podrośniesz, zrozumiesz wszystko. Nikomu nie opowiadaj o naszej rozmowie.

Pogłaskał mnie po włosach. Ojciec nawet słówkiem nie wspomniał, że złamałem jego zakaz opuszczenia farmy.

Mama czekała na tarasie. Właśnie wtedy powiedziała do ojca:

– Dobrze spisałeś się, Thorwaldzie, naprawdę dobrze…

Bardzo gorąco pocałowała ojca w usta.

– Myślę, że za jakiś czas usłyszysz pieśń – podjęła po chwili namysłu. – Należy ci się.

Wiedziałem już, że rodzice byli kimś innym, niż mi się dotychczas wydawało. Zastanawiałem się także, czy naprawdę ojciec sprezentował mi długi kordelas, ostry niczym brzytwa, do zrealizowania dziecinnego marzenia o budowie szałasu.

Może miał na oku inny, ukryty cel…

***

Dzięki Toby'emu zrozumiałem, że w kotarze jest coś bardzo dziwnego. Od tej zasłony wszystko się zaczęło. Było też coś niezwykłego w wielkim i bardzo przyjacielskim psisku. Źle powiedziane – olbrzymim zwierzęciu.

Toby zawsze wydawał mi się duży, jednak dziecko przerasta cały otaczający je świat. Przynajmniej ja tak odbierałem wnętrze domu i zabudowania farmy. Brytan stanowił element ukochanego otoczenia, więc nie dziwiłem się, że niczym tęgi odłam skały imponuje ogromem.

Traktowałem Toby'ego bardzo poufale. Jeszcze nie pojmowałem, że potężnymi szczękami może w minutę zgruchotać grubą niczym wyrośnięty konar kość, żeby dostać się do szpiku. Dla naszego mastifa rozłupanie krowiego gnata na strzępy stanowiło fraszkę – błyskawicznie rozgryzał goleń, szatkował na drobne kawałki i z wielkim smakiem wyjadał szarawą masę ze środka.

A ja liczyłem Toby'emu zębiska… Rączkami rozwierałem paszczę, dokładnie rachując kły i trzonowce. Traciłem mleczne zęby, więc chciałem się przekonać, jak wygląda od środka psia szczęka. Sprawdzałem, czy nowe zęby będą równie mocne. Brytan cierpliwie znosił moje badania. Stał z rozdziawionymi szczękami i czekał na koniec oględzin. Czasami pomrukiwał.

– Synku, jak myślisz, co chce ci powiedzieć? – kilka razy zapytała mama, widząc wkładanie rączki do psiej paszczęki. – Coś chyba przekazuje…

– Powiada, że nie bardzo podoba mu się to grzebanie, jednak pozwala mi, byle nie za bardzo długo – odpowiedziałem bez wahania. – Trochę się nudzi.

Rozumiałem psa… Nie wiedziałem, skąd posiadłem tę umiejętność. Wydawała mi się tak oczywista, że nawet słówkiem nie wspomniałem o niej mamie. Rozumiałem kładziony przez Toby'ego nacisk na poszczególne dźwięki, zmieniający ton wypowiedzi z dobrodusznej na przepełnioną lekką irytacją.

Parę razy ojciec słyszał te rozmowy. Zacierał dłonie…

– Doskonale… – skwitował kiedyś, kiwając głową. – O tym właśnie mówi Toby. Synu, słuchaj go, wiele się nauczysz.

Myślałem wtedy, że ojciec żartuje, bo tata lubił żartować.

Brytan wcale nie przebywał ciągle ze mną. Znacznie później zrozumiałem, że pilnował mnie, gdy w domu był tylko ojciec albo mama. Jeśli rodzice nie wychodzili dalej, Toby zajmował się swoimi sprawami. Przeważnie polował na zające.

Toby imponował wielkością i wagą. Mylicie się, jeśli sądzicie, że był opasły i nieruchawy. Patrząc na niego, miało się wrażenie, że składa się tylko z mięśni, kości, długiego futra i wielkiego pyska z imponującym zestawem zębisk. Był szybki niczym chart, a dogonienie biednego szaraka traktował jak zabawę. Często je przynosił.

Czasem zaglądaliśmy do pokoju z kotarą i wtedy Toby stawał przed wielką storą przesłaniającą ścianę. Szczekał przynaglająco. Odwracał łeb. Już rozumiałem, że zachęca do spaceru. Nie pojmowałem zachowania psa. Dobrze znałem dom i wiedziałem, że za kotarą jest ściana, a za nią ogród. Za każdym razem wyglądało jednak na to, że Toby wybiera się w podróż i chce, żebym mu towarzyszył.

Żąda odsunięcia kotary.

Kilka razy spróbowałem. Ani drgnęła. Zasłona sprawiała wrażenie wykonanej z grubego, fałdzistego materiału, ozdobionego mnóstwem znaków. Przyciągały wzrok. Uderzyłem w nią piąstką, gdy usiłowałem sprawdzić, co się kryje za grubą storą.

Krzyknąłem wtedy z bólu. Kotara była twarda niczym gruba blacha, spoista jak pancerz. Mocna jak korpusy naszych wielkich silosów z paszą. Pobiegłem do mamy, pytając, czemu nie mogę odsunąć zasłony. I dlaczego jest taka dziwna.

Spojrzała na mnie uważnie, tym razem wcale się nie uśmiechając.

– Synku, kiedyś przesuniesz ją bez trudu – odpowiedziała po chwili. – Trzeba odczytać na głos wyszyte na niej znaki. Dowiesz się wtedy, co się kryje za tym murem. Ogród, ale nie nasz, dobrze ci znany. Inny, bardzo piękny.

– To bajka? – zapytałem z ciekawością. – Opowiesz mi resztę wieczorem?

Mama na dobranoc czytała mi baśnie. Czasami odkładała książkę i opowiadała jakąś historię. Uwielbiałem ich słuchać.

– Nie, choć dla wielu ludzi ta opowieść zabrzmi jak stara legenda, saga, może i bajda. – Niespodziewanie westchnęła. Mówiła bardzo poważnie. – Ucz się znaków wyszytych na kotarze. Nazywają je runami. Jeśli poznasz wszystkie i będziesz tego chciał, odsuniesz kotarę. Podda się twojej woli i odsłoni przejście…

Pomyślałem, że w tym innym ogrodzie zbuduję szałas. Śmieszne, ale takie miałem marzenie, też związane z Tobym.

Prędko poznawałem runy. Pragnąłem wznieść szałas, bo chciałem spać z Tobym. Pies miał wspaniałe schronienie obok domu – półziemiankę z bali obłożonych darnią, w środku wysłaną grubą warstwą słomy. Liczyłem, że po postawieniu szałasu psisko będzie mi tam towarzyszyć i w nocy.

Podskakiwałem z radości , gdy stworzyłem z kilku runów pierwszy wyraz. Mama krok po kroku wiodła mnie w świat znaczeń nieużywanych już znaków, często trudnych do zrozumienia. Ojciec też mi pomagał. Okazało się, że świetnie zna runy. Tak dobrze, że wie o wielu nieznanych mamie. Chyba nadal dla wszystkich okrytych szczelną warstwą pyłu zapomnienia.

Tata podarował mi wtedy coś cennego – stary kordelas. Długi nóż o rękojeści z rogu, z lekko zakrzywionym ostrzem, też z wyrytymi na klindze runami. Mocno ciążył w dłoni.

– Chcesz zbudować szałas, a brakuje ci narzędzi – stwierdził rozbawionym tonem. – Ten nóż można wykorzystać do cięcia i obrabiania gałęzi, obciosywania, ale nie tylko… Naucz się nim posługiwać.

Cieszyłem się, że marzenia o przejściu do nieznanego ogrodu i wzniesieniu tam szałasu stają się coraz bardziej rzeczywiste. Przygotowywałem już budulec, układając go w stosik za tarasem. Wyprosiłem u mamy sporo lin i kilka koców.

Ojciec z uwagą obserwował moje wysiłki.

– Usztywniaj rękę, gdy pracujesz przy obróbce palików – mówił, często pokazując, o co mu chodzi. Przecinał grubawą gałąź kilkunastoma dobrze plasowanymi cięciami. – Łokieć sztywno, wtedy wkładasz w głownię całą siłę barku. Ostrze wchodzi jak w masło tam, gdzie chcesz. Pokażę ci jeszcze, tak dla zabawy, kilka pchnięć.

Byłem już na tyle duży, że zacząłem się nad pewnymi sprawami zastanawiać.

Niby rodzice moich kolegów ze szkoły prymarnej też zajmowali się hodowlą bydła, handlem czy spedycją, jednakże ani nie znali runów, ani nie posiadali kordelasów. Uznałem, że tata i mama po prostu są wyjątkowi. Utwierdziłem się w tym przekonaniu, gdy niektóre runy na kotarze poczęły błyszczeć. Czytałem na głos znane już wyrazy i nagle zauważyłem, że znaki jakby goreją. Nabierają blasku. Wyglądały pięknie i tajemniczo.

– Gdy poznasz wszystkie ich znaczenia, zapłoną – odpowiedziała mi mama na pytanie, czemu runy wyglądają tak wspaniale, a jednocześnie dziwnie. – Wtedy zobaczysz ogród. Dużo jednak pracy przed tobą.

Byłem zafascynowany runami, Tobym, budową szałasu w nieznanym świecie za kotarą.

I naszymi bardzo dziwnymi gośćmi.

***

Mieliśmy wielu gości. Cieszyłem się z ich przybycia, bo mama często urządzała przyjęcie powitalne, choć nie dla wszystkich. Zawsze przybywali pojedynczo. Pytałem się, kim są.

– Odwiedził nas kuzyn Harald – odpowiadał ojciec, wyciągając korek z butelki wina. – Dobrze, że do nas zawitał.

Kuzyn Harald, daleki kuzyn Sven, kuzynka Frea, bo przybywały też panie. Nigdy nie wracali. Następnego dnia znikali i potem już nas nie odwiedzali.

Przychodził też sąsiad, stary Bjørn. Pomagał w przygotowywaniu pikników. Włosy Bjørna zaczynały już siwieć, więc dla mnie wyglądał na nieomal staruszka. Rąbał drwa na ognisko. Lubiłem się przyglądać, jak macha siekierą o podwójnym ostrzu. Wiedziałem już, że się popisuje, gdy długim i ciężkim styliskiem kreślił koła w powietrzu, jakby topór ważył tyle, co piórko. Potem jednym ciosem rozrąbywał sękaty pniak. Zazdrościłem mu, jak to chłopak.

– Nauczę cię władać toporzyskiem. Ta umiejętność ci się przyda. Gdy dorośniesz, będziesz przyjmował gości i piekł jagnię na rożnie – stwierdził kiedyś nasz sąsiad, kreśląc

ostrzem ósemki nad głową. Wzrok nie nadążał za ruchami jego ręki. – Mam w domu starą siekierkę, dla ciebie bardzo odpowiednią.

Przyniósł ją i pokazywał, jak się nią posługiwać.

– Mocno trzymasz rękojeść, pewnie stojąc na sztywnych nogach. Wkładasz w uderzenie siłę barku – stwierdził z naciskiem. – Ciało idzie trochę do przodu. Ćwicz oko, nieomylnie trafisz tam, gdzie chcesz trafić.

Trenowałem… Szło mi coraz lepiej. Ojciec obserwował moje starania, z uznaniem kiwając głową.

– Całkiem łebski z ciebie chłopak – stwierdził kiedyś Bjørn, patrząc, jak szybko i pewnie rozłupuję sosnowy pniaczek. – Nauczę cię jeszcze płaskich uderzeń. Przydadzą się przy ścinaniu uschniętych drzew. Przy okazji stężeją ci mięsnie.

Pokazał mi i strawiliśmy przy tym dużo czasu. Ojciec obserwował moje pierwsze próby nowych technik łupania drewna i uśmiechał się…

Bjørn kiedyś powiedział, że takie ciosy działają nie tylko na konary i pnie.

– Słyszałem, że dawno temu, w zamierzchłych czasach, sprawny topornik bez wysiłku odrąbywał przeciwnikowi rękę albo głowę – stwierdził z dziwnym naciskiem w głosie. – Wiem też, że nie należy patrzeć na wroga. Patrzy się na jego broń. Gdzie zmierza ostrze, grot… Wtedy się wygrywa.

Potraktowałem uwagę jako żart, jednak zapamiętałem, jak to młodzik, chłonący wszystko.

Pozostali goście byli szczególni. Budziłem się rankiem, a w salonie już trwała ożywiona rozmowa ojca ze Svenem, Haraldem, Freą, Vidkunem czy kimś innym. Wizyty nie trwały długo. Dziwiłem się, że kuzyni tak szybko opuszczają domostwo.

Mama mówiła, że przybywają z daleka i dlatego zjawiają się w nocy. Zastanawiało mnie, czemu nie mają samochodów, ale ojciec twierdził, że przywozi ich ze stacji kolejowej w miasteczku. Porozmawiali, nasycili się doskonałym śniadaniem i wystawnym obiadem i odchodzili.

Rodzice nie zawsze odnosili się do nich przyjaźnie. Czułem ten chłodny nastrój, długie chwile milczenia przy stole, twarze ojca, mamy, gościa bez cienia uśmiechu. Ci przybysze szybko się żegnali.

Często zdarzało się, że ojciec następnego dnia źle się czuł. Musiał kilka dni poleżeć w łóżku. Niekiedy mocno krwawił. Tłumaczył, że nieostrożnie obszedł się z transporterem podajnika paszy, jakiś buhaj zdzielił go łbem, spadająca z pryzmy bela karmy uderzyła w głowę. Przybywał wtedy stary Bjørn, z różnym maściami, woreczkami ziół, jakimiś

napitkami. Wcale się nie smucił, tylko wesoło poświstywał. Dziwiłem się, że sąsiad nieraz też wyglądał, jakby spadająca dachówka potężnie rozorała mu policzek albo czoło.

Parę razy zauważyłem, że po wizycie niezbyt miło przyjmowanego gościa ojciec i Bjørn nocą wynoszą do lasu podłużne toboły. Płachta materiału, kryjąca coś w środku, obwiązana sznurem. Bór nie znajdował się daleko, ledwie parędziesiąt kroków od domu. Wśród drzew przewijały się często szare kształty. Nie mogłem ich rozpoznać i sądziłem, że w księżycowej poświacie widzę cienie uciekających saren.

Pytałem się taty, co tam robił. Z nikłym uśmiechem odpowiadał, że co pewien czas zakopuje w ziemi zatęchłą paszę. Zaznaczał, żebym nikomu o tym nie wspominał, bo ludzie z ochrony środowiska mogliby się pieklić. Wierzyłem ojcu, bo naprawdę bardzo dbał o farmę.

Mijały lata, mężniałem, poznawałem runy, świetnie posługiwałem się sporą siekierą. W tajemnicy szykowałem rodzicom niespodziankę na moje święto, choć porzuciłem już myśl o budowie szałasu.

Coraz więcej znaków na kotarze rozświetlał blask. Gdy je odczytywałem, zdawały się gorzeć wewnętrznym ogniem. W tych miejscach zasłona stawała się miękka, poddawała naciskowi palców… Ustępowała.

Pracowałem jak szalony, żeby wyuczyć się znaczenia rzadko używanych znaków. Szperałem w sieciach komputerowych, próbowałem odczytać najtrudniejsze wyrazy, coraz bardziej udanie. Sądziłem, że w dniu mojego święta zdołam odsunąć kotarę.

Wszystko runęło, obróciło się wniwecz, bo mama i tata odeszli. Na zawsze. Zostawili list i parę arkusików papieru. Wraz z nimi zniknął Toby. On też odszedł.

Wszystko okazało się inne od tego, co sobie wyobrażałem.

Postawili mnie teraz przed koniecznością dokonania wyboru. Podjęcia kluczowej decyzji.

Przerwę na chwilę pisanie…

***

Rodzice nie umarli. Po prostu wrócili do siebie. Tak napisali w pozostawionym liście. Jeśli zechcę, mogę jednak ich zobaczyć. Tam zobaczyć…

Siedzę w salonie przy stole, nakrytym obrusem z koronki, wydobywanym z komody na wyjątkowe okazje. Pośrodku blatu stoi tort ze świeczkami. Wystarczy je zapalić, a potem zdmuchnąć. Trzeba jeszcze otworzyć butelkę włoskiego wina, nalać trunku do kieliszka i wznieść toast.

Po co o tym opowiadać? Przeczytajcie list.

***

Kochany synu.

Jesteś już prawie dorosły, a według wyobrażeń z naszego świata stałeś się mężczyzną. Dorosły mężczyzna radzi sobie sam. Z tego powodu wybraliśmy się w drogę powrotną – do siebie. Poznaliśmy też już wszystko, co pragnęliśmy poznać.

Cieszyliśmy się każdym dniem pobytu na farmie. Trwał tyle lat! Przeżyliśmy coś wyjątkowego, coś, czego w Valhalli nigdy nie doznalibyśmy – mogliśmy w końcu mieć dziecko. Ciebie, ukochany synku.

Naszym macierzystym światem jest Valhalla, miejsce pobytu dusz najdzielniejszych wojowników, poległych w chwale. Nadal istnieje… Dawniej przybywali tam tylko mężczyźni, ale to się zmieniło. Kobiety też bywają wojowniczkami, nieraz dzielniejszymi od swoich mężów.

Zapytasz, czemu pojawiliśmy się tam, gdzie się urodziłeś. Przyczyna jest prosta – w tym wspaniałym pałacu każdy dzień jest podobny do następnego jak dwie krople wody. Ciągle te same walki, wieczorne uczty, czekanie na ostateczną bitwę. I tak przez nieskończenie długie lata. Któryś z nadal nieumarłych bogów uprzyjemnił nam wieczność w świecie duchów. Umożliwił zajrzenia tam, gdzie kiedyś wszyscy żyliśmy.

Nie okazało się to łatwe. Samo przebycie powrotnej drogi nie sprawia trudności, jednak nie wszyscy wojownicy dowiedli, że ten zaszczyt im się należał. Polegli w chwale, imponując odwagą, ale za życia byli złymi ludźmi. Bardzo złymi… Przybierając nowe postacie, próbowali dokonać tego samego, czym dawniej się rozkoszowali – siali zamęt, wzniecali pożogę wojny, gwałtów, zwykłego zarzynania. Mordowania dla samej przyjemności zadawania śmierci. Mogli też wyjawić nową tajemnicę Valhalli.

Odyn powołał strażników i my do nich należeliśmy. Przepuszczaliśmy tych, o których wiedzieliśmy, że są godni długich chwil odpoczynku w starym świecie, nasycenia się jego urodą, nowymi zwyczajami, nowym życiem.

Przybywali jednak i inni. Co do niektórych nie mieliśmy pewności, jakie mają intencje, więc ich przepuszczaliśmy. Wiedz, że wszyscy wracają inną drogą, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Pozostałych zabijaliśmy. W dobrej, honorowej walce. Też będziesz musiał tak postępować, jeśli zostaniesz strażnikiem. Kogoś zabijesz, i to niejednokrotnie. Wbijesz nóż w gardło, odrąbiesz głowę, rozetniesz brzuch. Utoczysz wiele krwi…

Musisz też znaleźć w Valhalli żonę i spłodzić syna, żeby cię kiedyś zastąpił. Odyn przyrzekł, że jeśli dobrze się spiszesz, trafisz ze swoją wybranką do nas. Nie zestarzejesz się na farmie, staniesz się jednym z nas. Nie wiemy, kiedy to nastąpi. Wiemy jednak, że polegniesz w chwale, a twój syn przejmie dziedzictwo. Nie przerażaj się – śmierć w walce jest słodka, jeśli jesteś pewien wielkiej nagrody.

Nigdy już nie powrócimy – tylko raz można wybrać się w taką drogę. Przeżyliśmy tak dużo, że możemy opowiadać o tym przez wieki, a potem może i ty, synku, przekażesz nam i innym swoją historię.

Mówiliśmy ci, czym jest kotara. Odsłania przejście do wiecznie otwartej bramy w jednej z wielu wież Valhalli, wieży Walgund. Jeśli przeczytasz wszystkie wyszyte na zasłonie wyrazy, wypowiesz formułę zwalniająca zamknięcia. Zabezpieczenia, jak je określają tam, gdzie niedawno jeszcze byliśmy. Przybędziesz do nas i dowiesz się więcej, a potem wrócisz, żeby wypełnić misję. Załączamy karty ze znaczeniem jeszcze ci nieznanych runów.

Masz już siekierę i kordelas, ale to mało. Broń znajdziesz pod łóżkiem ojca. Bjørn przygotował ci świetny topór. Nasz sąsiad strzeże wejścia do drogi powrotnej.

Pamiętaj, że wilki są twoimi przyjaciółmi. Mogą ci pomóc. Mogą kogoś zagryźć. Na naszą prośbę tak zrobiły z wieloma niechcianymi gośćmi. Pomagał im Toby, a często przewodził. Nie pozwól na ich wybijanie. Widzisz, jeśli ktoś z Valhalli odwiedza stary świt, wcześniej czy później powraca. Niektórzy z nas chcieli żyć stale w starym świecie i otrzymali taką szansę. Ich duchy wcieliły się w drapieżniki: wilki, niedźwiedzie, rosomaki. Ci wojownicy są szczęśliwi, cieszą się pełnią istnienia, walczą, kochają… Jeśli padną w boju, wracają do Valhalli. Opiekuj się nimi.

Otrzymasz dar – cząstkę mocy Odyna. Nie szafuj nim i używaj rozważnie. Wielka siła, zdolna kruszyć i przenosić skały – i nie tylko. Teraz już wiesz, w jaki sposób zginęli myśliwi. Wśród nich byli mieszkańcy Valhalli, niegodni przybycia do dawnego świata. Chcieli mścić się na dawnych przeciwnikach. Źle, że zginęli też ludzie, niemający o niczym pojęcia. Nie mieliśmy wyboru. Możesz kiedyś stanąć przed taką samą koniecznością.

Wiedz jednak, że wcale nie musisz przekroczyć ściany za kotarą, choć bardzo byśmy tego pragnęli. Możesz wywędrować gdzieś daleko, bo wtedy zastąpi cię ktoś inny. Zrozumiemy taką decyzję.

Wraz z nami odszedł ten, który żył w ciele Toby'ego. Całe dawne, bardzo krótkie, ziemskie życie strawił na walce – i nie doczekał się syna. Z radością przyjął naszą prośbę o sprawowanie pieczy nad naszym dzieciaczkiem, może przyszłym strażnikiem. Jest bardzo

zadowolony z tego, czego doświadczył. Bardzo cię polubił, może nawet pokochał. Jeśli przyjdziesz tutaj, wyjdzie ci na spotkanie.

Postąpisz, jak zechcesz, jednak gorąco cię prosimy: nie zawiedź nas.

Bardzo cię kochamy i zawsze będziemy kochać.

Twoi rodzice – Thorwald i Sigurd

***

Zabij w trudnym boju niechcianych przybyszów,
Spraw się gracko, przejścia pilnując wytrwale,
Przepuszczaj tylko dusze godnych wojowników,
Wtedy twój duch wróci do Valhalli w chwale,
Wtedy duch twój zagości w Valhalli na stałe...

***

Pieśń wilków brzmi zupełnie inaczej!

Chryste, wszystko wydaje się snem, fantasmagorycznym zdarzeniem ze świata dziecięcych wyobrażeń. Ułudą, która za chwilę pryśnie niczym bańka mydlana. Jednak nie jestem już dzieckiem, a topór Bjørna świetnie leży w ręku. Na pewno jednym ciosem odrąbię komuś głowę.

Przecież mam wybór! Zniszczę domowe siedliszcze i wyjadę. Upozoruję wybuch gazu. Powiem potem policjantom, że przeprowadzam się gdzieś indziej, w ślad za rodzicami. Będą o nich pytać, szperać, nie znajdą jednak żadnych ciał. Dadzą sobie spokój. Wypadek, nieostrożność, właściciele i syn nie chcą tu mieszkać. Stary Bjørn wszystko potwierdzi.

Naprawdę mam wybór!

Patrzę na karty z nieznanymi dotąd runami. Nie ma ich wiele. Wszystkie rozumiem, wiem, co oznaczają. Wystarczy głośno przeczytać wyrazy wyszyte na storze, a znaki radośnie zapłoną. Kotara podda się mojej woli. Ustąpi. Otworzy drogę do bramy Walgund.

Jeszcze nie wiem, czy odczytam znaki. Naprawdę jeszcze nie wiem!

Kończę spisywać tę historię dziecka, potem już młokosa, wilków, dziwnych zdarzeń, bo jeśli ktoś osiedli się w moim domu, dobrze byłoby, żeby wiedział, co go czeka. Muszę go ostrzec.

Wilki znowu wyśpiewają nowy refren. Szarzy bracia mają pewność, że zostanę.

Przyrzekają posłuszeństwo i pomoc. Pierwszy raz składają mi hołd.

Skąd one wiedzą, że na farmie zagościł nowy strażnik? Skąd znają ukryte myśli? Skąd? Jednak znają…

Pewnie niebawem ja, nowy wysłannik Odyna, też dowiem się, o czym myślą wojownicy posługujący się ciałami wilków. Zrozumiem, w jaki sposób ojciec przekazywał im rozkazy.

Tego też się nauczę – i dobrze wykorzystam.

rys. Roman Panasiuk

TRUSKAWKI

Barbara Mikulska

Urszula nie była lubiana na uczelni. Właściwie nigdy nie była lubiana, ale gdyby zapytać kogokolwiek dlaczego, raczej nie uzyskałoby się konkretnej odpowiedzi. Ani ładna, ani brzydka, inteligentna, mało towarzyska, ukierunkowana na cel. Może właśnie to ostatnie odstręczało od niej ludzi. Bo jak sobie coś postanowiła, to parła do przodu jak czołg, jak maszyna. Żadnych odstępstw od wytyczonego planu, zero słabości – jak tu lubić takiego człowieka. Jest sesja, wiadomo, trochę trzeba się przygotować, ale nie dajmy się zwariować: jakiś wypad za miasto, popijawa na błoniach nad Wisłą…

Ale Ula była na to nieczuła. Nic dziwnego, że już po pierwszym roku straciła potencjalnych kumpli. Niczego od nikogo nie chciała, nikt nie chciał nic od niej.

Skończyła studia i obroniła pracę bez problemów. I bez przyjaciół. Koleżanki z roku powychodziły za mąż albo przynajmniej miały facetów, a ona pozostała samotna.

Szara, nijaka, niezauważalna, zamknięta w sobie. Tak ją odbierano, ale wewnątrz kipiała jak wulkan. Z zazdrością zerkała na roześmiane, flirtujące koleżanki. Była taka jak

one – otwarta, wyluzowana, radosna, żądna wrażeń, ale dopiero wtedy, gdy zniknęła w swoim pokoju, gdy ominęła śmierdzącego piwskiem ojca i zalęknioną matkę z zaczerwienionymi oczami. Kiedy odcięła się drzwiami od wiecznego wrzasku telewizora i wyzwisk rzucanych pod adresem żony, córki, prezentera czy polityków.

Ostatni raz uderzył ją, gdy miała dwadzieścia trzy lata. Za to, że za późno wróciła z pracy. Dostała w twarz zaraz po tym, jak otworzyła mieszkanie. Nie krzyknęła, nie zapłakała. Jak na zwolnionym filmie zamknęła drzwi, odłożyła klucze na półkę w przedpokoju, a potem odwróciła się do ojca. Kątem oka widziała wyglądającą zza futryny kuchni wystraszoną matkę. Spojrzała prosto w zaćmione alkoholem oczy mężczyzny:

– Biłeś mnie, gdy byłam dzieckiem. Wtedy nie potrafiłam się przed tobą obronić, ale teraz już umiem. Jeśli jeszcze kiedykolwiek uderzysz mnie albo mamę, pożałujesz – wycedziła przez zaciśnięte zęby.

– A co mi zrobisz? Zawołasz policję? Oni mają to w dupie. Wiesz, co będzie? – zarechotał. – Mała szkodliwość czynu. W końcu nie połamałem wam rąk, nie rozpierdoliłem ci tego głupiego łba ani nie zaciukałem! Świadków też nie masz! – Spojrzał wymownie w kierunku żony.

– A kto mówi o policji? – Urszula wzruszyła ramionami. – Za parę stówek znajdę chętnego do obicia ci mordy. A jak za bardzo podskoczysz, możesz zarobić i więcej.

– Bredzisz, głupia cipo, nie odważyłabyś się – wychrypiał.

– Spróbuj, to się przekonasz! – Dziewczyna wbijała wzrok w przekrwione oczy ojca. – Radzę ci zapamiętać, tkniesz matkę albo mnie i nie wyjdziesz spokojnie na ulicę.

Urszula została w domu rodzicielskim do śmierci mamy. Wtedy zniknął jedyny powód, który trzymał ją w tym miejscu – przerażona do granic wytrzymałości kobieta, zbyt słaba, by obronić siebie i swoją pociechę przed domowym tyranem. Zaraz po pogrzebie dziewczyna spakowała walizkę, zabrała dokumenty i wyszła. W pokoju zostawiła całe minione życie i szlochającego w pijackim amoku ojca.

***

Miała trzydzieści lat, trochę pieniędzy na koncie i pomysł.

Najpierw udała się do renomowanego salonu kosmetycznego po poradę. Zapłaciła więcej niż za wszystkie dotychczasowe wizyty w takich miejscach razem wzięte, ale była zadowolona. Już nie była nijaka; stała się pastelowa. Włosy w kolorze słonecznego blondu, ładnie obcięte, z frywolną grzywką opadającą na umiejętnie wyeksponowane makijażem,

interesujące szarością oczy, do tego usta podkreślone ciepłym odcieniem beżu. Buty na obcasie, letnia sukienka i słomiany kapelusik – nikt nie rozpoznałby w tej zadbanej kobiecie Urszuli.

Zatrudniła się w małej kawiarence. Dyplom schowała na dno walizki wsuniętej pod łóżko w wynajętym pokoju. Potem wyszukała odpowiedniego mężczyznę. Już niemłody, zbliżający się do pięćdziesiątki, ale oczywiście samotny i przy kasie. Nie spieszyła się, nie stać jej było na pomyłkę.

Trzy lata spędziła z Antonim. Gotowała, prała, sprzątała, wychodziła na wizyty do przyjaciół i do szpitala, kiedy nadszedł udar, a kilka miesięcy później – kolejny. Wprawdzie lekarz dziwił się nieco tym częstym powikłaniom, ale sztuczna zastawka zawsze niesie za sobą podobne ryzyko, a on nie takie rzeczy już widywał.

Trzy lata robiła dobre wrażenie. I w dzień, i w nocy. Ale w końcu dopięła swego.

Odetchnęła; po roku sprzedała mieszkanie wraz z całym wyposażeniem, wyrzuciła z głowy obraz męża, który po jakimś czasie niepokojąco zaczął przypominać znienawidzonego rodzica. Już wcześniej brzydził ją obleśny dotyk, ślina, którą zostawiał jej w ustach, na piersiach, kleisty ślad jego rozkoszy na udach i brzuchu, dłonie penetrujące każdy kawałek ciała. Ale pewnej nocy usłyszała zniekształcone podnieceniem słowa: chodź do tatusia! Potem zaciskała oczy, zagryzała wargi i jęczała, żeby Antoni czuł się usatysfakcjonowany, żeby niczego nie podejrzewał. Odetchnęła, gdy choroba odebrała mu siły.

Najpiękniejszy był ostatni miesiąc. Stała się niemal aniołem Antoniego; wodził za nią oczami, gdy poruszała się po pokoju, wycierając kurze i porządkując bibeloty; przymykał w zawstydzeniu powieki i szeptał słowa podziękowania, gdy go obmywała.

A ostatniego dnia, gdy był już bardzo słaby, tak słaby, że nie mógł nawet mówić, ustawiła na stole butelkę szampana, kieliszek i miseczkę świeżych truskawek, a obok spodeczek z cukrem.

Był początek czerwca; wiatr rozwiewał firanki i przynosił do domu zapach bzu, śmiech dzieci i poszczekiwanie psów.

Antoni z trudem oddychał, słońce usiłowało ożywić matowe spojrzenie, ale wszystko na darmo.

Urszula otworzyła wino i nalała do kieliszka schłodzony trunek. Po kilku chwilach szkło zawilgotniało, a kobieta przesuwała palcami po smukłym kształcie w górę i w dół, rozcierając mgiełkę. Kiedy zobaczyła, że spojrzenie męża zogniskowało się na jej dłoniach, chwyciła dorodną truskawkę, wcisnęła ją w cukier, a potem uniosła do ust. Kryształki spadały

na stół i na podłogę, kiedy oblizywała owoc. Język zataczał kręgi, rozpuszczał białą słodycz i pozwalał, by skapywała na ręce.

Antoni głośno przełknął ślinę, zafascynowany zarówno erotyzmem, jak i witalnością sceny.

– Po co to robisz? – spytał bełkotliwym szeptem.

Nie odpowiedziała od razu, tylko wzruszyła ramionami, a potem wgryzła się w miąższ.

– Kiedy po raz pierwszy wepchnął te swoje brudne, tłuste paluchy – powiedziała, nie patrząc na męża – płakałam i prosiłam, żeby mi tego nie robił. A on powiedział, że jak będę grzeczna, to mi to wynagrodzi. Kupił truskawki. Ogromne, soczyste, dojrzałe, ociekające sokiem. Leżałam jak one na stole, a on wkładał je, a potem wylizywał, mówiąc, że nie potrzeba cukru, bo jestem taka słodka… a potem… Krwi też nie było widać, bo wymieszała się z sokiem.

Urszula zamilkła. Chwyciła kolejny owoc, zanurzyła w cukrze i odgryzła kawałek. Machinalnie powtarzała czynność, aż w miseczce zostały same szypułki. Potem uniosła kieliszek i opróżniła zawartość.

Zanim nalała sobie ponownie, powiedziała jakby do siebie:

– A mama płakała w pokoju obok. – Urszula umoczyła usta w winie i odstawiła szkło. – Głupia pizda, bała się go. Bała się go tak bardzo, że nie potrafiła nic zrobić. Tylko ryczała. Ale ja nie będę płakać. Nigdy.

– Myślałem, że mnie… – Antoni zdołał się zmusić do wyszeptania kilku słów, ale szybko zabrakło mu sił.

– Co myślałeś? – Kobieta spojrzała na niego z nienawiścią w szarych oczach. – Że cię kocham? Że sprawia mi to przyjemność? Gówno prawda! Prawie rzygałam, kiedy śliniłeś się na mój widok. Ale zniosłam wszystko, bo wiedziałam, że mi zapłacisz. I nie tylko ty.

Antoni poczerwieniał z gniewu i bezsilności. Urszula stanęła nad nim z kieliszkiem w dłoni, w drugiej ręce trzymała buteleczkę z lekiem przeciw krzepnięciu krwi, wytrząsała bezpośrednio do ust cukiereczki i rozgryzała ze smakiem. Czekała, kiedy pojawi się u niego zrozumienie i badawczo obserwowała, jak z trudem wciąga powietrze, nasłuchiwała świszczącego oddechu, patrzyła z ciekawością w zamierające oczy i na dłonie, zaciśnięte dotychczas na kołdrze, a teraz prostujące się bez woli właściciela. Jeszcze się zakrztusił, zacharczał i spojrzał z wyrzutem na tę twarz, którą wydawało mu się, że zna tak dobrze.

Klatka piersiowa mężczyzny unosiła się w nierównych oddechach, z każdą chwilą słabszych, z każdą chwilą płytszych. Aż wreszcie ruch ustał.

Urszula patrzyła na rozchylone usta, w otwarte oczy i napawała się spokojem. Tym zewnętrznym i tym, który rozlał się po jej duszy.

– Kolejnego skurwysyna mniej – powiedziała i wysączyła do końca zawartość kieliszka.

***

Miała czterdzieści cztery lata, gdy odkupiła podupadającą posiadłość. Zatrudniła ludzi, postawiła kilka domków, zainwestowała i stworzyła piękne gospodarstwo agroturystyczne. Atrakcję stanowiły zwierzęta, które można było dotknąć, nakarmić albo wydoić i zrobić własnoręcznie ser oraz paręset metrów upraw pod folią, gdzie każdy mógł zerwać warzywa czy owoce na śniadanie lub podwieczorek. Szczególną troską otaczała zagony z truskawkami, tam potrafiła nawet sama pracować. Pieniędzy jej nie brakowało. Antoni był majętnym człowiekiem, a warszawskie mieszkanie ojca też sprzedała za niemałą kwotę.

Zawiadomienie o jego śmierci przyjęła z takimi samymi emocjami jak rachunek z gazowni. Pojechała na pogrzeb, załatwiła formalności, a lokalu pozbyła się przez pośrednika. I wyrzuciła z pamięci kolejnego mężczyznę.

Gospodarstwo kwitło, Urszula też. Chyba nikt nie rozpoznałby w tej dojrzałej, pewnej siebie kobiecie dawnej Uli. Kierowała sporym zespołem ludzi, z dużą wiedzą i wyczuciem zarządzała firmą, a wieczorami czarowała gości. Nic dziwnego, że jej kwatery cieszyły się ogromnym powodzeniem. A wówczas zaczęła rozsyłać maile.

I natrafiła na ślad przeszłości. Bartek Borowiak brylował na pierwszym roku, potem zmienił kierunek i ich drogi rozeszły się. Ale nawet dziś pamiętała to uczucie, gdy serce zamieniło się w lód. Stał na antresoli, patrzył na nią, pomachał ręką i posłał całusa. Skinęła głową, uśmiechając się do niego, a potem obserwowała, jak powoli schodzi po schodach, zagadując po drodze kumpli, żeby nie wyszło, że za bardzo się spieszy. Przez chwilę straciła go z oczu, kiedy opuścił najniższy schodek, ale zaraz namierzyła płową czuprynę. Kierował się w jej stronę, patrzył w oczy, a kiedy nie mogła wytrzymać już napięcia, spuściła wzrok. I czekała. Czekała, wpatrując się w brudną, kamienną posadzkę. Aż wreszcie usłyszała za plecami jego śmiech. Odwróciła się zdezorientowana. Wciskał twarz w długie, lśniące włosy Anety, zaciągał się jej zapachem, flirtował. Z Anetą.

A ona stała samotna, zagubiona na środku korytarza, pośród kilkudziesięciu obojętnych ludzi. Serce jak szalone łomotało tą nadzieją sprzed paru minut, krew rozsadzała skronie, kolana drżały z napięcia.

Przeszli obok niej, nie zwracając uwagi na szarą, nijaką dziewczynę. Ignorując, jakby nie istniała. A ją tak bardzo bolało, że miała ochotę krzyczeć. Ale milczała, zagryzając wargi. A potem poszła do marketu i kupiła mrożone truskawki. Była zima.

Teraz widziała jego nazwisko na liście osób, którym firma zafundowała tygodniowy pobyt na łonie natury w nagrodę za dobre wyniki sprzedaży. Jeszcze nie dowierzała swojemu szczęściu, ale już układała plan.

Natychmiast spostrzegła Bartka – ten sam szelmowski uśmiech, blond czupryna. Trochę przybyło mu w pasie, ale zachował urok. Nie nosił obrączki i nie poznał Urszuli.

Już pierwszego wieczoru adorował atrakcyjną gospodynię, badał grunt, na ile sobie może pozwolić. A ona działała bardzo rozważnie, krygowała się jak nastolatka, by za chwilę zaskoczyć mężczyznę czymś wyjątkowym.

Kiedy po siedmiu dniach grupa opuszczała gościnne progi, szepnęła mu na osobności, że kolejna zmiana gości dojedzie dopiero w poniedziałek. Zasugerowała, żeby samochód zostawił na leśnym parkingu i dotarł do niej po zmroku. Nie potrzeba plotek wśród wioskowych.

– Zostawię otwarte drzwi – wydyszała mu prosto w ucho i ugryzła wystarczająco mocno, by długo o niej pamiętał.

Zastukał cicho i grzecznie poczekał na zaproszenie. Gospodyni przywitała go wygłodniałym pocałunkiem; wplotła dłonie w miękkie włosy i przyciągnęła do siebie. Bartek nie protestował – lubił dojrzałe kobiety, wiedziały, czego chcą i jak chcą. Pozwolił prowadzić się kochance. Jego ręce błądziły po plecach, pieściły pełne biodra, ześlizgiwały się po miękkich krągłościach. Kiedy zacisnął dłonie na pośladkach, otoczyła go nogą. Jęknął głośno, gdy boleśnie uszczypnęła go w udo, tuż obok krocza. Roześmiała się wtedy i odsunęła go.

– Przygotowałam dla nas małe co nieco. – Zaprosiła mężczyznę gestem do zastawionego stołu.

Nie protestował, potrzebował chwili, żeby zebrać myśli. Zbyt szybko zaatakowała go w przedpokoju. Z jednej strony podobało mu się to, z drugiej – nie lubił tracić inicjatywy.

– Nalejesz nam? – Urszula głową wskazała butelkę.

Podniósł się posłusznie i napełnił kieliszki.

– Częstuj się, proszę. – Kobieta ponownie zwróciła jego uwagę na przekąski.

– A ty? – spytał, wpatrując się, jak kosztuje czubkiem języka wina i oblizuje brzeg kieliszka.

– Ja tylko truskawki, mój drogi. Nie mogę sobie pozwolić na kolację o takiej porze.

Chwyciła owoc i wbiła zęby, aż pociekł sok. Pozwoliła mu płynąć cieniutką strużką po

brodzie i szyi. Następną truskawkę ugryzła i nie spuszczając wzroku z twarzy Bartka, rozsmarowała owoc między piersiami.

– Lubisz truskawki? – spytała i nie czekając na potwierdzenie, nakazała: – Zliż ten sok.

Bartek odstawił kieliszek, podniósł się z krzesła i podszedł do Urszuli. Nachylił się nad nią, a potem przejechał językiem po czerwonych śladach.

– Weź truskawkę – poprosiła – tylko zanurz ją w cukrze.

– Nie potrzebuję cukru – szepnął wprost w jej piersi – jesteś taka słodka…

Ciałem kobiety wstrząsnął dreszcz. Bartek wzmógł pieszczoty.

– Proszę, z cukrem – wyszeptała, wbijając mu paznokcie w ramiona.

Nie wiedział nawet, kiedy pozbawiła go koszuli. Podgryzała i drapała.

– Lubisz ostro? – spytał.

– Lubię truskawki z cukrem – wyjęczała.

– To proszę! – Podał jej czerwony owoc upudrowany bielą.

– Ja nie mogę – wzdrygnęła się. – Ale ty jedz… Jedz ze mnie truskawki z cukrem. Z dużą ilością cukru… Niech chrzęści pod zębami…

Jakiś kretyński fetysz, a te truskawki nie są nawet zbyt smaczne, pomyślał Bartek, ale posłusznie maczał owoce w cukrze, gryzł i rozsmarowywał po ciele kochanki. Do momentu aż poczuł, że jest mu mdło, że robi mu się słabo, że ogarnia go bezwład i ciemność.

***

Obudził go chłód i wilgoć. Z trudem usiadł, głowa pulsowała mu nieznośnym bólem. Próbował się podnieść, ale całe ciało miał odrętwiałe. Podparł się dłonią i poczuł szorstkość betonu. Oprzytomniawszy nieco, zaczął się rozglądać. Znajdował się w pomieszczeniu dwa na dwa, ale sufit oddalony był o jakieś trzy metry. Uniósł głowę; boks oświetlała jedna słaba żarówka, obok niej dojrzał metalową klapę z małym szklanym okienkiem. Zauważył, że brzegi zabezpieczone zostały gumową uszczelką.

Jak się tutaj znalazłem? Co się ze mną działo?

Powoli wracał obraz ostatniego wieczoru – namiętna gospodyni, truskawki, ciemność. Nadal nie wiedział, w jaki sposób trafił do tej nory, nie miał też pojęcia, ile czasu tu siedzi. Chciało mu się pić i lać. Po chwili dreptania opróżnił pęcherz w kącie. Próbował krzyczeć, ale wkrótce zaprzestał wysiłku. Betonowe ściany skutecznie głuszyły wszelkie odgłosy.

Zapadł w niespokojną drzemkę. To jakiś żart. *Kurewsko głupi, ale żart*, pomyślał. Miał

nadzieję, że za chwilę ktoś się pojawi i uwolni go. Nerwy mu puściły; mimo iż wiedział, że to daremny wysiłek, wrzeszczał, ile sił w płucach:

– Wypuść mnie! Ty durna kurwo! Wypuść! Słyszysz! Zabiję cię, jak stąd wyjdę!

Krzyk podrażnił gardło tak bardzo, że Bartek zaczął kaszleć, ale nie przerywał, dopóki całkiem nie ochrypł. Potem skulił się w kącie, ramionami objął kolana i kwilił jak małe dziecko.

– Błagam… proszę… Ojcze nasz, któryś jest...

Nie wiedział, ile czasu minęło. Budził się, potem znowu zasypiał i słabł coraz bardziej. W głowie kręciło mu się z głodu, język przysychał do podniebienia. Próbował lizać beton, ale choć ten wydawał się wilgotny, nie dał ukojenia.

Zdawało mu się, że nachyla się nad nim matka, głaszcze go po włosach i szepcze pocieszające słowa do ucha. Uśmiechnął się leciutko.

– Cieszę się, że jesteś w dobrej kondycji!

Bartek nie wiedział, czy naprawdę słyszy kobiecy głos, czy to wszystko mu się tylko śni. Z trudem uchylił powieki. Klapa była otwarta, a na wprost zobaczył twarz Urszuli.

– Pomóż... – wyszeptał spękanymi ustami.

– Musisz mówić głośniej, bo wcale cię nie słyszę.

– Pomóż mi – wycharczał. – Pić…

– A wiesz, jakoś nie pomyślałam o tym. Ale przyniosłam ci prezent.

Bartek nie poruszył się, kiedy otworzyła jakieś metalowe pudło i wysypała na niego zawartość. Zresztą po chwili wszystko sturlało się na boki i uciekło pod ściany. Mężczyzna z trudem przekręcił głowę.

Kiedy zrozumiał, co za lokatorów dorzuciła mu Ula, nie był już nawet w stanie krzyczeć, charczał tylko w rytm nabieranego powietrza.

– Wybacz, że nie zostanę do końca przedstawienia, ale nie znoszę smrodu i krzyków. Popatrzę sobie przez okienko.

Urszula zamknęła klapę, ale widział jej twarz przyciśniętą do szyby. Patrzył w jej oczy, ostatnim wysiłkiem próbował nawet wyciągnąć do niej rękę, ale nie udało mu się.

Na pierwsze ugryzienie nie musiał długo czekać.

***

Urszula musiała jeszcze utopić w pobliskim bagnie auto Bartka. Założyła więc jednoczęściowy kombinezon roboczy, włosy ukryła pod chustką i naciągnęła gumowe

rękawiczki – tak na wszelki wypadek, gdyby policja kiedyś wygrzebała ten samochód. Bo to, że będą u niej węszyć, nie ulegało wątpliwości. Nie ulegało również wątpliwości, że w życiu nie odkryją tego bunkra. Podobno w czasie wojny ukrywało się w nim przez rok dwoje Żydów. Skoro gestapo nie znalazło tego miejsca, nasi gliniarze nie mieli szans.

Dobrze, że zanosiło się na deszcz. Wszystkie ślady po samochodzie powinny zniknąć. Zrobiło jej się żal, że pozwoliła szczurom zeżreć Bartka. Mogła użyć go jako nawozu pod truskawki – w następnym roku zaowocowałby obficie.

Trudno, ale jeszcze nic straconego...

KONTYNUACJA BESTSELLEROWEJ **INFEKCJI**

SCOTT SIGLER

ZAKAŻENIE

-15%

27.08.15

tylko w PRZEDSPRZEDAŻY:

- **15% taniej**
- **darmowa wysyłka**
- **e-book gratis**

kupując w PRZEDSPRZEDAŻY wspierasz:

Kocie życie

NEKO GRUPA POMOCY KOTOM

HOSPICJUM DLA KOTÓW BEZDOMNYCH

10% uzyskanej kwoty zostanie przekazana na wsparcie dla kotów.

NIE UCIEKNIESZ, NIE UKRYJESZ SIĘ
INFEKCJA SIĘ ROZPRZESTRZENIA

www.gmork.pl GMORK WYDAWNICTWO **fb.com/wydawnictwo.gmork**

SZORTAL UWOLNIJ MOC UKRYTĄ W SZORTACH · HORRORY · HISTERIA · KOSTNICA · GŁOS KULTURY · OKIEM NA HORROR · carpe noctem · W świecie słów Paulina J. Król · NERD KOBIETA · Creatio Fantastica · Secretum.pl · Bestiariusz · Grabarz.net · Horror.com.pl

YES NO

SHRED PERSPECTIVES WORKS

DESIGN

DARK ART AND DESIGN

GOOD BYE

CARPENOCTEM.PL

PISZEMY O GROZIE OD 2003 ROKU

LITERACKI HORROR DLA ZAAWANSOWANYCH.
GROZA WCIĄGA!

rys. Roman Panasiuk

WIARA

Marta Kucharska

Mamusia mówiła, że jestem święty. Wierzę jej, bo mamusie przecież nie kłamią. Choć kiedy byliśmy w kościele, przypatrywałem się obrazom świętych, i nie wydaje mi się, żebym ich przypominał. Mają takie dziwne ubrania i długie włosy. I wszyscy mają takie złote kółeczka nad głową. Mamusia mówiła, że to aureole. Sprawdziłem w lustrze. Nie miałem aureoli. Mamusia mówiła, że takie aureole widzą tylko inni ludzie, że święci ich nie dostrzegają, bo są zbyt skromni... Fajnie by było widzieć takie świecące kółko. Mógłbym go używać jako bumerangu, nawet w nocy! Albo jako miecza świetlnego, takiego, jaki mają wojownicy ze Star Wars, ale ja nie widzę tej aureoli, bo jestem święty.

Tak mówiła mamusia, a ja jej wierzę.

Mam na imię Piotr. Od św. Piotra Apostoła. Mam już prawie dwanaście lat. Kiedy się zdenerwuję lub przestraszę, to pocę się na czerwono. Mamusia mówiła, że to błogosławieństwo. To samo dzieje się, kiedy płaczę, dlatego nie robiłem tego często, chyba że mamusia mnie poprosiła. Ręce i nogi od zawsze miałem owinięte w bandaże. To przez te skaleczenia. Takie małe dziurki pośrodku, które nie mogły się zagoić, bo jak mówiła mamusia – Pan Bóg sobie tego nie życzy.

Mieszkaliśmy na wsi, w małym kamiennym domku. Tylko ja i mamusia, bo tatuś umarł, jak byłem malutki... Wstawaliśmy bardzo wcześnie, a to dlatego, że przed wyjściem do szkoły musiałem się pomodlić. Potem śniadanie i ubieranie. Przez te bandaże musiałem nosić za duże buty i czasem, jak spieszyłem się na lekcje, to je gubiłem... W ławce siedziałem sam, bo jak mówiły niektóre dzieciaki, jestem trędowaty i zarażam. Śmiali się ze mnie, ale ja się tym nie przejmowałem, bo mamusia zawsze powtarzała, że każdy święty musi znosić upokorzenia w ciszy własnego sumienia...

Zazwyczaj po przyjściu ze szkoły musiałem się przebrać w białą bawełnianą koszulę i położyć do łóżka, choć nie byłem chory, a na dworze moi koledzy bawili się w chowanego. Mamusia mówiła, że to „wzmacnia efekt", i wciskała mi w zabandażowane dłonie drewniany różaniec. Czasem prosiła mnie, bym pomyślał o czymś smutnym, bylebym tylko się rozpłakał. Tyle że ja nie jestem beksą! Nawet jak ugryzł mnie pies sąsiadów, to nie płakałem!

Nasz dom zawsze był pełen obcych ludzi. Przyjeżdżali samochodami, rowerami, niektórzy siedzieli na wózkach, inni szli o lasce. Przychodzili, patrzyli na mnie, dotykali. Czasem ściskali mnie mocno i dziękowali, innym razem prosili, żebym się za nich pomodlił. Oni też się modlili. Klękali przede mną jak w kościele. Jak byłem mały, to się ich bałem. Płakałem, a wtedy oni modlili się jeszcze głośniej... Potem już wiedziałem, że płakać należy tylko wtedy, kiedy mamusia poprosi...

Kiedyś mamusia postawiła wiklinowy koszyk przed naszym domem. I teraz każdy, kto chciał mnie zobaczyć, musiał tam wrzucić jakieś pieniądze. To nic złego, bo jak mówiła mamusia – nie ma nic za darmo na tym bożym świecie...

Gdy już wszyscy sobie poszli, jedliśmy kolację i mamusia sprawdzała te moje skaleczenia, bo jak mówiła — Bóg czasem o nich zapominał. Gdy już założyła mi nowy bandaż, mocno mnie przytulała i powtarzała, że tak trzeba, a ja jej wierzyłem...

***

Któregoś dnia przyjechała do nas taka pani. Bardzo elegancka, z dużą czarną teczką. Leżałem w łóżku jak zawsze. Słyszałem, jak mówiła mamusi, że jest z jakiegoś ośrodka i że chciałaby ze mną porozmawiać. Mamusia strasznie na nią nakrzyczała, ale to nic nie pomogło, bo chwilę potem ta pani weszła do pokoju i usiadła na krzesełku obok łóżka.

– Jak masz na imię? – zapytała.

– Piotr. Tak jak św. Piotr Apostoł.

Zapisała coś w wielkim zeszycie i rozejrzała się po pokoju.

– Powiedz mi, Piotrusiu, dlaczego leżysz w łóżku. Jesteś chory?

Popatrzyłem na mój przybrudzony bandaż na dłoniach i szybko ukryłem go pod jasną poszewką pierzyny.

– Nie, proszę pani – odpowiedziałem.

– Więc dlaczego leżysz w łóżku?

– Bo jestem bożym wybrańcem.

Uśmiechnęła się, choć przecież nie powiedziałem żadnego dowcipu. Zamknęła swój wielki zeszyt i przesiadła się z krzesła na moje łóżko.

– Chłopcze – westchnęła – jestem tu po to, by ci pomóc. Jeżeli ktokolwiek robi ci krzywdę, musisz mi o tym powiedzieć. Nikt nie ma prawa cię krzywdzić, nikt nie ma prawa zadawać ci bólu.

Wyjęła spod pierzyny moją rękę w zabrudzonym bandażu i uniosła do góry.

– Nawet sam Pan Bóg… rozumiesz?

Nie rozumiałem. Patrzyła na mnie i tak miło się uśmiechała. Ładnie pachniała i w ogóle była inna... Wstydziłem się przyznać, że nie rozumiem, więc pochyliłem się do przodu, by mogła zobaczyć to świecące kółko nad moją głową, ale ona tylko znowu westchnęła głośno, powiedziała, że przyjdzie w przyszłym tygodniu, wstała i wyszła.

***

Mamusia zawsze mnie ostrzegała, że szatan tylko czeka, aż popełnię błąd. Nie rozumiałem, o jaki błąd chodzi, ale z całych sił starałem się go nie popełnić. Byłem grzeczny i posłuszny. Jednak to nie wystarczyło...

Któreś nocy przyszedł. Stał tuż przy moim łóżku – wielki i czarny. Chciałem krzyczeć, ale ze strachu nie mogłem się poruszyć... Więc tylko gapiłem się na niego, a on szepnął: – Tak

trzeba. – I wbił mi w bok pod żebrami jeden ze swoich wielkich szponów.

Zacząłem krzyczeć. Tak bardzo mnie bolało. Przybiegła mamusia i nasze dwie sąsiadki. Kiedy zobaczyły, co mi się stało, jedna z nich krzyknęła – Cud! – i wszystkie upadły na kolana. Nie chciały słuchać, jak im mówiłem, że zrobił mi to diabeł. Mamusia nawet na mnie nakrzyczała i powiedziała, żebym więcej nie bluźnił...

***

Do obiadu było już tyle ludzi, że niektórzy musieli klęczeć przed domem. Strasznie mnie bolało, mimo że mamusia dawała mi jakieś lekarstwa. Było mi gorąco i chciało mi się spać. Prosiłem mamusię, by już ci wszyscy ludzie sobie poszli, ale Ona mnie nie słyszała. Śpiewała i modliła się z innymi. Potem zrobiło mi się tak dziwnie, jakbym leciał... i wtedy weszła ta pani, która była u nas kilka dni temu. Pomyślałem, że przyszła pomodlić się jak inni, ale ona przecisnęła się przez tych wszystkich ludzi, wymachując rękami. Pachniała tak ładnie jak przedtem. Nachyliła się do mnie, położyła mi rękę na czole i powiedziała:

– Karetka już jedzie, trzymaj się chłopcze!

No to trzymałem się jej ręki, aż nie zasnąłem i nie obudziłem się w całkiem innym miejscu.

***

Na początku myślałem, że jestem w niebie. Tak było biało. Potem zobaczyłem telewizor i przypomniałem sobie, co mówiła mamusia — że w niebie nie ma telewizorów.

Trochę się przestraszyłem, bo w pokoju byłem sam, a ta maszyna nad moją głową wydawała takie dziwne dźwięki. Popłakałem się, choć przecież nie jestem beksą... Nie wiem, kiedy do pokoju weszła ta pani. Już nie wyglądała tak ładnie.

Miała potargane włosy i pogniecione ubranie, ale uśmiechała się tak samo miło.

– Jak się czujesz, chłopcze?

Wytarłem rękawem czerwone plamy z policzków i wyprostowałem się, mimo iż mocno mnie bolało.

– Czuję się dobrze, proszę pani. Czy mogę już wrócić do domu, do mamy? Na pewno się o mnie martwi...

Przestała się uśmiechać i zrobiła taką minę, jakby zjadła coś gorzkiego.

– Obawiam się, że to niemożliwe...

– Dlaczego? Przecież już dobrze się czuję.

Pokiwała tylko głową i usiadła obok mnie na łóżku.

– Piotrek, jesteś już dużym chłopcem, więc porozmawiamy jak dorośli, dobrze?

– Dobrze – odpowiedziałem dumnie, bo jeszcze nikt nigdy nie rozmawiał ze mną jak z dorosłym.

– Nazywam się Anna, Anna Walter i jestem psychologiem. Panie z opieki społecznej poprosiły mnie o pomoc, ponieważ były zaniepokojone waszą... sytuacją. Twoja mama nie zgadzała się na żadną pomoc. Z nikim nie chciała rozmawiać. Poproszono więc mnie, bym przyjrzała się z bliska waszej... codzienności. Widzisz, Piotrusiu... Czasem wydaje nam się, że nasza codzienność, wypełniona bólem i upokorzeniem, jest czymś zupełnie normalnym. Myślimy tak, bo nikt nigdy nie pokazał nam innej, lepszej codzienności. Rozumiesz?

Choć nie rozumiałem nic, nie chciałem wyjść na głupka. Pokiwałem więc grzecznie głową i odpowiedziałem:

– Tak, proszę pani.

– Dobrze. – Uśmiechnęła się miło. – Więc czy teraz chcesz mi o czymś powiedzieć?

Musiałem się chwilę zastanowić. Mogłem jej powiedzieć o szatanie, który odwiedził mnie tamtej nocy, ale nie chciałem bluźnić... A że nic ciekawszego nie przychodziło mi do głowy, odpowiedziałem tylko:

– Nie, proszę pani.

***

Kilka dni później znowu mnie odwiedziła. Przyniosła mi nawet słodycze. Była inna, nie uśmiechała się, nie chciała ze mną rozmawiać. Siedziała tylko i patrzyła przed siebie.

– Piotrusiu... Muszę ci powiedzieć coś bardzo ważnego.

Nadstawiłem uszu, bo rzeczy ważne to zawsze coś miłego. Tak mi się przynajmniej wydawało.

– Nie będziesz mógł wrócić do mamy. Opieka społeczna wniosła do sądu wniosek o odebranie jej praw rodzicielskich i umieszczenie ciebie w domu dziecka. Wiem, że trudno ci będzie się z tym pogodzić, ale z czasem zrozumiesz, że to najlepsze, co mogło cię spotkać... Twoja mama jest chora, Piotrze, potrzebuje specjalistycznej pomocy. Ty natomiast potrzebujesz nowej rodziny, normalnego życia... Tamtej nocy, gdyby nie jedna z sąsiadek, która zachowała minimum rozsądku, najprawdopodobniej wykrwawiłbyś się na śmierć. Masz przebitą nerkę... Nie ma dowodów na to, by oskarżyć kogoś bezpośrednio, ale podejrzewamy,

że zrobiła to... twoja mama.

– To szatan – wyszeptałem. – Przyszedł do mnie w nocy i skaleczył mnie jednym ze swoich szponów. Tylko czekał, aż popełnię jakiś błąd... nie chciałem o tym mówić, bo to bluźnierstwo, ale to był on. Nie mamusia. Mamusia mnie kocha.

– Piotrusiu...

– Widzi pani? – Pochyliłem głowę. – To świecące kółko? To aureola. To dowód na to, że jestem święty! Bóg mnie naznaczył. Pocę się i płaczę na czerwono. Mam dziury w rękach i nogach! Jak się modlę, to ludzie wracają do zdrowia! Jestem święty! Tak mówi mamusia! I tylko jej wierzę!

– Chłopcze... proszę, uspokój się...

***

Rzucałem się na łóżku, nie zwracając uwagi na ból. Poduszka była cała umazana moimi krwawymi łzami. Krzyczałem, wyrywałem z rąk te wszystkie rurki i kabelki. Chciałem uciec, już nawet schodziłem z łóżka, ale w tym samym czasie do sali wbiegli jacyś ludzie w białych ubraniach. Zdążyłem jeszcze krzyknąć – Mamusiu! – i zasnąłem.

W szpitalu przeleżałem prawie miesiąc. Dziurki na nogach i rękach zagoiły się całkiem, a i pociłem się już bardziej na różowo niż czerwono... Prosto ze szpitala pojechałem do takiego dużego domu. Nazywają go domem dziecka, choć w niczym domu nie przypomina. Pełno tutaj dzieci, dużych i małych. Dorosłych za to tylko pięciu, i to jakiś dziwnych. Żadne z nich nie pada przede mną na kolana, nawet jak leżę w łóżku. Nikt się do mnie nie modli, nikt nie śpiewa. A co najgorsze, nikt nie widzi nad moją głową świecącej aureoli... Do mojego domku na wsi nie mogę wrócić, bo mamusia jest w szpitalu. Tak mi powiedziano.

A ja myślę, że Ona strasznie się na mnie gniewa za to, kim się teraz stałem. I zwyczajnie nie chce mnie widzieć.

Ze skrzynki na narzędzia naszego woźnego zabrałem gwóźdź. Nie ukradłem, pożyczyłem, oddam mu go później. Na świetlicy znalazłem świeczkę w kształcie cyfry sześć. Taką samą miałem na torcie w urodziny. Trochę dłużej szukałem zapałek, ale były w szafce w kuchni. Zamknąłem się w pokoju, w którym śpię z dwoma innymi chłopakami. Nie lubię ich, bo mi dokuczają...

Trochę się boję. Nie bólu, bo nie jestem beksą, tylko tego, że zrobię to źle i Bóg nie będzie zadowolony z takich krzywych dziur. Nagrzewam gwóźdź bardzo długo, tak jak to

robiła mamusia, po czym przykładam do różowej plamki na dłoni. Strasznie boli, ale ja napieram z całych sił, dopóki dziura nie będzie głęboka... Tak trzeba... Oczy mnie szczypią i coś mi się zdaje, że zaraz się rozpłaczę, choć przecież nie jestem beksą.

Jestem święty. Tak mówiła mamusia, a ja jej wierzę.

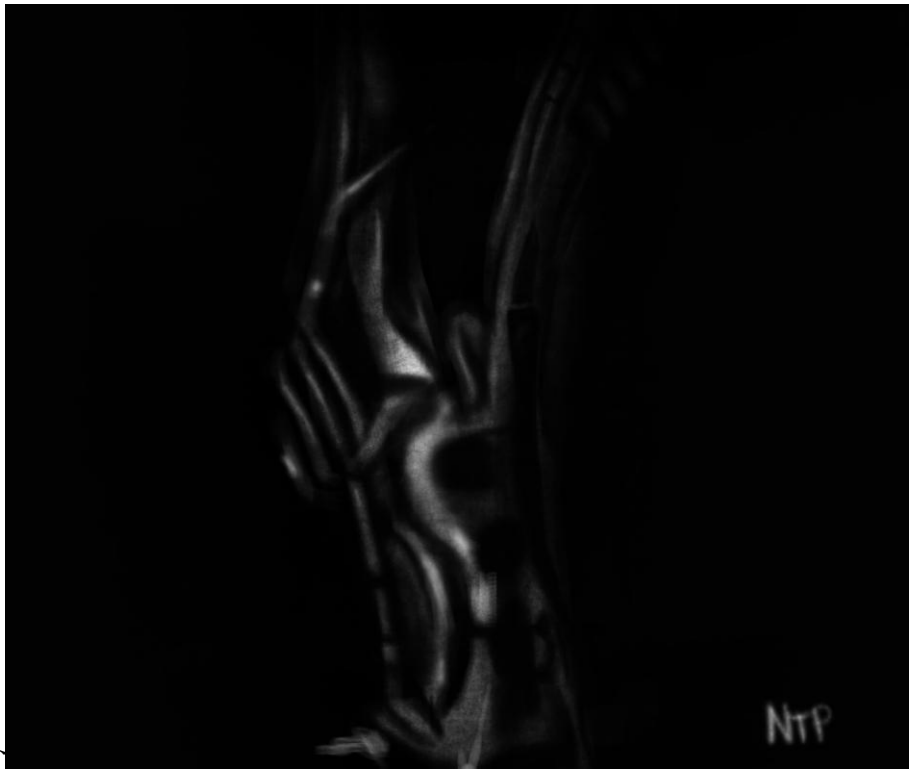

rys. Roman Panasiuk

WYOBRAŹNIA

Przemysław Kyrcz

Na każdego czyha wymysł jego własnej wyobraźni

Sir Hugh Seymour Walpole

– Tylko nie oddalaj się zbytnio, Jessie – krzyknęła Sandra do córki. – I nie podchodź za blisko wody, żebyś nie zamoczyła bucików.

– Dobrze, mamusiu – odpowiedziała uśmiechnięta dziewczynka i pobiegła przed siebie, po deptaku, wzdłuż kamienistej plaży Southampton River.

Czteroletnia Jessica uwielbiała popołudniowe spacery. Biegała wzdłuż linii wody i wypatrywała kamieni o dziwnych kształtach. Miała ich w domu całą kolekcję.

– Patrz, mamo, ten wygląda jak głowa myszki Mickey!– zawołała i podbiegła do matki, aby pokazać jej najnowsze znalezisko. Wokół jej nóg radośnie biegał basset Georg, ukochany pupil Jessici.

– No rzeczywiście, jak głowa Mickiego, kochanie. Będzie świetnie pasował do twojej kolekcji.

Dziewczynka podała mamie kamień, który zniknął w czeluściach torebki.

Jak zwykle o tej porze roku deptak był gęsto zatłoczony. Przechodnie napawali się wspaniałym, czerwonym, lipcowym zachodem słońca. Wesoło podźwiękujące dzwonki przejeżdżających rowerów i śmiechy dzieci dopełniały idyllicznego krajobrazu.

Typowe letnie popołudnie na Woolston.

– Uważaj na rowery, Jessie! Nie biegaj po całej ścieżce – zawołała Sandra. Dziewczynka jednak zdawała się nie słyszeć wołania mamy i pobiegła na koniec deptaka, gdzie rosły stare cisy.

– Mamo, mamo, chodź zobacz, na tym drzewie ktoś zawiesił maskotki. – Dziewczynka nie mogła oderwać wzroku od pluszowych zabawek wiszących na gałęziach drzewa.

– Musisz to zobaczyć, mamusiu – wołała. – Nie uwierzysz, ktoś obwiesił drzewo maskotkami. Chodź, zobacz, są tu wszyscy: Kubuś Puchatek, Prosiaczek, a tam wisi Papa Smerf.

Sandra podbiegła do córki i popatrzyła na leciwy cis.

– O czym ty mówisz, córeczko? – zapytała. – Nic tutaj nie ma.

– Jak to, mamusiu, nie widzisz ich? Są na prawie każdej gałęzi. – Dziewczynka uniosła rączkę i wskazała palcem gałąź najbliżej mamy.

– Patrz, o tam wisi Prosiaczek, a zaraz obok Smerfetka.

– Daj spokój, Jessie, przestań się naigrywać z mamy.

– Ja się nie naigrowuję. Są wszędzie, zobacz…

Dziewczynka spuściła głowę i ze smutkiem popatrzyła na swoje zielone tenisówki.

– Nie wiem, dlaczego ich nie widzisz, mamusiu.

– Daj już spokój, Jessie, wracamy do domu. Georg już się niecierpliwi i marzy o swoim wieczornym posiłku.

Pies szczeknął, jakby rozumiał, co powiedziała Sandra.

Matka wzięła dziewczynkę za rękę i odciągnęła od drzewa. Jessica popatrzyła jeszcze raz na cis, udekorowany maskotkami niczym świąteczna choinka bombkami.

Nie słuchaj jej Jessie, szepnęło drzewo. *Zostań jeszcze chwilkę, to coś ci opowiem.*

– Mamo, to drzewo do mnie mówi! – zawołała dziewczynka. – Prosi, żebym została jeszcze chwilkę, to coś mi opowie. Mogę, mamo? Proszę.

Georg szczeknął groźnie w stronę starego cisu.

– Kochanie, drzewa nie mówią i nie rosną na nich maskotki. To tylko twoja wyobraźnia, która chyba troszkę wymyka ci się spod kontroli. – Sandra pogłaskała córkę po głowie.

– Co to jest wyobraźnia, mamo?

– Opowiem ci w domu, a teraz daj już spokój temu drzewu i chodź. Wracamy.

Wróć do mnie, Jessie, to coś ci pokażę, szepnał ponownie cis, a dziewczynka skinęła głową i posłała uśmiech w stronę starego drzewa.

Wrócę na pewno – pomyślała i odeszła z mamą w stronę domu.

Słońce już do połowy schowało się za widnokręgiem. Deptak opustoszał i zostali na nim tylko najwytrwalsi spacerowicze. Dotarły do domu po około dwudziestu minutach. Pies przez całą drogę powrotną odbiegał do przodu i zatrzymywał się, odwracając głowę w stronę Sandry, jakby chciał się upewnić, że jego towarzyszki za nim podążają.

Po powrocie Jessica pobiegła na górę, do swojego pokoju, z nowym kamieniem do kolekcji, a Sandra przygotowała kolację.

– Za chwilę kolacja, kochanie – zawołała z kuchni. – Umyj rączki i schodź na dół. Tata zaraz powinien wrócić z pracy.

– Dobrze, mamusiu – odkrzyknęła córka.

Kiedy Jessica zeszła do jadalni, Sandra zaczynała właśnie podawać posiłek.

– Tatuś właśnie dzwonił, że stoi w korku, na Itchen Bridge. Pewnie zaraz będzie. Umyłaś rączki?

– Tak, mamusiu – odparła dziewczynka.

– Na pewno? Nie słyszałam, żebyś odkręcała wodę w łazience.

– Tak naprawdę nie umyłam, ale mam czyste.

– Jazda myć łapki, brudasku. Wiesz, co się dzieje z dziećmi, które nie myją rączek przed jedzeniem.

– Tak wiem, mamusiu. Już idę. – Jessie wstała od stołu i pobiegła do łazienki. W tym samym momencie na podjazd przed domem wjechał samochód Stephena. Sandra poszła otworzyć mężowi drzwi.

– Witaj, kochanie – przywitał ją Steve.

– Cześć, skarbie. – Pocałowała go w policzek i oboje weszli do domu.

– Cześć, tato! – zawołała Jessie i podbiegła do ojca, rzucając mu się w ramiona.

– Cześć, moja stokrotko. – Stephen złapał ją i okręcili się dookoła. – Pozwól mi się tylko ogarnąć, córeczko, i zaraz opowiesz mi przy kolacji, jak ci minął dzień. – Ojciec postawił córkę na podłodze i poczochrał jej blond włosy.

– Dobrze, tatusiu. A mam ci coś superaśnie ciekawego do opowiedzenia. Prawda, mamusiu? – Dziewczynka popatrzyła na stojącą obok Sandrę. Matka uśmiechnęła się do niej, spojrzała na męża i puściła mu oczko.

Kiedy wszyscy siedzieli już przy stole, a Georg leżał znudzony pod, oczekując na resztki z kolacji, Stephen zapytał:

– A więc jak ci minął dzień w przedszkolu, Jessie?

– Świetnie, tato, dzisiaj bawiliśmy się w chowanego na placu zabaw. Tym, który przypomina ruiny zamku. Ja schowałam się w fosie pod kładką, i nikt mnie nie mógł znaleźć.

– Spryciulka z ciebie.

– A pani Dewey powiedziała, że w piątek zabierze nas do Victoria Park.

– No to świetnie. Mam nadzieję, że pogoda nie pokrzyżuje wam planów.

– Ma być pogodnie – wtrąciła Sandra i nałożyła mężowi na talerz pieczonych ziemniaków.

– A dzisiaj na spacerze z mamą i Georgem widziałam czarodziejskie drzewo. Rosły na nim maskotki.

Stephen spojrzał pytająco na żonę, a ta odpowiedziała mu uśmiechem, przewracając przy tym zabawnie oczami.

– Chodzi jej o ten stary cis rosnący na końcu deptaka. Nasza córka widziała na nim maskotki.

– Całą gromadę, z Puchatkiem i Prosiaczkiem na czele.

– Może jakieś dzieciaki dla zabawy obwiesiły drzewo pluszakami – odpowiedział ojciec. – Może już nie chciały się nimi bawić i zamiast wyrzucać je do śmieci, udekorowały nimi drzewo.

– Nie wiem, kto to zrobił, tato, ale mama powiedziała, że to moja wyobraźnia i że ona ich nie widzi.

– Ach rozumiem – odpowiedział Stephen i popatrzył porozumiewawczo na żonę.

– Czy wyobraźnia to jest coś, co ja mam, a mama nie, i dlatego nie widziała pluszaków? – Dziewczynka popatrzyła na ojca pełnymi ciekawości, niebieskimi oczami.

– Nie, kochanie, wyobraźnia to jest coś, co każdy ma, tylko czasem ona podpowiada nam obrazy, które niekoniecznie są realne i prawdziwe.

–Więc moja wyobraźnia jest inna niż mamy? – zapytała Jessie. – Czy dlatego mama nie widziała maskotek?

– Czasami tak jest, że dorośli nie widzą swoją wyobraźnią tego wszystkiego, co widzą dzieci.

– Czy ja kiedyś też przestanę je widzieć, tatusiu?

– Na pewno nie, ale pod warunkiem, że będziesz grzeczną dziewczynka i będziesz pamiętała, żeby zawsze myć ząbki przed snem.

– Dobrze, tatusiu. – Jessica zeskoczyła z krzesła i podbiegła do schodów prowadzących na górę do łazienki.

– Mam nadzieję, że moja wyobraźnia nigdy nie oślepnie, tak jak wyobraźnia mamy – zawołała dziewczynka i wbiegła po schodach, zostawiając na dole śmiejących się rodziców.

Sandra wyniosła brudne naczynia po zjedzonej kolacji, do kuchni i włożyła je do zmywarki. Wróciła do salonu i usiadła mężowi na kolanach.

– A jak minął twój dzień? – zapytała.

– Strasznie mi się dłużyło. Ale pocieszam się, że to już prawie koniec tygodnia i spędzimy razem super weekend.

Popatrzył na żonę i pocałował ją w policzek. Oddała mu pocałunek w usta.

– Poczytam Jessie na dobranoc i widzimy się w sypialni, OK? – zapytał.

– Jak będziesz wychodził z jej pokoju, upewnij się, że na pewno śpi.

Stephen popatrzył na żonę pytająco.

– Może zaczniemy dzisiaj pracować nad braciszkiem dla naszej córeczki? – zapytała nieśmiało Sandra i popatrzyła na męża z uśmiechem. Stephen przytulił ją i pocałował w czoło. Siedzieli chwilę w milczeniu, delektując się miłością, której słodki zapach niemal dało się wyczuć w powietrzu.

Wchodząc po schodach na górę, Stephen krzyczał, że nadciąga potwór z bagien, który porywa małe dziewczynki, zwłaszcza te, które zapomniały umyć zęby przed snem. Odpowiedział mu cichy śmiech córki dobiegający z jej pokoju.

Była środa wieczorem i nim wszyscy zasnęli, nikt nie pamiętał już o drzewie, na którym Jessie widziała wiszące maskotki. Nikt z wyjątkiem dziewczynki.

***

Następnego dnia rano Sandra odwiozła córkę do przedszkola.

– Obiorę cię tak jak zwykle – krzyknęła do Jessie, która pobiegła już do grupki bawiących się na placu zabaw dzieci. Dziewczynka odwróciła się tylko i pomachała matce na pożegnanie. Sandra odmachała jej i posłała całusa, którego Jessica złapała i udała, że chowa do kieszonki w bluzeczce.

Najlepszą koleżanką Jessie była o rok starsza Ann. Dziewczynki nie rozstawały się ani na sekundę. Tego ranka najważniejszą nowinką było oczywiście czarodziejskie drzewo. Ann patrzyła z szeroko otwartymi oczami na Jessicę, kiedy ta opowiadała o magicznym drzewie, które widziała wczoraj na spacerze.

– Jeśli jutro pójdziemy do Victoria Park, to pokażę ci to drzewo. Na pewno będziemy koło niego przechodzić.

– Już nie mogę się doczekać – odparła zafascynowana Ann. – Myślisz, że ja zobaczę te wszystkie maskotki, których nie widzi twoja mama?

– Pewnie, że tak. Mój tata powiedział, że dorośli mają ślepą wyobraźnię i są rzeczy, które tylko dzieci mogą widzieć. I tak właśnie jest z tymi maskotkami.

– To superaśnie, Jessie – uradowała się Ann, złapała swoją przyjaciółkę za rękę i dziewczynki pobiegły się bawić.

Sandra odebrała Jessie ze szkoły o szesnastej i pojechały razem na drobne zakupy.

– Czy dzisiaj możemy pójść na deptak? – zapytała Jessie, kiedy wracały już do domu. – Chcę zobaczyć jeszcze raz to drzewo.

– Możemy – odparła Sandra i uśmiechnęła się do córki.

– Powiedziałam o tym drzewie Ann. Ona bardzo chce je zobaczyć. Obiecałam jej, że może jak będziemy jutro szli do Viktorii, to jej pokażę.

– W porządku, tylko nie oddalajcie się same od grupy, a najlepiej dajcie pani Dewey znać, że chcecie podejść do tego cisu.

– OK, mamusiu. Zapytam panią Dewey, czy mogę pokazać Ann mojego magicznego maskodrzewca.

Sandra zaparkowała Jeepa na podjeździe, wzięła torbę z zakupami i obie weszły do domu. Na progu przywitała ich szczera, acz wiecznie smutna morda basseta. Jessica uklęknęła przed psem i podrapała go za uszami. Georg położył się przed nią i po chwili pieszczot przeturlał na grzbiet, okazując w ten sposób pełne zaufanie do swojej małej właścicielki.

– Daj mi dziesięć minut, Jessie. Rozpakuję zakupy, zmienię ubranie na coś wygodniejszego i możemy iść zobaczyć to twoje drzewo.

Matka i córka szły powoli deptakiem, a dookoła biegał szczęśliwy Georg, merdając ogonem i poszczekując co chwila na przelatujące obok jego oślinionej mordy motyle. Rzeka

była spokojna, a jej fale delikatnie muskały brzeg. W powietrzu czuć było delikatny zapach glonów.

Sandra co chwilę rzucała psu piłkę, którą on niestrudzenie aportował. Jessica zdawała się jednak ledwie zwracać uwagę na kudłatego przyjaciela, który przynosił jej sflaczałą, obślinioną piłkę tenisową.

– Rzuć mu ją do wody – zdopingowała ją matka. – Niech trochę popływa. W taką pogodę wyschnie, nim wrócimy do domu.

Jessica rzuciła piłkę do wody, ale zupełnie nie była zainteresowana obserwowaniem, jak Georg z zapałem płynie w stronę piłki. Widziała już w oddali rozłożyste gałęzie cisu. Popatrzyła na mamę, a ta skinieniem głowy dała jej znak, że dziewczynka może pobiec do upragnionego celu swojego spaceru.

Jessica pobiegła do drzewa i stanęła pod nim, obserwując wiszące na nim maskotki.

Widzę, że jednak wróciłaś, szepnęło drzewo. *Podobają ci się moje ozdoby?*

– Tak, bardzo – odpowiedziała dziewczynka. – To moi ulubieni bohaterowie kreskówek.

– Z kim ty rozmawiasz, córeczko? – zapytała Sandra, podchodząc do Jessie.

– To drzewo pyta się, czy podobają mi się jego maskotki – odpowiedziała niewinnie dziewczynka.

– Daj spokój, nie przesadzaj – skarciła córkę Sandra. – W maskotki, które tylko ty widzisz mogę jeszcze uwierzyć, ale mówiące drzewo to już przesada.

Dziewczynka posmutniała i spuściła głowę. Sandrze zrobiło się żal córki. W końcu wybujała wyobraźnia dziecka to nie powód, aby je karcić.

– Ej mała, nie smuć się. Wiesz dobrze, że drzewa nie mówią. Jesteś już dużą dziewczynką.

– To mówi. – Jessica spojrzała na matkę. – Może ty go nie słyszysz, bo twoja wyobraźnia jest ślepa… i głucha na dodatek.

Sandra uśmiechnęła się i pogłaskała córkę po głowie.

– Cóż, pewnie masz rację, Jessie. Jestem już za stara na mówiące drzewa obwieszone maskotkami. Chodźmy już do domu.

– Dobrze, mamusiu – odparła dziewczynka ze smutkiem w głosie i spojrzała w stronę starego drzewa.

***

Piątek zaczął się lekką mżawką, ale około jedenastej dzień rozbłysnął słońcem. Klasa Jessie, jak obiecała nauczycielka, wybrała się do Victoria Park.

– Już nie mogę się doczekać, aż pokażę ci moje drzewo – powiedziała Jessie do Ann. – Strasznie jestem ciekawa, czy ty zobaczysz te wszystkie maskotki.

– Na pewno wygląda świetnie – odpowiedziała jej przyjaciółka.

Klasa przeszła deptakiem wzdłuż Southampton River. Tym samym zresztą, którym prawie co dnia spacerowała Jessie z mamą i psem. Dzieci przysiadały co chwilę na ławkach gęsto rozsianych przy deptaku. Każda z ławek upamiętniała zasłużonego mieszkańca miasta. Niektóre miały kształt liści, inne rozciągniętego na wietrze żagla. Pani Dewey, opiekunka grupy, co chwilę pokrzykiwała na dzieci, aby nie rozchodziły się i nie oddalały zbytnio.

– Jest tam, na końcu. Widzisz? – Jessie wskazała palcem rosnący na końcu deptaka cis.

– Ojejku. Jest ogromny! – Oczy Ann rozszerzyły się z zachwytu.

– Mówiłam ci, że to nie jest zwykłe drzewo – odparła z dumą w głosie Jessica. – Poczekaj, aż zobaczysz z bliska.

Dziewczynki pobiegły, trzymając się za rączki. Kiedy dotarły do starego cisu, Ann stanęła zdumiona pod jego gałęziami.

– Gdzie niby są te maskotki, Jessie?

– Jak to gdzie? Jest ich pełno na gałęziach. Popatrz, tam wisi Prosiaczek, a tam Osiołek. – Dziewczynka wskazywała palcem raz na lewo, raz na prawo.

– Nic tu nie ma. To tylko stare drzewo, jakich setki w okolicy. Nie mogę uwierzyć, że dałam się nabrać.

– Nie wymyśliłam tego! – krzyknęła Jessie i popatrzyła ze złością na swoją przyjaciółkę. – Może twoja wyobraźnia też jest ślepa, jak wyobraźnia mojej mamy.

– Sama jesteś ślepa! I kłamczucha na dodatek. Rozpowiem wszystkim, że wymyślasz historię o magicznym drzewie, i wszyscy będą się z ciebie śmiać.

Ann odwróciła się w stronę nadchodzącej grupy dzieci. Jessie stała zasmucona i jednocześnie zła pod drzewem.

– Dlaczego ona nie widzi twoich ozdób? – zapytała drzewo.

Nie widzi ich, bo nie chce ich widzieć, odszepnął cis.

– Teraz rozpowie wszystkim, że zmyślam i będę pośmiewiskiem. To wszystko przez ciebie.

Dziewczynka popatrzyła na drzewo z wyrzutem. Gałęzie zaskrzypiały, jakby poruszone gwałtownym powiewem wiatru. Nagle z pnia cisu wystrzeliła w stronę Jessie para rąk. Złapały one dziewczynkę, uniosły wysoko nad ziemię i posadziły na jednym z konarów.

Dzieciaki z grupy Jessie podbiegły do drzewa i stały pod nim z otwartymi buziami. Obserwowały, co dzieje się z ich koleżanką i zastanawiały, w jaki sposób zdołała się wspiąć tak wysoko. Do grupki dzieci dołączyła pani Dewey.

– Natychmiast schodź z tego drzewa, Jessie! – krzyknęła. – Co ty wyprawiasz, dziecko, chcesz spaść i zrobić sobie krzywdę?

– To drzewo mnie tutaj posadziło, proszę pani. Nie mogę zejść, bo trzymają mnie jego ręce.

– Ona kłamie – wtrąciła się Ann. – Mówi, że to czarodziejskie drzewo. Podobno jest obwieszone maskotkami, które tylko ona widzi. To kłamczucha!

Dzieci wybuchły śmiechem, pokazując palcami na Jessie.

– Kłamczucha – zawołał któryś z chłopców.

Dziewczynka rozpłakała się. Ręce, które wyrosły z pnia drzewa, przytuliły ją mocniej.

– Widzisz, co się dzieje? – zapytała przez łzy. – Śmieją się teraz ze mnie.

Chcesz żeby przestali? – zapytało drzewo.

– Tak! – odkrzyknęła zła na swoich przyjaciół Jessie.

Kiedy to powiedziała, z pnia i konarów drzewa wystrzeliły dziesiątki rąk, zakończonych ostrymi jak żyletki szponami. Dłonie łapały dzieci i rozrywały ich małe ciałka na kawałki. Te, które próbowały uciekać, zostawały złapane przez wystrzeliwujące na powierzchnię korzenie drzewa, które wciągały krzyczące dzieci pod ziemię.

Jessie siedziała na gałęzi i obserwowała wszystko z przerażeniem.

– Nie, nie! Przestań już, proszę!

Już nie będą się z ciebie śmiali. Nigdy.

– Chcę ich z powrotem – powiedziała dziewczynka. – Nie chciałam, żebyś ich zabijało. Już wolę, żeby się ze mnie śmiali.

Już za późno, odpowiedziało drzewo, a na jego gałęziach zaczęły się pojawiać maskotki. *Teraz już wiesz, skąd mam te wszystkie ozdoby,* drzewo zaśmiało się skrzypliwym głosem. *Jedna dziecięca dusza – jedna maskotka.*

Jessie patrzyła na pojawiające się obok niej pluszaki. Do jej oczu napłynęły łzy. *To wszystko moi przyjaciele* – pomyślała. *Zginęli, bo ja widzę więcej niż oni*.

– Chcesz moją duszę? – zapytała dziewczynka.

Hmm… twoja jest szczególnie cenna, bo widzi więcej. Stoję tutaj już ponad sto lat. Codziennie mija mnie wiele osób, nikt jednak nie widzi tego, co ty zobaczyłaś. Raz na kilkanaście lat trafia się ktoś taki jak ty. Wyobraźnia jest wspaniałą rzeczą, ale może być też przekleństwem. Jeśli chcesz ofiarować mi swoją duszę, chętnie ją przyjmę. Dołączysz do swoich przyjaciół i będziesz wisiała na jednej z gałęzi obok reszty. Sama przekonasz się, jak niewielu ludzi zatrzymuje się, aby popatrzeć.

– Zabierz mnie do moich przyjaciół – powiedziała Jessie.

Ręce, które dźwignęły ją na konar, na którym siedziała, ponownie uniosły ją w górę i wciągnęły do wnętrza drzewa.

Jessie wstrzymała oddech, a po chwili zobaczyła zielone, jaskrawe światło. Zrobiło jej się gorąco, a potem zapadła ciemność.

Daily Mail 25.08.2014

Policja ciągle nie natrafiła na żadne ślady związane z tajemniczym zaginięciem grupy dzieci z przedszkola pod wezwaniem św. Patryka. Ostatni raz dzieci wraz z opiekunką były widziane na deptaku biegnącym wzdłuż Southampton River. Jeśli ktokolwiek posiada informacje na temat zaginionych dzieci policja w całym kraju, oraz zrozpaczeni rodzice proszą o kontakt z najbliższym komisariatem.

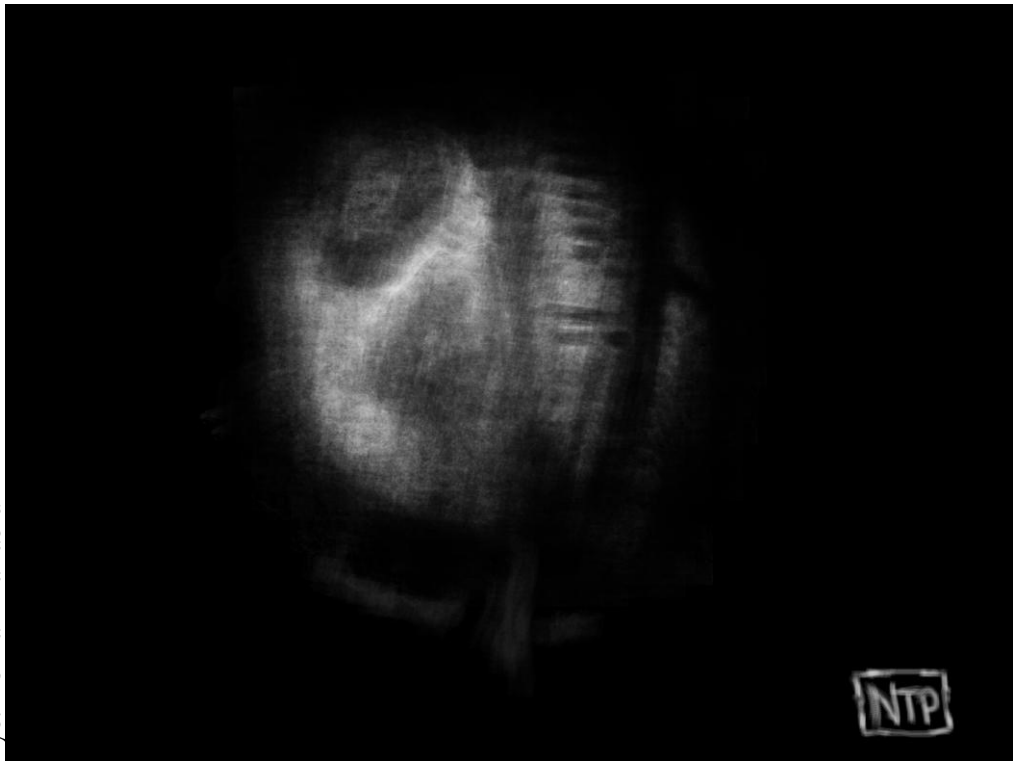

rys. Roman Panasiuk

ZAPACH CIENIA I SMAK DUSZY

Piotr Ferens

Było tak zimno, że nawet nie padał śnieg. Nowojorskie powietrze, skute mrozem, tkwiło niczym szklana tafla w wyrzeźbionym w bieli krajobrazie. Niebo było idealnie błękitne, jak wyszlifowana warstwa lodu tuż nad lustrem wody. Według zapowiedzi meteorologów do wschodniego wybrzeża powoli zbliżała się potężna burza śnieżna, która miała dotrzeć do miasta pojutrze w nocy. Zawieszono już praktycznie wszystkie połączenia lotnicze z JFK. Wydano stosowne ostrzeżenia. Na tę chwilę było jednak spokojnie. Drapacze chmur obojętnie wbijały się wprost w oziębłe niebo, z jadących aut unosiły się smugi spalin, a okuci w ciepłe kurtki bądź płaszcze przechodnie przemierzali odśnieżone chodniki.

Nagle z jednej z bram wybiegł młody mężczyzna. Miał na sobie jedynie jasne dżinsy i rozchełstaną białą koszulę. Potoczył wokół dzikim spojrzeniem i puścił się biegiem wprost przed siebie, przeciskając się przez stojących mu na drodze ludzi. Co kilka sekund szarpał głową w tył, jak gdyby chciał sprawdzić, czy ktoś za nim biegnie i jak blisko już jest. Z jego ust wydobywała się para.

Dwóch policjantów patrolujących ulice wyszło właśnie niespiesznym krokiem zza rogu. Rozmawiali o czymś ze sobą, a jeden z nich nieustannie pocierał o siebie dłonie w czarnych rękawiczkach. Ich uwagę natychmiast przykuło zamieszanie rozgrywające się kilkadziesiąt metrów przed nimi. Biegnący człowiek roztrącał ludzi, którzy zataczali się albo upadali na ziemię. Podniosły się krzyki oburzenia. Jakiś młodzik, którego biegnący uderzył w ramię, ruszył za nim, ale zauważywszy mundurowych, zatrzymał się po kilku krokach.

Tymczasem mężczyzna pędził wprost na policjantów. Funkcjonariusze natychmiast odsunęli się od siebie i czekali, aż wpadnie im w ręce. Kilka sekund później złapali go z obu stron za ramiona.

– Nie… mam… cie-nia. Nie ma-m cie-nia – powtarzał mężczyzna urywanym głosem. – Zabrali go… – wydyszał. – Zabrali! – wrzasnął prosto w twarz jednemu z policjantów.

– Niech się pan uspokoi. Co panu zabrali? – Tamten nachylił się w jego kierunku.

– Cień! Mój cień!

Wokół nich szybko tworzyło się zbiegowisko ciekawskich.

– Proszę się rozejść – rozkazał policjant.

Jego kolega sięgnął po radio i zgłosił do centrali kod: dziesięć, dziewięćdziesiąt sześć.[1]

Nagle trzymany przez nich człowiek dostał drgawek. Ludzie instynktownie odsunęli się o kilka kroków. Oczy mężczyzny wywróciły się, ukazując same białka, a całym ciałem raz po raz wstrząsały coraz gwałtowniejsze spazmy.

– Złap go za nogi – polecił koledze policjant, sam chwytając mężczyznę wpół.

Drugi schylił się natychmiast i mocno ujął kostki nieszczęśnika. Mężczyzną zaczęło tak rzucać, że ledwo mogli go utrzymać. Nagle jego ciało znieruchomiało, po czym opadło na chodnik. Ludzie stojący wokół powyciągali telefony komórkowe i filmowali całą scenę oraz robili zdjęcia.

---

1 Kod amerykańskiej policji oznaczający „świra”.

Policjanci spojrzeli po sobie i w tym momencie ktoś z tłumu krzyknął przeraźliwie. Tuż pod skórą mężczyzny pojawiły się ruchliwe ciemne plamy. Obaj funkcjonariusze odskoczyli jak oparzeni. Ciało mężczyzny zaczęło się szamotać. Z ust wydobył się szarawy dym. Nieszczęśnik otworzył oczy i patrząc w niebo, wydał z siebie nieludzki wrzask, który przeszył dreszczem każdego z obecnych. Potem jego skóra zaczęła powoli się zapadać, jakby ktoś wysysał ze środka wszystkie wnętrzności. Jedna z kobiet osunęła się na ziemię, zemdlona.

***

– Co za cholerny ziąb – sarknął detektyw Gasp, stanąwszy przed bramą, z której wedle zeznań świadków wybiegł mężczyzna. Miał smukłą twarz, przez co wyglądał na nieustannie zatroskanego. Wysoki wzrost i lekko zgarbione plecy tylko pogłębiały to odczucie.

– Jak przyjdzie ta śnieżyca, to może i nas zasypie, ale chyba będzie nieco cieplej, co? – odezwał się jego kolega Irvin. Był niższy od swojego kompana. Wyglądał jak rekrut: okrągła twarz, krótko przycięte czarne włosy i trochę zdziwione spojrzenie nieco zbyt blisko osadzonych oczu. – Wiesz, jak w lodowym domku Eskimosa.

– Te domki są ze śniegu.

– Może. – Irvin wzruszył ramionami. – Pamiętasz dwa tysiące szósty? Wtedy nieźle posypało.

– A w tym roku ma być gorzej – zauważył Gasp.

– Znaczy się: rekord. – Wyszczerzył zęby jego towarzysz.

– Można tak powiedzieć.

– Podobno nasze sympatyczne władze zamierzają wprowadzić zakaz poruszania się prywatnymi samochodami.

– Taaa? No na szczęście my mamy służbowe. – Gasp uśmiechnął się. – Dobra. – Rzucił w śnieg do połowy spalonego papierosa i przydeptał go butem. – Chodźmy, bo ten mróz zdziera mi już skórę z twarzy.

Nacisnął klamkę i pchnął ciężkie, masywne drzwi. Nad elegancką klatką schodową utrzymaną w odcieniu paryskiej zieleni zalśniło automatyczne oświetlenie. Udali się na trzecie piętro, do apartamentu numer dwanaście. Weszli do środka, używając zapasowego klucza, który Gasp uzyskał od dozorcy. Mieszkanie było przestronne, wyglądem przypominające soft-loft, mimo iż należało przecież do kamienicy. Dużo tutaj było otwartej przestrzeni, pomieszczenia przenikały się wzajemnie, tworząc harmonijną względem siebie

całość; kuchnia stapiała się z pokojem dziennym, oddzielonym od sypialni delikatnym przepierzeniem ze zdobnego, białego szkła.

– Ładnie tu – zauważył Irvin.

– Widać, że gość nie narzekał na brak kasy – przyznał Gasp.

Wszędzie panował idealny porządek, niczym w modelowym apartamencie.

– On tu w ogóle mieszkał, czy tylko przychodził popatrzeć? – Irvin rozglądał się dookoła.

– Może miał dobrą sprzątaczkę – skwitował detektyw.

– Może. Miejmy nadzieję, że to nie ona go sprzątnęła.

Detektyw spojrzał na niego.

– Widziałeś monitoring z zajścia?

– Nie, a co?

– To na pewno nie była sprzątaczka.

– Tylko żartowałem.

Zadzwonił telefon. Detektyw sięgnął do kieszeni i odebrał. Przez krótką chwilę słuchał, delikatnie przygryzając dolną wargę. W końcu rozłączył się i schował komórkę.

– Ciekawostka – mruknął.

– Jaka?

– Pamiętasz, co ten gość mówił przed śmiercią?

– Zdaje się, że coś o cieniach.

– Właśnie. Konkretnie, że nie ma cienia. Że ktoś mu go zabrał.

– No i?

– No i miał rację. Na monitoringu nie ma cienia.

– Jak to… nie ma cienia? Każdy przecież ma.

– Do tej pory też tak sądziłem.

– Może to jakiś błąd zapisu?

Detektyw pokręcił przecząco głową.

– Raczej nie. Rozmawiałem właśnie z Gregiem, technikiem. Stanowczo to wykluczył.

– Ale jak ktoś może nie mieć cienia?

– Ano właśnie. Jak? – Gasp rozłożył bezradnie ręce.

– Tak czy inaczej, chyba nic tu po nas.

Gasp ponownie obrzucił wzrokiem pomieszczenia.

– Masz rację. Myślałem, że może na coś natrafimy, ale widać nasi technicy odwalili dobrą robotę.

***

Ellen wypiła sok ze świeżo zmiksowanych owoców. Robiła tak każdego ranka. Odstawiła brudną szklankę do zmywarki i odetchnęła. Czuła się trochę dziwnie. Może to efekt wczorajszego wina? Nie sądziła jednak, by jeden kieliszek aż tak zaburzył pracę jej systemu trawiennego. Podeszła do wysokiego okna z pionowymi kremowymi żaluzjami, ustawionymi tak, by jak najwięcej światła wpadało do pokoju. Spojrzała na białą czapę przykrywającą szczelnie praktycznie cały Central Park. Wschodzące jasne słońce dźwignęło właśnie swój krąg ponad linię drzew, jego światło padało wprost na Ellen. Cień wypełzł spod jej stóp i zaczął powoli się powiększać. Mimo iż była zima, słaby dotyk słonecznych promieni gładził delikatnym ciepłem jej twarz. Nagle poczuła dziwne szarpnięcie wewnątrz ciała, jakby ktoś od środka pociągnął ją jednocześnie mocno i zdecydowanie. *Może trzeba było napić się samej wody?* – pomyślała. Kolejne szarpnięcie było o wiele mocniejsze. Poczuła strach. Odwróciła głowę, szukając wzrokiem komórki; leżała na szafce obok łóżka. Kątem oka dojrzała coś dziwnego. Spojrzała na podłogę. Na powierzchni jej cienia zaczęły pojawiać się jaśniejsze prześwity. Przerażona spojrzała na swoje ciało, ale nic się z nim nie działo. Zwróciła wzrok z powrotem na cień i z rosnącą zgrozą zaczęła uświadamiać sobie, że to nie jej ciało, ale jej własny cień w jakiś nieprawdopodobny sposób zdawał się pękać na kawałki.

– To przecież niemożliwe – wymamrotała.

Do jej uszu dotarły nieokreślone szepty. Nie mogła rozpoznać słów, ale była pewna, że ktoś coś mówił; szybko, ze świstem, z podnieceniem. Po chwili dźwięki te zwielokrotniły się, stały się bardziej niecierpliwie i natarczywe zarazem. Jakby w mieszkaniu zebrał się spory tłum wymieniający między sobą krótkie uwagi.

Ellen zrobiła krok w tył, odwracając się do wyjścia. W jej głowie panował chaos, niezrozumiałe strzępki szeptów krążyły wokół niczym stado wygłodniałych kruków. Kolejne uderzenie bólu szarpnęło jej trzewiami. Tym razem był jeszcze mocniejszy. Skrzywiła się i ruszyła w stronę drzwi. Jej cień pękał coraz wyraźniej. Prześwity powiększały się z każdą sekundą. Ciało raz po raz przeszywały krótkie spazmy bólu. Ich umiejscowienie zdawało się przebiegać dokładnie tam, gdzie widniały tworzące się na cieniu pęknięcia. Panika rosła w niej z każdym uderzeniem serca. Szepty narastały. Miała wrażenie, że do tłumu dołączały coraz to nowe głosy. Przez krótki jak błysk płomienia moment zdawało się jej, że poczuła swąd spalenizny. Obrzuciła szybkim spojrzeniem mieszkanie, ale nie zauważyła niczego podejrzanego. Żadnego dymu czy ognia. Zresztą wszędzie były rozmieszczone czujki

przeciwpożarowe. Niemożliwe, by wszystkie uległy uszkodzeniu. Szepty stały się głośniejsze. Pojawiła się w nich napierająca na nią coraz mocniej napastliwość. Rzuciła się w kierunku drzwi, czując przemożną chęć do nagłej ucieczki z tego miejsca. W głowie dudniły jej głosy. Cień rozwarstwił się, spękaliny powiększyły, a krawędzie drgały, jak gdyby lada chwila całość miała się rozpaść. Ból raz po raz porażał jej ciało, tnąc je na coraz mniejsze fragmenty. Złapała za klamkę i szarpnęła nią. Drzwi otworzyły się z rozmachem. Ellen wybiegła na korytarz. Skierowała się prosto na schody, z których nigdy wcześniej nie korzystała. Myśl o tym, by czekać teraz na windę wydała jej się wręcz idiotyczna. Pchnęła skrzydłowe drzwi i puściła się pędem w dół. Poszarpany cień skakał tuż za nią po stopniach. Biegła, przeskakując po dwa schody naraz. Irracjonalny strach zmuszał ją do ucieczki przed… No właśnie! Nawet nie wiedziała tak na dobrą sprawę, przed czym ucieka! Nagle potknęła się. W ostatnim momencie zdołała chwycić ręką poręcz, ratując się tym samym przed upadkiem. Dźwignęła się w górę. Szepty huczały w jej głowie jak rój wściekłych os. Poczuła, jak coś ściska ją mocno w środku, a zaraz potem wyślizguje się z niej raptownie. Biegła dalej. Dotarła do holu i wypadła prosto na ruchliwą ulicę. Drobinki śniegu wirowały w powietrzu, twarde i mroźne. Z jej ust przy każdym wydechu wydobywała się struga pary. I wtedy zorientowała się, że w miejscu, gdzie powinien znajdować się jej cień, nie było już niczego. Jedynie biel podeptanego, brudnego śniegu. Okręciła się wokół własnej osi. Cienia nie było.

– Ukradli mi go – wyszeptała przerażona. – Naprawdę mi go ukradli.

***

Gasp i Irvin zjawili się przy zachodniej części Central Parku kilkanaście minut po zgłoszeniu. Blade ciało młodej kobiety wyglądało jak rzucona na śnieg lalka, z której wypuszczono powietrze. Skóra w wielu miejscach się zapadła, groteskowo załamując rysy twarzy.

– Dobra, co tym razem mamy? – Gasp zwrócił się do szefa grupy technicznej.

– Z dużym, nieomalże stuprocentowym prawdopodobieństwem dokładnie to samo, co w poprzednim przypadku – odparł flegmatycznie mężczyzna. – Wielonarządowa niewydolność.

– Czyli całkowity rozkład bebechów – mruknął Irvin. – Przyczyna zapewne nieznana?

– I tak, i nie. Jej narządy spaliły się na popiół. Pozostała z nich tylko czarna, tłusta maź.

– Obrzydliwość. – Irvinem wstrząsnęło.

Technik wzruszył jedynie ramionami.

– Gasp! Gasp, to ty!? – posłyszeli czyjeś wołanie.

Detektyw odwrócił się w stronę gapiów, stojących za policyjną żółtą taśmą.

– Mark? – zdziwił się, widząc w tłumie znajomą twarz.

Podszedł bliżej. Podali sobie ręce na przywitanie.

– Chodź. – Gasp podniósł w górę taśmę, przepuszczając dawno niewidzianego kolegę. – Co tutaj robisz?

– Kilka tygodni temu przeprowadziłem się do Nowego Jorku. Pracuję w jednym z tutejszych banków. Szedłem właśnie do pracy, kiedy zobaczyłem tę kobietę. – Mark wskazał głową na ciało. – Biegła jak opętana. Jakby gonił ją sam szatan.

– Może i gonił – powiedział bardziej do siebie detektyw.

– Co mówisz?

– Nie, nic.

– A co u ciebie? – zagaił Mark.

– W porządku.

– A Christine? Dorobiliście się już gromadki niesfornych Gaspątek?

Detektyw skrzywił się na wspomnienie nieudanego małżeństwa.

– Nie wyszło nam.

– Rozwód?

Zapytany skinął głową w milczeniu.

– Cóż, bywa – skwitował kumpel.

– Słuchaj, mówisz, że widziałeś tę kobietę, jak biegła, tak?

– Zgadza się.

– Mówiła coś? Krzyczała? Może ktoś ją gonił?

– Nie, nic z tych rzeczy. – Mark potrząsnął głową. – To znaczy nie widziałem, żeby ktoś ją gonił. Za to krzyczała coś o cieniu, ale nie zrozumiałem jej. Szkoda dziewczyny.

– Szkoda – zgodził się Gasp.

Stali przez chwilę w milczeniu.

– Dobra. – Detektyw wyciągnął dłoń na pożegnanie. – Przepraszam cię, ale mam tutaj sporo roboty.

– Jasne. Nie ma sprawy. Masz moją wizytówkę. Zadzwoń. Może któregoś dnia wyskoczymy na jakieś piwko?

– Chętnie. Dzięki. Trzymaj się. – Gasp ruszył w kierunku ekipy krzątającej się nadal wokół ciała.

– Gasp! – zawołał za nim Mark. – Raz chyba krzyknęła też coś o ogniu, ale mogłem się przesłyszeć.

Detektyw podziękował skinieniem głowy.

***

Gasp stał tuż za plecami siedzącego Roba, a Irvin spoczął niedbale przy biurku zarzuconym papierami. Rob cierpliwie stukał palcami w klawiaturę, wyszukując dane w policyjnej bazie.

– Ellen Glabell pięć lat temu została uratowana z pożaru – przeczytał z ekranu.

– Podobno tuż przed śmiercią mówiła coś o ogniu – przypomniał Gasp.

– I co z tego? – prychnął Irvin, bawiąc się srebrnym długopisem. – Jak jedno może mieć cokolwiek wspólnego z drugim?

– Też chciałbym to wiedzieć – odparł detektyw.

– Jest jeszcze coś – dodał Rob. – Sprawdziłem także pierwszą z ofiar. Tego faceta, który wpadł prosto na naszych.

– Eda Reemzee? – podpowiedział Irvin.

– Tak. I okazało się, że on także wymknął się żywiołowi płomieni.

– To był ten sam pożar, z którego uratowano Ellen? – zdziwił się.

– Nie. To było ponad dziesięć lat temu. Pożar domu rodzinnego w Kalifornii. Zginęła cała jego rodzina, ojciec, matka i młodszy brat Willy, który miał wtedy siedem lat. Ed – jedenaście.

– Czyli, jak na razie, obie nasze ofiary łączy to, że udało im się przeżyć pożar – podsumował Irvin.

– Na to wychodzi – zgodził się Rob.

– Ale to przecież nie ma sensu – stwierdził z irytacją Irvin.

– Może tylko tak nam się wydaje? – myślał na głos Gasp. – Mam wrażenie, że brak nam pewnej bardzo istotnej części tej całej zagmatwanej układanki.

– Tak. Mordercy. – Irvin upuścił długopis na podłogę i schylił się, aby go podnieść.

Gasp westchnął i zapatrzył się w okno.

– Musi coś być. Coś co nam umyka.

– No wiadomo. Morderca.

***

Dwa dni później, Gasp i Irvin zmierzali samochodem w kierunku Staten Island. Irvin włączył właśnie koguty wraz z niebiesko-czerwonymi światłami, które natychmiast zaczęły omiatać ściany domów. Na szczęście prognozy nie sprawdziły się i zapowiadana dwa dni wcześniej śnieżyca ominęła miasto. Mróz w końcu odpuścił. Spowodowało to jednak, że zaczął padać śnieg. Grube, miękkie płatki wirowały w powietrzu, przyklejając się do samochodowych szyb i twarzy przechodniów. Było już późne popołudnie, a niebo wyglądało jak zapowiedź tragedii.

W ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin w identyczny sposób zginęły kolejne dwie osoby; Melinda Fourth – czterdziestotrzyletnia kelnerka, oraz Ethan Sibern – pięćdziesięcioletni pracownik biura nieruchomości. Jak sprawdzili w policyjnej bazie, wszyscy oni uratowali się kiedyś z pożaru. Teraz jechali do trzeciej ofiary, młodej kobiety.

Irvin prowadził, a Gasp szukał informacji na temat miejsca, w którym doszło do zdarzenia. Po raz pierwszy śmierć miała miejsce bezpośrednio w domu. I to w jakim domu! W XIX-wiecznej rezydencji Kreischera. Gasp słyszał krążące o tym miejscu opowieści, choć nigdy nie miał okazji go zwiedzić. Budowla nazywała się Queen Anne i została wzniesiona w roku 1885 przez niemieckiego emigranta, Balthazara Kreischera, który dorobił się majątku na produkcji cegieł. Do Stanów przybył 4 lipca 1836. Ze swoim pomysłem trafił wręcz idealnie. Nowy Jork wciąż walczył ze skutkami wielkiego pożaru, który wybuchł 16 grudnia 1835 roku, trawiąc wiele drewnianych budynków. W związku z tym było całkiem spore zapotrzebowanie na tego typu budulec. W swoim najlepszym czasie firma Kreischera zatrudniała przeszło trzystu pracowników i produkowała ponad trzy i pół miliona cegieł rocznie. Sam Kreischer ożenił się z Caroline Haenchmen i spłodził z nią w sumie siedmioro dzieci.

W okresie prosperity Kreischer wybudował dwie takie same rezydencje. W jednej zamieszkał on sam z rodziną, w drugiej jego syn, Charlie. Niestety, rodzinne niesnaski spowodowały, że pokłócili się i niedługo potem dom, w którym mieszkał Charlie, spłonął wraz z nim i jego piękną żoną. Jakby tego było mało, w roku 1886 młodszy z synów Baltazara, Edward, został znaleziony martwy niedaleko rodzinnej fabryki z kulą w głowie. Podejrzewano samobójstwo w związku z problemami zarówno rodzinnymi, jak i w interesach. Miał jedynie czterdzieści trzy lata.

Aktualnie rezydencja Kreischerów nie była przez nikogo zamieszkana. Opiekował się nią pięćdziesięciosiedmioletni Jacob Gerrys. Ciekawostką było to, że wielu poszukiwaczy sensacji uznawało dom za nawiedzony. Podobno słychać tam było stukania w szafach, w których zamykano niegdyś niegrzeczne dzieci. Widziano także zjawę krzyczącej kobiety oraz ducha samego Charlesa i jego żony.

Gasp niespecjalnie wierzył w tego typu zjawiska nadprzyrodzone, ale z drugiej strony uważał, że coś w tym wszystkim musi być. Po zaznajomieniu się z historią rodziny Kreischerów streścił ją Irvinowi.

– Duch, nie duch, trzeba to w końcu zakończyć – skwitował prosto Irvin.

Po niespełna dwudziestu minutach lawirowania w korkach pomiędzy autami i przeprawie przez Outerbridge Crossing, znaleźli się na Arthur Kill Road. Wkrótce dojrzeli rezydencję Kreischerów, wznoszącą się na lekkim pagórku, powyżej poziomu ulicy. Skręcili w prawo i minęli otwartą, kutą z żelaznych prętów bramę.

Budynek był typowym przykładem późnowiktoriańskiej, asymetrycznej budowli. W oczy rzucał się przede wszystkim nieco pokraczny kształt całości z wieloma różnymi elementami; okazała weranda z balustradami, narożna boczna wieżyczka, ostre, skośne dachy i dwa dość wysokie kominy. Smukłe, prostokątne okna spoglądały na świat ze smutkiem. Śnieg powoli przestawał padać.

Irvin zatrzymał wóz tuż przed schodkami prowadzącymi na szeroki ganek otaczający front budynku. Parterową część elewacji pomalowano na zgniłozielony kolor. Górną na coś, co przypominało przykurzoną żółć. Szare łaty dachu wyłaniające się tu i ówdzie spod śniegu dopełniały kolorystycznego galimatiasu, który w jakiś przedziwny sposób łączył się w jako taką całość. Z tyłu, za budynkiem widać było szpaler bezlistnych, ośnieżonych drzew.

Dozorca już na nich czekał. Był szczupłym mężczyzną o niespokojnym spojrzeniu i lekko opadającym lewym kąciku ust. *Pewnie pozostałość po udarze*, pomyślał Gasp.

Kiedy tylko ich dojrzał, ruszył w ich kierunku. Widać było, że delikatnie powłóczy lewą nogą. Podali sobie ręce na przywitanie i przedstawili się.

– Co się tutaj stało? – zapytał od razu Gasp.

– Nie żyje – odparł krótko tamten. – Jak wiecie, jestem tutejszym opiekunem. – Ruszył w kierunku domu, a Gasp i Irvin za nim. – Nie chciałem jej wpuszczać, ale nalegała. Mówiła, że pisze ważny artykuł o nawiedzonych domach. A wiadomo, że rezydencja Kreischerów za taki właśnie uchodzi. Ja nigdy żadnego ducha nie spotkałem, ale i też nie pracuję tutaj zbyt długo. Raptem od jesieni. – Wspięli się po schodkach i weszli do ciemnego, przestronnego holu. Mimo zimna panującego na zewnątrz, tutaj było przytulnie ciepło

i sucho. Widać budynek był ogrzewany. Jacob włączył światło. – Raz tylko zdawało mi się, że coś słyszałem. Chyba głos kobiety. Innym razem coś gdzieś stukało. Ale to przecież stary dom. A takie domy są jak starzy ludzie. Tu strzyka, tam skrzypi. – Zrobił krótką pauzę. – Pytała mnie o historię rezydencji, kiedy nagle w pewnym momencie zamilkła i spojrzała na mnie z przestrachem. Zapytałem, co się dzieje, a ona na to: Czy nie słyszy pan tych głosów? Nie wiedziałem, o co jej chodzi. Chciała chyba uciec, ale nim zrobiła dwa kroki, jej ciało… – przerwał i głośno przełknął ślinę. Jego twarz była blada i nabrała nieprzyjemnej woskowej poświaty. Pojawiły się na niej kropelki potu. – Potem padła na ziemię i... – Spojrzał na policjantów. – Leży tam. – Wskazał palcem półotwarte drzwi prowadzące do salonu. – Nie chcę tam wchodzić.

– W porządku. – Gasp uspokajającym gestem położył mu dłoń na ramieniu. – Proszę tutaj zaczekać.

– Będę na zewnątrz – Jacob odwrócił się i wyszedł.

Gasp wspólnie z Irvinem weszli do środka. Przestronne wnętrze tchnęło lepką i ciężką ciemnością, która przysiadła na meblach i wypełniła wszystkie kąty. Gasp poszukał włącznika i stuknął w niego otwartą dłonią. Ogromny żyrandol rozbłysnął złotawym światłem, spychając ciemność w głębsze rejony. Obok okna stało wysokie lustro, za którym tkwiła typowa jak na XIX wiek szafa. Na przeciwległej ścianie umieszczono kominek obramowany rzeźbionymi panelami z drewna, pusty w tej chwili i ciemny. Wzorzysty niegdyś dywan teraz był wyblakły i zupełnie bez wyrazu.

Ciało kobiety leżało pośrodku pokoju. Tak jak wszystkie poprzednie wyglądało jak lalka, z której spuszczono powietrze. Twarz zapadła się do środka, tworząc przerażająco wykrzywioną maskę.

Irvin przyklęknął i przeszukał zwłoki. Po chwili znalazł dokumenty.

– Chloe Wooding – przeczytał. – Lat dwadzieścia cztery. Studentka dziennikarstwa.

Spojrzał na Gaspa.

Nagle żyrandol zamigotał i przygasł. W pokoju zrobiło się wyczuwalnie cieplej, jakby ktoś rozpalił właśnie ogień w nieużywanym od lat kominku. Do uszu mężczyzn dotarły głosy, gdzieś za ich plecami przetoczył się kobiecy śmiech. Chwilę później na krótko zabrzmiał szloch młodej kobiety. Wokół nich powietrze poruszyło się nagle, jak gdyby ktoś niewidzialny przebiegł tuż obok. Spojrzeli po sobie i obaj automatycznie sięgnęli po broń.

– Jeżeli to prawdziwe duchy, to na nic zdadzą nam się te pukawki – stwierdził Irvin.

Nagle niedaleko zwłok zaczęło wirować kilka cieni. Można było odnieść wrażenie, że skrawki mroku zbierają się wokół centralnego punktu, by po kilkunastu sekundach przybrać nieostry kształt ludzkiej sylwetki. Policjanci odsunęli się pod okno.

– Przyszliście mi ich odebrać? – Głęboki głos zdawał się dochodzić z przepaści. – Nie pozwolę wam na to!

– Kim jesteś, do cholery!? – wysapał Gasp, czując ciarki na plecach.

– Przychodzisz nieproszony do mego domu i pytasz się, kim jest jego gospodarz!?

– Kreischer? Baltazar Kreischer?

Postać zachichotała.

– Nie. Jestem jego synem, Charlesem. A ci, których wybrałem, to moi bracia i siostry.

– Jacy bracia? O kim ty mówisz?

– Bracia i siostry płomienia. Wszyscy jesteśmy związani tym, że wybrał nas ogień.

Gasp i Irvin zerknęli po sobie.

– To ty zabrałeś ich cień? – Irvin zdawał sobie sprawę z irracjonalności tego pytania, ale nie mógł się powstrzymać.

– Martwi nie mają cienia – powiedziała cicho postać złożona z fragmentów niespokojnego mroku. – Ale cień tych, którzy zostali naznaczeni płomieniami, zawsze ma zapach ognia.

– Chwila! – Irvin wycelował palec w zjawę – Chcesz powiedzieć, że tropisz tych, którym udało się uniknąć śmierci w pożarze?

Zapytany milczał przez dłuższą chwilę. Cienie tańczyły nieustannie, kreśląc brzegi postaci.

– Wszyscy oni należą do mojej rodziny.

– Jak to… – Gasp zmarszczył brwi. – Do twojej rodziny?

– To moi potomkowie. Krew z krwi i kość z kości.

– Ale… dlaczego? – zapytał Irvin. – Przecież nic ci nie zrobili.

– Głupcze! Potrzebuję ich! Zniszczę to miasto, tak jak ono zniszczyło mnie! – powiedział powoli Charles.

– Naprawdę? – Głos Irvina był lekko ironiczny. – I co takiego masz zamiar zrobić? Spalić je!?

Odpowiedziała im cisza.

– Do cholery! – chrząknął Gasp. – On chyba naprawdę zamierza to zrobić.

– Każda zabrana przeze mnie dusza będzie jednym zarzewiem. Nie opanujecie tego!

Powietrze w pokoju zafalowało upalną ciemnością. Dał się wyczuć swąd dymu.

– Gasp. – Irvin zniżył głos do szeptu. – Musimy spalić tę pieprzoną chałupę. To chyba jedyne wyjście.

Detektyw skinął głową. Wyjął paczkę z papierosami i sięgnął po zapalniczkę. Złoty płomyk niewinnie zatańczył w powietrzu.

– Chyba trochę pokrzyżujemy ci plany – powiedział Gasp, przypalając papierosa.

Następnie odwrócił się spokojnie do okna i przytknął płomień do zasłon. Były stare i wysuszone. Zajęły się w okamgnieniu. Potem skierował się do drugiego okna.

– Co robisz!? – syknął cień.

– Nie wiesz? Mam zamiar spalić twoją chałupę, zanim ty spalisz nasze.

Wokół niespokojnie falującej sylwetki Charlesa pojawiły się inne. Rozległy się dziesiątki zaniepokojonych szeptów.

– Nie pozwolę ci! – zawył Charles.

Z jego sylwetki wystrzeliła ciemna dłoń. Uderzyła na oślep, z dobry metr od Gaspa.

Irvin nagle zdał sobie sprawę z czegoś bardzo ważnego.

– Nie widzisz nas, prawda? – powiedział. – Jesteś ślepcem, który nie może się ruszyć z tego miejsca i jedyne, co jest w stanie zrobić, to wywęszyć dusze naznaczone płomieniem. Ale ani ja, ani mój kumpel nigdy nie musieliśmy uciekać przed ogniem.

Cień zacharczał. Szepty podniosły się do głosów; niezrozumiałych, zniecierpliwionych i złych.

– Być może właśnie dziś będzie pierwszy raz. – Gasp mrugnął do Irvina.

Wspólnie przeszli pomieszczenia znajdujące się na parterze, podkładając ogień wszędzie tam, gdzie tylko się dało. Potem wyszli na zewnątrz. Jacob patrzył na nich ze zgrozą. Czerwone języki lubieżnie lizały od wewnątrz szyby okien. Dom z sekundy na sekundę trawiło coraz więcej płomieni. Zdawało się, że budowla złakniona była ognia, nie mniej niż sam ogień spragniony był smaku jej drewna.

Stali we trójkę w bezpiecznej odległości i spoglądali w milczeniu na złocisto--czerwone widowisko. W kilku miejscach buchające w górę płomienie zaczęły przebijać się przez dach. Posłyszeli rumor spadającej belki podporowej, na który nałożyło się potępieńcze wycie cieni. Dach runął w dół, w górę zaś wzbiły się fontanny jasnych iskier. W miejscu, gdzie Gasp i Irvin rozmawiali z cieniową zjawą, dojrzeli kilkanaście cieni, wokół których wirowały błękitno-białe płomienie. Były węższe, dłuższe oraz zakończone niezwykle ostro. I o wiele bardziej intensywne. Cienie dosłownie topniały w ich jasnym blasku, od którego trzeba było mrużyć oczy. Szaleńczy żywioł pożerał ich dusze, smakując je łapczywie.

***

Z oddali dobiegało wycie licznych syren wozów strażackich. Zgliszcza nawiedzonej rezydencji godziły w niebo poczerniałymi kikutami drewnianych podpór i resztek kolumn. Części spalonej balustrady przywodziły na myśl połamane kości giganta. Gryzący czarny dym powoli rozwiewał się w zimowym powietrzu. W wielu miejscach jeszcze unosiły się jego ciemnosiwe wstęgi. Gasp spojrzał pod nogi. Przed czubkiem jego buta tkwiła cegła z nazwiskiem dawnego potentata: KREISCHER.

Zaczął padać śnieg.

Nie wystarczy przejść, aby uwierzyć.
Trzeba uwierzyć, aby móc przejść!

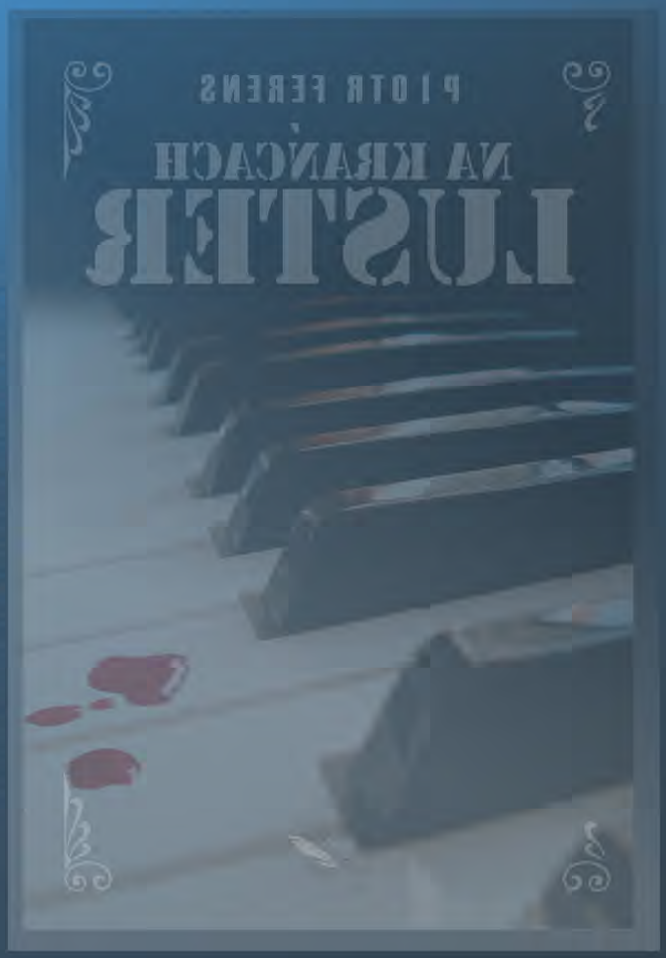

Daniel Naderski przybywa do Paryża na wezwanie notariusza Kamila Kuntza w związku ze śmiercią swojego przyjaciela, światowej sławy pianisty, Augusto Sentire. Dowiaduje się także o tajemniczym zniknięciu jego żony Elizabeth, o które oskarżony zostaje ich wieloletni przyjaciel - Christopher Audri. Prywatne śledztwo, które podejmuje wraz z dziennikarką Arnette Terratess, okazuje się nie lada wyzwaniem, pełnym przygód i niebezpieczeństw. Nikt nawet nie przypuszcza, że w całej historii najważniejszą rolę odgrywa przeszłość, a tuż za srebrnymi taflami luster kryją się prawdy zdecydowanie bardziej przerażające od najbardziej ponurej rzeczywistości.

Zaczytaj się w historii, która powiedzie Cię tajemnymi ścieżkami, prowadzącymi na krańce lustrzanych światów. Tylko od ciebie zależy, czy sięgniesz po nią, by wyruszyć w podróż ku ich przekroczeniu.

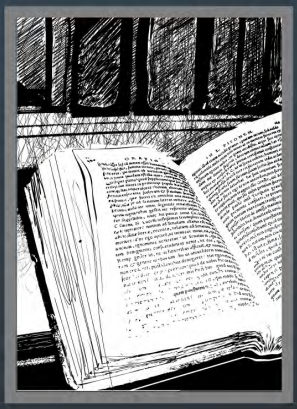

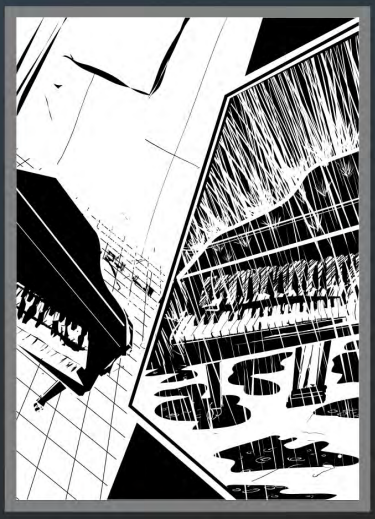

polakpotrafi.pl/projekt/kochanka-szamoty
fb.com/szamoty
szamota.sfau.pl

KOCHANKA SZAMOTY

Rozpoczynamy pracę nad ekranizacją najsłynniejszego opowiadania Stefana Grabińskiego.

Polub nas na Facebooku, obejrzyj teaser, a jeśli Ci się spodoba, wesprzyj nas na PolakPotrafi.pl

Liczymy na Twoją pomoc.

EKRAN!! 16 MILIMETRÓW BLAGERS butcher's films HISTERIA

rys. Roman Panasiuk

KOCHANKA SZAMOTY

Stefan Grabiński

Od sześciu dni chodzę pijany szczęściem i nie śmiem w nie uwierzyć. Od sześciu dni wstąpiłem w nowy okres życia, odcinający się od tego, co poprzedziło, tak silną linią, że zdaje mi się, iż przeżywam jakiś olbrzymi kataklizm. Otrzymałem list od niej...

Od czasu jej wyjazdu za granicę przed rokiem, gdzieś w stronę nieznaną – ten pierwszy, cudowny znak od niej... Nie mogę, naprawdę nie mogę dać wiary! Omdleję ze szczęścia!

List od niej do mnie! Do mnie, nieznanego jej zupełnie, skromnego wielbiciela z oddali, z którym jej nigdy przedtem nie łączyły towarzyskie stosunki, choćby przelotna znajomość! A jednak tak jest istotnie. Noszę go wciąż przy sobie, nie rozstaję się z nim na chwilę. Adres wyraźny, niepodlegający wątpliwości: Jerzy Szamota. To przecież ja. Dawałem kopertę do odczytania kilku znajomym, nie dowierzając własnym oczom; każdy patrzył na mnie nieco zdumiony, uśmiechał się i zapewniał, że adres czytelny i podaje moje nazwisko...

Więc wraca do kraju, wraca już za dni parę, a pierwszym, który ją powita na progu jej domu, będę ja – ja, który ledwo śmiałem podnieść na nią oczy pijane uwielbieniem, podczas przypadkowych spotkań w miejscach publicznych, w jakiejś alei parkowej, w teatrze, na koncercie...

Gdybym przynajmniej mógł się poszczycić dawniej jednym spojrzeniem, jakimś przelotnym uśmiechem jej dumnych warg – lecz nie! Zdawała się mnie zupełnie nie dostrzegać. Aż do tej chwili byłem pewny, że nic nie wie w ogóle o moim istnieniu. Chyba nie zauważyła, jak wlokłem się za nią od lat, niby cień daleki, nieśmiały? Byłem tak dyskretny, tak mało natrętny! Tęsknota moja okrążała ją przecież tak odległym, tak delikatnym promieniem. Więc chyba wyczuła mnie – wyczuła miłość moją i uwielbienie pokorne, bez granic – instynktem wrażliwej kobiety. Niewidzialne nerwy sympatii, rozpięte między nami od lat, spotężniały znać na odległość i teraz ją niewolą w moją stronę.

O, bądź mi pozdrowiona, najpiękniejsza Ty moja! Oto dzień mi się kłoni pod wieczorną godzinę w rozblaskach jasny, pogodny, i pieśń moją nucę z podniesionym czołem, w łaskę Twą bogaty – Pani moja przedziwna!...

Dzisiaj już czwartek. Pojutrze o tej samej zachodu godzinie mam ją ujrzeć. Nie wcześniej. Taka jej wyraźna wola. Biorę do ręki jej list, tę bezcenną koloru lila ćwiartkę papieru, z której ulatnia się subtelna woń heliotropu, i odczytuję po raz nie wiem który:

„Drogi! Zajdź w sobotę, 26 koło 6 wieczorem do domu przy ul. Zielonej l. 8. Furtę od ogrodu znajdziesz otwartą. Oczekuję cię. Niech się spełni tęsknota lat wielu. Twoja Jadwiga Kalergis”

Dom przy ul. Zielonej 8! Jej willa! Willa „Pod Lipami”! Wspaniały, w stylu średniowiecznym pałacyk pośród pysznego parku, odcięty od ulicy gęstą drucianą siatką i lasem drzew, cel mych codziennych niemal przechadzek! Ileż to razy zakradałem się wieczorną porą w okolicę tego zacisza, z bijącym sercem wypatrując cień jej postaci na szybach okien!...

Zniecierpliwiony wyczekiwaniem upragnionej soboty, byłem tam już parę razy i próbowałem wejść; lecz zawsze zastawałem furtkę parkową zamkniętą: klamka ustępowała wprawdzie pod naciskiem ręki, lecz zamek nie odskakiwał. Widocznie dotąd nie wróciła. Należy być cierpliwym i zaczekać tych dni półtora. Jestem zdenerwowany do ostatnich granic, nie jem, nie śpię, tylko liczę godziny, minuty... Tyle ich jeszcze zostaje! Czterdzieści osiem godzin!... Jutro dzień cały spędzę na rzece pod jej parkiem; wynajmę łódkę i bez przerwy krążyć będę koło willi. W sobotę spędzę cały ranek i część popołudnia na dworcu; muszę ją powitać choćby z daleka. Że dotąd nie wróciła, wiem na pewno od sąsiadów, którzy

jej od roku już nie widzieli. Zapewne odkłada przyjazd aż na 26 września, tj. na dzień naznaczonej mi wizyty. Doprawdy, boję się, czy nie przyjdę nie w porę; po takiej podróży będzie bardzo znużona...

W sobotę rano, tj. wczoraj, nie spotkałem jej na dworcu; tłum był ogromny i nie zdołałem jej dostrzec wśród tysiąca podróżnych. Zaczekałem do czwartej po południu na drugi pociąg z podobnym wynikiem. Czyżby nie przyjechała? A może przybyła pociągiem porannym i jest już u siebie? W każdym razie należało tam pójść i przekonać się.

Te dwie godziny, dzielące mię od niej, stały się nieznośnym pasmem udręczeń, których końca nie mogłem się doczekać. Wstąpiwszy do kawiarni, wypiłem ogromną ilość czarnej kawy, wypaliłem mnóstwo papierosów i nie mogąc usiedzieć na miejscu, wybiegłem z powrotem na ulicę. Przechodząc koło wystawy ogrodniczej, przypomniałem sobie zamówione na dzisiaj kwiaty.

– Co za roztargnienie! Byłbym zupełnie zapomniał!

Wszedłem do sklepu i odebrałem bukiet pąsowych róż i azalij. Świeżo ścięte kwiaty wychylały wonne pąki z kołnierza paproci i chwiały się lekko w podmuchach wieczornych. Na zegarach miejskich dochodziły trzy kwadranse na szóstą.

Owinąłem bukiet w bibułkę i szybko odszedłem w stronę rzeki. Za parę minut byłem już po tamtej stronie mostu i nerwowym krokiem zbliżałem się do willi. Serce biło mi gwałtownie, nogi uginały się pode mną. Nareszcie dotarłem do furty i nacisnąłem klamkę: ustąpiła. Olśniony szczęściem, oparłem się na chwilę o siatkę parkową, nie mogąc opanować wzruszenia. Więc wróciła!

Minęło parę długich minut. Błędny wzrok mój przesuwał się po rzędach lip, które, rozmieszczone po obu stronach chodnika, szły wyciągniętym szpalerem pod portal wchodowy. Gdzieś z boku, spoza krzewów morwy i dereniu przeglądał szkielet jesiennej altany w opłączach wina; czerwone liście spływały po kratkach w bezładnych przeplotach ze zwiędłym już bluszczem...

Na klombach kwiaty jesieni: pierzaste astry i chryzantemy przedziwne. Na ścieżki zapuszczone trawą i zielskiem spadały cicho zżółkłe liście kasztanów, dżdżyły smutno ceglaste liście klonów. Pod wyschłą cysterną z marmuru krwawiły georginie, mieniły się barwami tęczy duże szklane banie... Tam, w otoczu ligustru, na ławce kamiennej, przykrytej kobiercem igliwia, siedziały dwa czyże, nucąc piosenkę odlotu. W dalekiej perspektywie alej snuło się pod zorzę zachodu srebrne przędziwo pajęczyn...

Pchnąłem oburącz przymknięte tylko wierzeje wchodowe i po kręconych schodach wszedłem na pierwsze piętro. Zastanowił brak życia. Pałac wyglądał jak wymarły; nikt nie

wyszedł naprzeciw, nigdzie śladu służby lub domowników. Olbrzymie roztruchany lamp elektrycznych oświetlały jasnym, oślepiająco jasnym światłem puste sale i krużganki...

W przedpokoju, otwartym gościnnie na spotkanie, przykro uderzył widok niezajętych wieszadeł; gładkie metalowe ich gałki lśniły zimnym refleksem wygładzonej miedzi. Zdjąłem palto. Przez otwarte wielkie gotyckie okno wpłynął w tej chwili dźwięk miejskich zegarów: biła szósta...

Zapukałem do drzwi pokoju naprzeciw. Z wnętrza nie odpowiedziano. Ogarnęło mię zakłopotanie. Co robić? Wejść bez pozwolenia? Może śpi, znużona podróżą?

Wtem drzwi otworzyły się i w progu ukazała się ona. Spod królewskiego diademu jej włosów barwy kasztanu patrzyły na mnie oczy głębokie, dumne i słodkie zarazem. Klasyczną głowę, godną dłuta Polikleta, zdobił naczółek wysadzany szmaragdami. Miękki śnieżnobiały peplos otulał jej postać pełną i dojrzałą, spływając w harmonijnych falach do stóp w antycznych ciżmach. Juno stolata!

Pochyliłem czoło przed jej majestatem. A ona, cofnąwszy się w głąb, przepuściła mię gestem ręki do wnętrza komnaty. Była to wspaniała, z wyrafinowaną stylizacją wytwornie urządzona sypialnia.

Milcząc, usiadła w głębokiej niszy na łożu rzeźbionym w giallo antico.

Ukląkłem na kobiercu u jej nóg i położyłem głowę na jej kolanach. Objęła ją ruchem ciepłym, macierzyńskim i zanurzywszy mi palce we włosy, zaczęła przegarniać je pieszczotliwie. Patrzyliśmy sobie w oczy bez przerwy, nie mogąc nasycić się wzajemnym widokiem. Milczeliśmy. Dotąd nie padło między nami ani jedno słowo. Jak gdybyśmy się bali nieopatrznym dźwiękiem spłoszyć anioła czaru, co spętał i związał nam dusze...

Wtem pochyliła się nade mną i pocałowała w usta. Krew uderzyła mi do głowy tysiącem młotów, świat zakotłował pijanym wirem – straciłem panowanie nad sobą. Porwałem ją gwałtownie na ręce i nie czując oporu, rzuciłem w łoże w miłosnym zapamiętaniu. Ruchem szybkim, nieuchwytnym odpięła z ramienia bursztynową fibulę, odsłaniając przede mną bezcenną pychę swego ciała. I tak posiadłem ją w bólu i tęsknocie bez miary, w upojeniu zmysłów i zachwycie serca, w szale duszy i we krwi pożarze...

Mijały godziny lotem błyskawic, brzemienne szczęściem i krótkie jak jego przebłyski – pełniły się chwile ścigłe niczym wiatry stepu, drogocenne chwile niczym rzadkie perły. Znużeni rozkoszą, zapadaliśmy w jakieś sny cudowne niby rajskie gaje, baśnie czarodziejskie – by cucić się z nich do jeszcze piękniejszej, urodniejszej jawy...

Gdy koło szóstej nad ranem otworzyłem wreszcie ociężałe powieki i spojrzałem wkoło siebie przytomnie, Jadwigi już przy mnie nie było.

Ubrałem się szybko i przeczekawszy na próżno całą godzinę, powróciłem do siebie. Czuję zawrót w głowie, żar w żyłach. Muszę mieć gorączkę, bo wargi mam spękane i dziwną gorycz w ustach. Idąc, potykam się o sprzęty i zataczam jak nieprzytomny. Widzę świat jak przez mgłę – rozkoszny woal upojenia...

Nazajutrz po powrocie z redakcji znalazłem na biurku list od Jadwigi, w którym naznaczała mi najbliższą schadzkę u siebie za tydzień, tj. znów w sobotę wieczorem. Termin wydał mi się za daleki: wybrałem się do willi „Pod Lipami" już we wtorek po południu. Lecz furtka była zamknięta. Rozgniewany, obszedłem pałacyk parę razy w nadziei, że może zobaczę ją gdzieś w parku na jednej z alej. Lecz ścieżki były puste – tylko wiatr jesienny podrywał garście zwiędłych liści i pędził bezlitośnie w długich, smutnych szeregach. Chociaż ściemniło się już zupełnie, w oknach nie ujrzałem świateł – dom głuchy był i ślepy, jakby w nim nikt nie mieszkał. Widocznie spędzała wieczory w jednym z pokoi wychodzących na północ, tj. od strony najmniej dostępnej dla oka przechodniów. Zniechęcony odszedłem...

Ponawiane przez dnie następne próby wydały ten sam wynik. Musiałem z rezygnacją poddać się jej życzeniu i zaczekać do soboty. Dziwiło mię tylko niezmiernie, że przez cały tydzień ani razu nie spotkałem jej gdzieś w mieście, w teatrze lub tramwaju. Znać dawny tryb jej życia uległ zasadniczej zmianie. Jadwiga Kalergis, niegdyś przedmiot codziennego podziwu wielkomiejskich dandysów i donjuanów, królowa balów, koncertów i towarzyskich rozrywek, żyła teraz jak mniszka.

W gruncie rzeczy byłem z tego zadowolony i dumny. Nie posiadam próżnej ambicji tych, którzy lubią drażnić drugich widokiem własnego szczęścia; nie pragnę pysznić się nią przed ludźmi. Przeciwnie – ta tajemniczość, ta ukradkowość naszego stosunku ma urok niewysłowiony. Odi profanum vulgus...

Nareszcie nadszedł dzień upragniony. Przez cały ranek chodziłem jak błędny. Koledzy z redakcji śmiali się ze mnie, utrzymując, że na pewno jestem zakochany.

– Istny wariat z tego Szamoty – wyraził się półgłosem referent teatralny – od jakiegoś czasu sfiksował do reszty. Gadać z nim nie można.

– Podwika! Cherchez la femme! – objaśniał stary jak świat reporter. – Nic innego. Jak Boga mego kocham.

Punktualnie o szóstej wieczorem wszedłem przez uchylone drzwi do jej sypialni. Jadwigi jeszcze nie było. Na stole strojnym w wspaniały serwis dymiła filiżanka czekolady, obok na talerzu piętrzyła się piramida z ciastek, iskrzył się zielony likier.

Usiadłem twarzą do sąsiedniego pokoju i sięgnąłem po cygaro z chryzolitowego pudełka. Wtem wzrok mój padł na ćwiartkę papieru między trzonami trabucco. Poznałem jej pismo; było przeznaczone dla mnie.

„Drogi! Wybacz opóźnienie. Wrócę z miasta za pół godziny. Do miłego widzenia!”

Ucałowałem liścik i ukrywszy go na piersi, wychyliłem wonny odwar. Po pierwszym kieliszku likieru uczułem niby senność. Zapaliłem świeże cygaro, wlepiając machinalnie oczy w błyszczącą naprzeciw na ścianie grecką pawęż z wizerunkiem Meduzy pośrodku. Lśniąca pierś tarczy miała w sobie coś dziwnie przyciągającego, przykuwała wzrok, więziła wolę.

Wkrótce cały skupiłem się w jednym świetlanym punkcie, w miotającym pioruny blasków oku wężowłosej Gorgony. Nie mogłem oderwać się od hipnotyzującego środka. Powoli zapadałem w jakiś szczególny stan. Otoczenie jakby usunęło się na plan dalszy, w nieskończenie odległą perspektywę, a na jego miejsce wstąpił pyszny bogactwem barw, egzotyczny świat baśni, podzwrotnikowa fatamorgana...

Nagle uczułem na szyi parę ciepłych, miękkich ramion, a na ustach słodki, przeciągły pocałunek. Otrząsnąłem się z zapamiętania i spojrzałem przytomnie. Przy mnie stała Jadwiga i uśmiechała się kusząco. Objąłem ją wpół i przycisnąłem do piersi.

– Wybacz – tłumaczyłem się – nie zauważyłem, kiedy weszłaś. Ta tarcza tak dziwnie pęta uwagę.

Odpowiedziała milczącym uśmiechem pobłażania.

Była dziś jeszcze piękniejsza. Posągowa jej uroda, ujęta w ramę greckich szat, tchnęła niepojętym czarem. Spod cudnych brwi patrzyły czarne dumne jej oczy, z tlejącym w głębi żarem pragnienia. O, co za rozkosz rozkołysać te marmurowe piersi falą namiętności, wydrążyć z chłodnego spokoju tę twarz hardej Junony!

Przechyliwszy ją sobie przez ramię, wpiłem w nią głodne spojrzenie, sycąc długą, długą chwilę spragnione oczy bezmiarem jej piękna.

– O jakżeś piękna, przyjaciółko moja, o jakżeś piękna! Gdzie warkocze twoje, jak fiołki wonne warkocze twoje? – pytałem namiętnie, usiłując odgarnąć z jej czoła miękką, przeczyście białą zasłonę, okrywającą dziś szczelnie jej głowę.

– Chcę je popieścić, jak za pierwszym razem – pamiętasz? Rozrzucić ambrozyjskim płaszczem na twych ramionach i całować, całować bez końca. Wszakżeś mi nie broniła pierwszego wieczora? Usuń tę chustę.

Wstrzymała mą rękę łagodnie, lecz stanowczo. Na ustach jej wykwitł tajemniczy uśmiech, i przecząco poruszyła głową.

– Nie można dziś? Dlaczego?

Znów milczenie i ten sam wzbraniający ruch głowy.

– Dlaczego milczysz? Czy wiesz, że dotąd nie zamieniłaś ze mną ani słowa? Przemów do mnie choć słów parę! Chcę głos twój usłyszeć – musi być słodki i metaliczny jak dźwięk szlachetnego kruszcu.

Jadwiga milczała. Jakiś bezgraniczny smutek rozlał się nagle po całej jej twarzy i zmroził chwilę upojenia. Czyżby oniemiała?

Więc przestałem nalegać i w milczeniu już piłem rozkosz boskiego jej dała. Była dziś namiętniejsza niż podczas ostatniej schadzki. Co pewien czas chwytał ją spazm lubieży, oczy zachodziły mgłą omdlenia i bladła śmiertelnie; delikatną, jedwabistą skórę przebiegały krótkie dreszcze, zęby o połysku pereł ścinały się bolesnym kurczem. Wtedy przerażony wypuszczałem ją z objęć i chciałem cucić. Lecz była to tylko chwila: paroksyzm mijał szybko, i nowa fala żądzy młodej, żywiołowej, nieskrępowanej niczym grążyła nas w odmęcie szału...

Rozstaliśmy się późno w noc koło godziny pierwszej. Na pożegnanie przypięła mi do piersi bukiecik fiołków. Podniosłem do ust jej rękę:

– Więc znowu aż za tydzień?

Skinęła w milczeniu głową.

– Niech i tak będzie. Żegnaj mi, carissima!

Wyszedłem.

W przedpokoju podczas wkładania palta nagle przypomniałem sobie papierośnicę, pozostawioną na konsoli. Nie zdejmując tedy okrycia, wróciłem do pokoju po zapomniany przedmiot.

– Przepraszam cię – zacząłem, zwracając się w tę stronę, gdzie pozostawiłem przed chwilą Jadwigę. Lecz rozpoczęty frazes zamarł mi na ustach. Jadwigi w sypialni już nie było. Czyżby już odeszła do przyległego pokoju? Nie słyszałem przecież odgłosu otwieranych wewnątrz drzwi...

– Hm... szczególne – mruknąłem, chowając papierośnicę – szczególne...

I powoli, w zamyśleniu zeszedłem po schodach na ulicę.

Stosunek mój z Jadwigą Kalergis trwa już od paru miesięcy, wciąż okryty zupełną tajemnicą przed światem. Nikt nie przypuszcza, że jestem kochankiem najpiękniejszej kobiety stolicy. Dotąd nikt nas nie spotkał razem w miejscu publicznym. Przypuszczam nawet, że ludzie nic nie wiedzą o jej powrocie do kraju. Takie przynajmniej odbieram wrażenie z przygodnych rozmów w kołach znajomych. Jest to trochę dziwne i wygląda tak, jakby Jadwiga wróciła ukradkiem, nie życząc sobie wcale, by o tym wiedziano. Widocznie ma

w tym jakiś cel ukryty, którego mi jednak nie chce wyjawić. Ja też nie nalegam i umiem zachować dyskrecję.

W ogóle kochanka moja jest kobietą dziwną i lubi otaczać się tajemniczością. Muszę się dopiero przyzwyczaić do jej kaprysów i naginać do ekscentrycznych zwyczajów; niemal co krok natrafiam w jej zachowaniu na coś niewytłumaczonego. Chociaż żyjemy z sobą prawie od pół roku, dotąd nie słyszałem jej głosu. W pierwszych tygodniach pytałem nawet dość natarczywie o powód. W odpowiedzi przychodziły nazajutrz po schadzce listy z prośbą, aby o to nie pytać, aby jej niepotrzebnie nie nękać itp. Ostatecznie dałem za wygraną i przestałem nalegać. Może uległa jakiemu wypadkowi i rzeczywiście straciła zdolność mówienia? Teraz ją to żenuje i zamiast przyznać się do kalectwa może woli pozostawić mnie w wątpliwości co do przyczyny?

Widujemy się wciąż tylko raz na tydzień, i to zawsze w sobotę – w inne dnie mnie nie przyjmuje. I tu muszę nadmienić jeden charakterystyczny szczegół w związku z uwerturą do każdej takiej wizyty.

Nie zawsze zastaję ją po wejściu do pokoju. Czasem muszę czekać przez dłuższy czas, zanim wyjdzie na powitanie. A czyni to za każdym razem tak niepostrzeżenie, tak cicho, że nigdy nie wiem, kiedy i skąd nadeszła. Zwyczajnie staje nagle poza mną i znienacka całuje mnie w szyję. Jest to rozkoszne, słodkie – ale i straszne zarazem. Mam przy tym wrażenie, że nigdy nie jestem wtedy w stanie zupełnie normalnym. Co to takiego, nie umiem określić – może rodzaj lekkiej zadumy czy zachwycenia?

W każdym razie, ilekroć Jadwiga każe czekać na siebie dłużej, odczuwam nieprzepartą chęć wpatrywania się w grecką tarczę vis-a-vis wejścia. Nie wiem, skąd przychodzi mi czasem myśl, że umieszczono ją tam naumyślnie, by zwracała na siebie uwagę wchodzącego i chwytała mu oczy w swe błyszczące kręgi. Kto wie, czy nie ona właśnie jest powodem dziwnego stanu, w który czasem popadam?...

Potem, po owej uwerturze, wszystko toczy się normalnym biegiem – jesteśmy spragnieni siebie, pieścimy się wzajemnie, płatamy nawet sobie dziecięce figle i żarty – lecz początek jest zwykle taki, jak go opisałem – trochę dziwny...

Jeszcze jeden szczegół, z którego niezupełnie jestem zadowolony; właściwie drobnostka, a jednak niepożądana. Jadwiga lubi aż do przesady zakrywać głowę rodzajem greckiego woalu z oślepiająco białej, gęstej tkaniny. Nie cierpię tej zasłony! Gdyby przynajmniej owijała nią tylko włosy i tył głowy – lecz ona kryje nieraz poza nią swe alabastrowe czoło, chowa zazdrośnie przede mną część twarzy, zataja usta, oczy...

Gdy chcę usunąć ten mleczny kwef, widocznie gniewa się i ucieka w głąb pokoju. Co za upór! Lecz podobno piękne kobiety są jak chimery. Trzeba je umieć uszanować. Tymczasem ja nie zawsze mogę się na to zdobyć. Zirytowany ostatnim razem tą trochę wschodnie zwyczaje przypominającą maskaradą, zatrzymałem umykającą mi silnie za ramię. Ruch mój był szorstki i niezgrabny: rozdarłem jej kosztowny, śnieżnobiały peplos, którego duży kawał pozostał mi w ręku. Schowałem go na pamiątkę i noszę ciągle przy sobie...

Onegdaj w sobotę zrobiłem dziwaczne spostrzeżenie. Jak zwykle pod wieczór, wszedłszy do willi, nie zastałem jeszcze Jadwigi w pokoju. Unikając spojrzenia Meduzy na tarczy, poszedłem w kierunku niszy, oddzielonej od reszty sypialni długą białą kotarą, zwisającą do posadzki z mosiężnych wałków. Wtem spostrzegłem, że brzeg jej nosi ślady rozdarcia; mniej więcej w połowie wysokości zasłony szczerzyła się półkolista wyrwa. Machinalnie wziąłem do ręki materię i zacząłem przesuwać ją w palcach. Miękkość i jedwabistość tkaniny nasunęły mi pewne skojarzenia. Odruchowo sięgnąłem do kieszeni i wydobyłem schowany na pamiątkę fragment peplosu. Nagle porównałem kształt jego z rysunkiem wyrwy na kotarze. Jakaś myśl dziwna przyszła mi do głowy. Wydały mi się identyczne. Przyłożyłem kawałek trzymany w ręce do rozdartego brzegu kotary. Szczególne! Odcinek greckiej szaty wypełnił lukę jak najdokładniej! Jak gdyby to był kawałek oddarty nie z jej sukni, lecz z kotary, lub jak gdyby peplos i zasłona były jednym i tym samym...

W pół godziny potem, witając się z Jadwigą, bacznie przypatrywałem się jej sukni. Lecz ślady rozdarcia zniknęły; szata spadała ku stopom w przeczystych fałdach, nieskażonych najlżejszą skazą.

Ona znać zauważyła, że ją obserwuję, bo uśmiechnęła się na pół figlarnie, na pół zagadkowo. Wtedy, unosząc w górę oddarty kawałek peplosu, poprowadziłem ją do niszy, by tu pokazać jej to, co zaobserwowałem. Lecz rzecz dziwna! Kotary już nie było! Śmieszna myśl nasunęła się niespodzianie:

Czyżby „pożyczyła” jej sobie do peplosu?... Tymczasem w miejsce zasłony otwierała przed nami gościnne ramiona zaciszna wnęka z miękkim, zapraszającym łożem w pośrodku. Spojrzałem na Jadwigę. Odpowiedziała uśmiechem czarującej zachęty...

Zrobiłem niedawno ciekawe „odkrycie”. Ona ma na ciele znaki przyrodzone zupełnie podobne do tych, które i ja posiadam. Znamiona nasze są właściwie całkiem identyczne. Zabawny zbieg przypadku! Tym zabawniejszy, że znaki występują nawet na tych samych miejscach. Jeden ciemnoczerwony, w kształcie winnego grona wielkości orzecha, na prawej łopatce, i drugi, w postaci tzw. „myszki”, wysoko w lewej pachwinie. Przypadkowe podobieństwo tych szczegółów fizycznych zastanawia tym bardziej, że kształty znaków nie

mają wcale cech typowych i często spotykanych – przeciwnie, posiadają charakter wyjątkowy i silnie zindywidualizowany. Śmieszna historia – nieprawdaż?...

Lecz zauważyłem i coś innego jeszcze. Skóra jej, zwłaszcza na piersiach i plecach, ma zabarwienie smagławe, jakby od opalenia – zupełnie tak samo jak u mnie. Nabyłem tę właściwość naskórka wskutek wieloletnich kąpieli na słońcu. Czy i u niej należy sobie to tłumaczyć w podobny sposób, bardzo wątpię. O ile wiem, unika słońca i skwapliwie zapuszcza przed nim roletę. Ja przeciwnie, lubię je niezmiernie i u mnie w pokoju pozwalam mu wpadać przez okno pełnymi strugami...

Dziwactwa Jadwigi stanowczo przebierają miarę. Od paru tygodni przyjmuje mnie tylko w półoświetlonym, czasami niemal mrocznym pokoju i każe mi czekać na siebie całymi godzinami. Gdy wreszcie wysunie się skądś z ciemnego kąta sypialni, jest cała spowita w te obmierzłe kwefy, że chwilami czyni wrażenie widziadła. Ubiegłego tygodnia patrzyła na mnie spoza tych obsłon jak przez wąską szparę.

Za to namiętność jej w tych czasach widocznie wzrosła. Ta kobieta szaleje! Cała zamknęła się w błędnym kole płci i tarza się w rozpasaniu, czołga w konwulsjach chuci. Są chwile, że nie mogę nadążyć jej w tym iście szatańskim rozmachu i zostaję poza nią odurzony, wyczerpany, bez tchu. Do czarta! Nie znałem jeszcze Jadwigi Kalergis!

Z drugiej strony jednak od pewnego czasu obserwuję w jej postaci jakieś oryginalne zjawisko, które w przybliżeniu określiłbym jako „nieuchwytność". Czy to dzięki tym białym zasłonom, w które się teraz tak starannie otula, czy to wskutek skąpego oświetlenia – postać jej wymyka mi się chwilami spod kontroli wzroku. Powstają stąd niekiedy ciekawe złudzenia i optyczne niespodzianki. Czasem widzę ją podwójnie, kiedy indziej znów jakby w jakimś śmiesznym skrócie, to znów niby w dalekiej perspektywie. Zupełnie jak w „tańcu siedmiu zasłon" lub na obrazach kubistów. Nieraz wygląda na posąg niewyrzeźbiony do końca, w jakimś zagadkowym stadium powstawania, niby projekt na pół wykończony.

Lecz owa „nieuchwytność" przechodzi też i w sferę dotyku. Zwłaszcza o ile chodzi o górną połowę ciała. Parę już razy stwierdziłem z niemiłym zdumieniem, że ramiona jej i piersi, niedawno jeszcze tak jędrne i gibkie, teraz jakby zwiotczały. Suknia pod naciskiem ręki ustępowała gdzieś w głąb i nie czułem sprężystego niegdyś oporu jej ciała.

Raz, podrażniony tym do najwyższego stopnia, nagle pod wpływem nieprzepartej chęci postanowiłem ukłuć ją. Powoli wyciągnąłem z krawatki opałową szpilkę i zanurzyłem w jej obnażoną nogę. Trysła krew i odezwał się krzyk – lecz z mojej piersi: w tej chwili uczułem w nodze gwałtowny ból. Jadwiga patrzyła z dziwnym uśmiechem na krew sączącą

się z jej rany w dużych, rubinowych kroplach. Z ust jej nie wypłynęło ani jedno słowo skargi...

Wróciwszy tej nocy późno do siebie, musiałem zmienić bieliznę, gdyż była zbroczona krwią. Na nodze do dziś dnia jeszcze mam ślady ukłucia szpilką...

Nie pójdę tam więcej! Po tym, co zaszło we willi „Pod Lipami" w ostatnią sobotę sierpnia, miesiąc temu, życie straciło dla mnie swój urok. Posiwiałem przez jedną noc. Znajomi nie poznają mnie na ulicy. Podobno leżałem przez tydzień bez pamięci i bredziłem w malignie. Dziś dopiero wyszedłem po raz pierwszy z domu. Chwieję się jak starzec i wspieram na lasce. Okropny koniec!...

A oto, co przeżyłem w willi w pamiętny dzień 28 sierpnia, w rok niespełna od chwili zawiązania fatalnego stosunku.

Tego wieczora spóźniłem się. Jakaś recenzja czy artykuł literacki, który należało co prędzej puścić w świat, zabrał mi dwie godziny czasu: przyszedłem dopiero o ósmej.

W sypialni było zupełnie ciemno. Potknąwszy się parę razy o meble, trochę tym zirytowany, odezwałem się głośno:

– Dobry wieczór, Jadwigo! Dlaczego nie zapaliłaś światła? W tej ciemnicy można głowę rozbić!

Nie otrzymałem odpowiedzi. Najlżejszy ruch nie zdradzał jej obecności w pokoju. Zacząłem nerwowo szukać zapałek. Widocznie mój zamiar nie podobał się jej i postanowiła mu przeszkodzić, gdyż nagle uczułem na policzku chłodne muśnięcie jakby ręki i usłyszałem cichy, ledwo dosłyszalny szept:

– Nie pal światła. Chodź do mnie, Jerzy! Jestem w niszy.

Zadrżałem, przejęty dziwnym uczuciem. Po raz pierwszy od czasu naszej znajomości posłyszałem jej głos – właściwie jej szept. Po omacku zbliżyłem się do łóżka. Szept zamarł i nie powtórzył się już więcej. Nie widziałem jej twarzy, gdyż ciemność była absolutna; bielało tylko coś niewyraźnego. Zapewne była już w bieliźnie. Wyciągnąłem przed siebie rękę, chcąc ją objąć, i natrafiłem na obnażone biodra. Dreszcz przebiegł me ciało i krew zagrała gorącym warem. Po chwili piłem już słodycz jej łona. Była szalona. Zawrotna woń jej ciała odurzała zmysły, rozżarzała tęsknotę w płomień posiadania. Namiętny rytm jej boskich bioder podżegał pożar krwi i niecił szały... Lecz nadaremnie szukałem jej ust, na próżno chciałem ją zamknąć w ramiona. Drgającymi rękoma zacząłem wodzić wokoło po poduszce, ślizgać je wzdłuż jej ciała. Natrafiłem tylko na jakieś chusty, zasłony... Cała jakby zamknęła się w ognisku swej płci, usuwając przede mną wszystko inne poza nim... Wreszcie zniecierpliwiłem się. Uczucie jakby obrażonej dumy, poniżonej godności ludzkiej zawrzało

we mnie namiętnym sprzeciwem. Zapragnąłem ust jej koniecznie, nieodwołalnie. Dlaczego mi ich broniła? Czyż nie miałem i do nich prawa?

Nagle przyszło mi na myśl, że obok na ścianie jest kontakt elektryczny. Ukląkłszy na łóżku, namacałem gałkę i przekręciłem. Bluznęło światło, rozświeciło pokój.

Spojrzałem i pchnięty trwogą bez granic, wyskoczyłem z łóżka...

Przede mną w zgiełku koronek i atłasów leżał rozrzucony bezwstydnie, obnażony po linię brzucha kadłub kobiecy – kadłub bez piersi, bez ramion, bez głowy...

Z okrzykiem grozy wypadłem z sypialni, skokiem szaleńca przebyłem schody i znalazłem się na ulicy. Wśród ciszy nocy pędziłem przez most...

Nad ranem znaleziono mię gdzieś w ogrodzie na ławce bez pamięci...

W dwa miesiące potem, przechodząc przypadkiem koło willi „Pod Lipami", spostrzegłem w parku krzątających się robotników. Otulano róże na zimę w słomiane chochoły. Jakiś mężczyzna wytwornie odziany nadchodził z głębi alei i coś mówił.

Tknięty nieprzemożną chęcią, zbliżyłem się doń, uchylając kapelusza:

– Przepraszam. Czy to jest dom pani Jadwigi Kalergis?

– Niegdyś był jej własnością – brzmiała odpowiedź. – Od tygodnia rodzina objęła go w spadku.

Uczułem dziwne ściskanie w gardle.

– W spadku? – zapytałem, siląc się na ton obojętny.

– No tak, Jadwiga Kalergis nie żyje już od dwu lat. Zginęła wkrótce po wyjeździe za granicę podczas jednej z wycieczek w Alpy. Pan pobladł? Co to panu?...

– Nic... ależ nic... Przepraszam pana. Dziękuję za informację.

I zataczając się na nogach, odszedłem wybrzeżem ku miastu...

GROZA DUMASA

dr Eliza Krzyńska-Nawrocka

Zagadka, czym jest literatura, a tym bardziej literatura grozy, jest tajemnicą ze wszech miar frapującą, potęgującą się odwrotnie proporcjonalnie do ilości udzielanych odpowiedzi. Niniejszy artykuł daleki jest od formułowania definicji zarówno literatury, jak i grozy, chcę jednak zwrócić uwagę na jeden ważny element obu tych pojęć – mianowicie kwestię opowiadania (nie gatunku literackiego, ale czynności) jako istoty literatury w ogóle, jak i jej przywoływanej odmiany. Budowanie w słowie opowieści jest kluczowe – konstruowanie literatury (mniej lub bardziej świadome) wiąże się ze stworzeniem (bądź odtworzeniem) świata, który przedstawia się właśnie za pomocą opowieści. Oczywiście dzieje literatury sprawiły, że zarówno prowadzenie rzeczonej opowieści, jej forma, jak i składniki są wszelakie (nie jest to jednak artykuł o przemianach literatury na przestrzeni tak zwanych „epok"), jednak ten pierwotny gest opowiedzenia „czegoś" pozostaje podstawą literackiej rzeczywistości.

Jednym z najbardziej znanych opowiadających jest Aleksander Dumas (ojciec) – powszechnie identyfikowany z powieściami historycznymi, a jednak okazuje się, że potrafi opowiedzieć nie tylko historię, ale również grozę... To nie pomyłka – w obszernej, by nie powiedzieć: przepastnej twórczości (samych powieści napisał sześćset, zajmując drugie miejsce na świecie pod względem wydawanych tomów) autora *Trzech muszkieterów* natykamy się bowiem na tekst, który można określić mianem literatury grozy.

Zanim jednak mowa będzie o opowiadaniu przez Dumasa grozy, warto przypomnieć kilka najważniejszych faktów związanych z pisarzem i jego pisarstwem. Urodzony 24 lipca 1802 roku Aleksander Dumas karierę literata zaczynał od pisania artykułów i fascynacji teatrem. Znany był głównie jako autor sztuk teatralnych, których napisał kilka (do dziś można spotkać podręczniki literatury francuskiej, w których Dumasa wymienia się jako przedstawiciela teatru). Do historii literatury i powszechnej świadomości kulturowej przeszedł jako autor trylogii o muszkieterach (*Trzej muszkieterowie* – 1844, *Dwadzieścia lat później* – 1845, *Wicehrabia de Bragelonne* – 1848-1850), *Hrabiego Monte Christo* – 1844

czy *Królowej Margot* –1845. Początki tej beletrystycznej kariery sięgają 1830 roku, kiedy to zaczyna pisać powieści (co warto dla dzisiejszego czytelnika zaznaczyć – powieści w odcinkach, na marginesie dodać można, że w takim trybie w wydaniach gazet ukazywały się dzieła Henryka Sienkiewicza, wzbudzając żywe emocje odbiorców). Pierwszą powieścią francuskiego autora był *Kapitan Paul* – przeróbka jego własnej sztuki teatralnej. Rozliczne książki zapewniły mu sławę i wśród różnych życiowych przygód miały ratować od bankructwa (to jednak kwestie, które nie są przedmiotem tego artykułu, zainteresowanych zachęcam do zagłębienia się w burzliwą biografię pisarza).

W swoich dziełach Dumas pokazuje wysoką umiejętność prowadzenia narracji, kunszt konstruowania świata przedstawionego, w którym realia historyczne i fikcja literacka tworzą zmyślną i zachwycającą opowieść. I choć nazwisko autora, który zmarł 5 grudnia 1870 roku, kojarzy się niezmiennie z postaciami walecznych muszkieterów, warto zwrócić uwagę na tekst w pewien sposób niezwykły dla tego pisarza – mowa o *Les mille et un fantôme*s, dziele opublikowanym po raz pierwszy w 1849 roku, którego tytuł w polskim tłumaczeniu brzmi *Biesiada widm* (lub – alternatywnie – *Opowieści o duchach. Jeden dzień w Fontenay-aux-Roses*). Jest to z jednej strony utwór wpisujący się w twórczość Dumasa, jego zdolność operowania opowieścią, historyczność jego tekstów – ze względu na podkreślenie czasów (konkretnie rewolucji francuskiej, w którą cała fabuła zostaje wpleciona), z drugiej – tytuł, jak i tematyka tego utworu wskazuje na jego wyjątkowość. Dumas opowiada bowiem o widmach, duchach, o sprawach niewytłumaczalnych, opowiada grozę.

Budowanie opowieści, w tym w sposób szczególny opowiadanie grozy wiąże się z podjęciem gry z odbiorcą – zbudowaniu płaszczyzny porozumienia związanego z zawieszeniem niewiary – i pisarz tworzy ją w *Biesiadzie widm* na kilka sposobów. Jednym z nich jest otwierający zbiór list, w którym od oficjalnego, a zarazem enigmatycznego zwrotu *Do Pana…* autor przechodzi w bardziej konfidencjonalny ton, posługując się frazą *Drogi przyjacielu*, a w dalszych słowach listu korzysta z tonu intymnego porozumienia, wzajemnej korespondencji. Ta bezpośredniość zwrotu do adresata prowadzi nas w różne strony, w kierunku kilku odbiorców: po pierwsze – konkretnej, znanej autorowi osoby, z którą regularnie pisuje; po drugie – osoby, której znane są realia historyczne (kontekst przywoływanej w liście rewolucji francuskiej) – jedno nie wyklucza drugiego, po trzecie – co dla niniejszych rozważań najistotniejsze – osoby rozpoznającej znaki opowieści i obrazy grozy, niezależnie od scenerii historycznej, w której sytuuje Dumas swój utwór.

Każdy z wymienionych odbiorców wpisuje się w wspólnotę tworzącego w słowie, z tym, który oddaje się ich lekturze. Ta sytuacja komunikacyjna, stworzona poprzez tekst

epistolarny, otwiera dialog, umożliwiający konfesyjne przyznanie się do charakteru tekstów:

Niestety, mój drogi, czasy są smutne i moje opowieści — uprzedzam cię od razu — nie będą wesołe. Pozwolisz jednak, że znużony widokiem tego, co dzieje się codziennie w życiu rzeczywistym, sięgnę po wątek do świata zmyślonego. Lękam się, niestety, że ci wszyscy, co mają umysł choć trochę wzniosły, poetyczny i marzycielski, znajdują się teraz w takiej jak ja sytuacji. To znaczy, że poszukują ideału, jedynej ucieczki, jaką Bóg pozostawia nam w obliczu rzeczywistości.

O ile dla pierwszych dwóch odbiorców słowa te wiążą się ze znaną im sytuacją, o tyle dla trzeciego rodzaju odbiorcy, w tym także dla dzisiejszego czytelnika, stanowią one jedynie tło opowiadanych wydarzeń i chwyt retoryczny mający je uprawdopodobnić.

W dalszej części wychodzi na jaw, że opowiadający był świadkiem wydarzenia, które przyczyniło się do snucia opowieści; był także, jak się okazuje, uczestnikiem spotkania, na którym zamieszczone, zrekonstruowane przez niego opowieści zostały przedstawione przez różne osoby. Tak więc autor zaświadcza niejako o autentyczności tego, z czym odbiorca się zapozna. Ta łączność i zaufanie istotne są, by opowiadana groza nabrała znamion prawdziwości. W dalszej kolejności wzmacniają ją świadectwa opowiadających osób, które uczestniczyły bezpośrednio lub pośrednio w niesamowitych wydarzeniach. Dumas sięga po chwyt rodem z *Dekameronu* i opowiadających gromadzi w jednym miejscu i w jednym czasie, by ich opowieści były snute. Spotkanie to poprzedzone jest wspomnianym wypadkiem, który inicjuje tematykę towarzyskiego zebrania i to właśnie owo zdarzenie daje początek aurze niepokoju.

Celem artykułu nie jest oczywiście streszczenie fabuły książki, lecz pokazanie, jak pisarz ewokuje grozę, co jednak wiąże się ze wskazaniem pewnych elementów akcji, kluczowych dla budowania grozy, przez którą prowadzi czytelnika narrator przedstawiający się jako Aleksander Dumas (według informacji podanej w utworze *autor dramatyczny, dwadzieścia siedem lat, zamieszkały w Paryżu, ulica Université nr 21*). Jego skromna osoba zostaje wplątana w asystowanie na miejscu zbrodni. Przypadek sprawia, że przebywając na prowincji, zobaczył człowieka, który go zaintrygował:

...ów mężczyzna, blady, z włosem zjeżonym i wytrzeszczonymi oczyma, z zakrwawionymi rękami, w ubraniu w nieładzie, przeszedł obok nie widząc mnie wcale, patrząc nieruchomym wzrokiem przed siebie. Szedł z impetem, tak jak się schodzi ze zbyt stromej góry, ale jego rzężący oddech świadczył raczej o przestrachu niż o zmęczeniu.

Stan mężczyzny, jego zachowanie wzbudza niepokój i sugeruje, że coś wydarzy się lub już się zdarzyło – i rzeczywiście okazuje się, że popełniono morderstwo, a on jest tym,

który zabił. Jest to morderca szczególny nie tylko dlatego, że sam oddaje się w ręce sprawiedliwości, przyznając się do zabicia żony; ale przede wszystkim dlatego, że twierdzi, że odcięta głowa kobiety przemówiła do niego. Sprawa musi zostać zbadana i właśnie obserwatorem tego wszystkiego staje się zaciekawiony zdarzeniem Dumas. I tak z jednej strony mamy pozory normalności – krzak róży, wygrzewający się w słońcu kot przed domem, gdzie zabito, z drugiej zaś wyznanie zabójcy, przesiąkniętego pewnością i lękiem przed zdolnościami oratorskimi głowy odciętej od tułowia... Grozę potęguje dosadny opis samego miejsca zbrodni, relacjonowany przez narratora:

Mój wzrok zatrzymał się przede wszystkim na bezgłowym trupie, leżącym w pobliżu beczki. Kurek pozostał niedokręcony, tak że ciekła z niej bez przerwy strużka wina żłobiąc bruzdę, która ginęła pod legarem beczki. Trup był na pół skręcony, jak gdyby przedśmiertne skurcze ogarnęły leżący na grzbiecie tułów, ale nie zdołały objąć nóg. Spod zadartej z jednej strony spódnicy wyglądała podwiązka. Ofierze zadano, jak widać, cios w chwili gdy klęcząc przy beczce napełniała winem butelkę, która wysunąwszy się z jej rąk upadła obok. Cała górna część ciała tonęła w kałuży krwi. Na worku z gipsem, opartym o ścianę, sterczała – jak popiersie na postumencie – głowa, choć można się było jej tylko domyślić pod gęstwiną włosów. Krwawa smuga znaczyła worek od góry aż do połowy.

Zarówno opis miejsca popełnionego zabójstwa – widok piwnicy (oraz jej klaustrofobiczny charakter), jak i śladów morderstwa, a także dalsze, systematyczne badanie niezwykłych okoliczności pośmiertnych potęgują nastrój grozy, stanowiąc preludium do dalszych opowieści. Nawiasem mówiąc sceneria i nagłość morderstwa, zachowanie popełniającego zbrodnię i owa aura tajemniczości wymagają, by chociaż wspomnieć tytuły dwóch innych fenomenalnych niesamowitych opowieści, mam na myśli utwory *Beczka Amontillado* i *Czarny kot* (gwoli uwagi na marginesie – nie od rzeczy zresztą byłoby skojarzenie i porównanie sposobów budowania opowieści przez Dumasa i mistrza horroru).

Centralnym punktem opowieści staje się obraz ściętej głowy – według relacji zabójcy oczy wpatrywały się w niego, usta przemawiały, głowa ugryzła go, zostawiając dotkliwy ślad, ranę nie do zatamowania. Owa gadająca głowa staje się motywem przewodnim dalszych relacjonowanych już podczas spotkania opowieści.

Narrator-bohater zaproszony do domu pana Ledru – mera miasteczka odpowiedzialnego za śledztwo wspomnianego morderstwa – spotyka zgromadzonych na posiłku gości, którzy stanowią ciekawą plejadę postaci związanych (w różny sposób) ze sprawami niewytłumaczalnymi. Przypadek zabójcy i mówiącej głowy jego żony staje się pretekstem do opowiedzenia przez nich o chwilach zetknięcia się z niesamowitym.

I podobnie, jak w przypadku opisu miejsca zbrodni Dumas łączy realistyczne, wręcz sielankowe opisy, bardzo dokładnie zaprezentowane, z elementami budzącymi niepokój. Na przykład – zwiedzający dom narrator-bohater oglądając zbiory właściciela, czyni spostrzeżenie dość makabryczne (obraz wyłaniający się z tych słów jakże pasowałby do Poe i jego *Berenice*):

Był tam ponadto ząb Abelarda oraz ząb Heloizy, dwa białe siekacze. Może zetknęły się z sobą w pocałunku wówczas, kiedy jeszcze osłaniały je tętniące życiem usta.

Oprócz ciekawych eksponatów w ogrodzie przechadzają się interesujące postacie późniejszych opowiadających. Dumas niezwykle wnikliwie opisuje każdego gościa: jest pan Alliette, zwany Etteilla – określony przez gospodarza *hoffmannowską postacią*, żyjący ponoć 275 lat, posiadający tajemnicę eliksiru życia, interesujący się m.in. tarotem i czarami; jest ksiądz Moulle kolekcjonujący książki o *widzeniach i zjawach, o widmach, larwach i upiorach*, człowiek głęboko wierzący, uznający, że wszelkie wydarzenia dzieją się w wyniku mocy piekielnej lub niebiańskich duchów, ponoć popadający w stany somnambuliczne. Obecny jest także założyciel muzeum Petits-
-Augustins, Aleksandre Lenoir, a także doktor Robert – sceptyk wobec spraw niewyjaśnionych, eksperymentujący na ludziach, traktujący ich jako mechanizm bez duszy i uczuć, niewierzący w duchy. Jest też oczywiście gospodarz – pan Ledru, który swego czasu kierując ekshumacją królów w Saint-Denis, co nieco sobie do prywatnych zbiorów zabrał (jak chociażby wspomniane zęby kochanków), a za którego przewodem zgromadzeni rozpoczną swoje opowieści.

Dumas słowami gospodarza charakteryzuje każdego z obecnych, idzie nawet dalej – przedstawia potencjalnego gościa, bibliofila Jacoba, znawcę starożytności, kartomancji i demonologii, który zapewne mógłby także dać ciekawe świadectwo w kwestiach tajemnych. Jedna tylko postać, w porównaniu ze skrupulatnością opisywania poprzednich, zostaje zarysowana oględnie, co potęguje jej enigmatyczność – kobieta w czerni, oderwana od spraw doczesnego świata, określona mianem niematerialnej, eterycznej i zjawiskowej. Jej postać wzmaga wrażenie czegoś nieuchwytnego, niezwykłego, innego.

Zgromadzeni dyskutują poobiednią porą o odciętych głowach, o karze śmierci, czy mówiąc dokładniej – o skuteczności przerywania życia przez powieszenie lub ścięcie. Sam temat zdaje się odbiegać od sielskiego charakteru spotkań towarzyskich, lecz Dumas osadzając fabułę w 1831 roku we Francji, wskazuje na naturalność i możliwość takiego przedmiotu rozmowy.

Każdy z przybyłych przedstawia pewne niezwykłe zdarzenie, jednocześnie odsłaniając

fragmenty swojego życia. To wzmacnia prawdziwość opowieści, pozwala także współodczuwać tragiczne losy, jakie stały się udziałem bohaterów lub których byli świadkami. Bowiem nie ma wśród tych relacji szczęśliwych obrazów, są pełne rozpaczy, każdy z nich jest naznaczony śmiercią. Doświadczenia bohaterów legitymują ich do zabrania głosu w poruszanej kwestii. Tak więc dowiadujemy się, że Ledru jest synem uczonego zajmującego się hipnotyzmem i magnetyzmem, sam zaś asystował przy licznych egzekucjach arystokratów, eksperymentował na odciętych głowach z wykorzystaniem galwanizmu i elektryczności. Mężczyzna jest pewien, że *głowa słyszy, widzi, czuje i uświadamia sobie oderwanie od ciała*. Teorie o tym czuciu znalazły potwierdzenie w osobistej tragedii. Dumas łączy w opowieści wątek historyczny – rewolucję, siły Erosa i Thanatosa, tworząc dzieje miłości z obrazem ściętych głów w tle – i w tym przypadku głowa przemawia, co stanowi nawiązanie do średniowiecznego motywu rozmów żywych z umarłymi, będącym symbolem innej rzeczywistości, wkraczającej w przestrzeń człowieka. W kolejnych opowieściach, których szczegóły narrator-słuchacz notował w pamięci *ażeby móc je odnaleźć, kiedy wypadnie (...) opowiedzieć to któregoś dnia* mamy do czynienia z budującymi grozę postaciami i rekwizytami: jest sędzia trybunału karnego, na którego skazany rzucił klątwę; człowiek ten przekonany był o swoim szaleństwie, jest pojawiający się o określonej porze duży czarno-rudy kot, zjawa urzędnika, szkielet, według którego pojawiania można regulować zegarek; jest trup króla przykładnie karzący nieszczęśnika, który znieważył jego szczątki. W opowieści księdza, wierzącego, że ciałem człowieka rządzą siły dobra lub zła, pojawia się wisielec, który po śmierci atakuje kata chcącego ściągnąć z jego szyi medalik z Matką Boską. Medalik ten okazuje się chronić zwłoki przed opanowaniem przez złe moce. Ten sam zmarły pojawia się jako duch swojej żonie. Mamy też opowieść o znakach – cieniach, odgłosach, które objawiają się kobiecie, gdy jej mąż śmiertelnie zachorował i umiera, cudowna bransoletka z jego włosów strzegąca żony, wszystko to, zdaniem opowiadającego, ma zaświadczać o zdolności reinkarnacji.

Dumas dawkuje napięcie, opowiada nieśpiesznie, oddając każdemu z bohaterów możność zindywidualizowania przedstawianych zdarzeń. Nie inaczej jest w finalnej opowieści, do której, wzmagając poczucie obecności nieznanego na każdym kroku, zdają się prowadzić pozostałe. Ostatnia historia jest najbardziej emocjonalna; o ile pisarz wcześniej oszczędnie prezentował postać jedynej w zgromadzonym towarzystwie kobiety, o tyle gdy oddaje jej głos, pozwala na rozbudowaną, szczegółową relację i odkrywa jej odmienność (związaną nie tylko z faktem, że jest Polką, ale także że była na granicy życia i śmierci). Już sam status tajemnicy otaczającej damę wzbudza niepokój, to, co opowiada, potęguje grozę –

jej opowieść toczy się w scenerii dzikich, bezludnych Karpat, w okolicznościach niebezpiecznych (szukając schronienia przed wrogiem, udaje się do klasztoru, po drodze napadnięta, trafia na czternastowieczny zamek mołdawski, gdzie żyje z matką dwóch braci, którzy bez pamięci zakochują się w przybyłej kobiecie), odizolowania od świata. Jej relacja pełna jest namiętności – mamy miłość i nienawiść, zbrodnię i… wampira. Sama bohaterka okazuje się naznaczona piętnem tego ostatniego. Jest widomym znakiem tego, że inna rzeczywistość istnieje.

Wybija północ, spotkanie dobiega końca, kończy się także opowiadanie grozy przez Dumasa – narrator stwierdza: *wszystkie dziwne historie, opowiedziane w ciągu jednego wieczora, pozostawiły w mej pamięci niezatarty ślad.* Jak mówi dalej, przekazuje je czytelnikowi – jego książka, choć rozdzielona na głosy, to opowiadanie spójne, rozkwitające, mające swój wewnętrzny rytm rozmowy tych, którzy w słowie wyrażają niesamowitości, z którymi obcowali. Narrator wprowadza czytelnika w krąg słuchaczy, prezentuje owe mikroopowieści, obrazy wyłaniające się z nich, tworząc swoisty zbiór przejawów nienazwanego, niezwykłego. I choć pewnie współcześni odbiorcy literatury grozy mogą czuć niedosyt ze względu na akcję czy wykorzystane do „straszenia" rekwizyty, to warto Aleksandra Dumasa znać jako autora grozy, by zobaczyć jego – obok Ernsta Theodora Amadeusa Hoffmana czy późniejszego, wspominanego już Edgara Allana Poe – oblicze klasyki horroru, odsłaniające kolejną zagadkę literackiego kreowania rzeczywistości i nierzeczywistości.

---

* cytaty z *Biesiady widm* podaję za wydaniem: A. Dumas, *Biesiada widm*, przeł. T. Jakubowicz, Łódź 1959.

www.kostnica.com.pl

KOSTNICA

POŹORNIE MARTWA STREGA

HORROR THRILLER KRYMINAŁ SENSACJA FANTASTYKA

www.kostnica.com.pl

RECENZJE
OPOWIADANIA
GALERIE
NOWOŚCI
KONKURSY
FILM
KSIĄŻKA
GRA
KOMIKS

PARTNERZY

OKIEM
na horror
www.facebook.com/okiem.na.horror

KOSTNICA
POZORNIE MARTWA STREFA
www.kostnica.com.pl

SZORTAL
UWOLNIJ MOC UKRYTĄ W SZORTACH

Książkożerca

wydaje.pl

STRASZNE-HISTORIE.PL
ODWAŻYSZ SIĘ?!

DEAD
CAN
TALK

HORROR.COM.PL

StephenKing.pl

Lastinn.info
SPOŁECZNOŚĆ RPG

CREATIO
FANTASTICA

Horror
na Roztoczu

NUCLEAR TROPE PRODUCTION

Jeśli piszesz horrory, wiedz, że HISTERIA się tobą interesuje

Czekamy na Wasze histerie! Zakres tematyczny jest bardzo szeroki. Im bardziej będziemy się bać czytając Wasze prace, tym lepiej.
Długość tekstów od 5 do 15 stron znormalizowanego maszynopisu (1800 znaków ze spacjami na stronie).

Teksty należy przesyłać na adres:

magazynhisteria@gmail.com